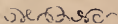


KSIEDZÓWNA.

POWIEŚĆ GALICYJSKA

przez

MARYJANA GORZKOWSKIEGO.



KRAKÓW.

NAKŁADEM AUTORA.

Druk W. Korneckiego.

1877.

LP 4e

467426

II

Bardzo kochanej

Linie Gorzkowskiej

w upominku na przyszłość

oddaję.

K-74/5793

95. 40,-



Kraków d. 23 Września 1876 r.

ulica Wiślna N. 177.

I.

Obok starej i nieco skurczonej wiejskiej cerkiewki szła z tyłu ścieżka, prowadząca w dół aż do płotu, przy którym na wpół otwarta i zawsze drgająca chwiała się furtka. Co miesiąc prawie ktoś zawsze musiał tę furtkę prostować, poprawiać; zakładać chrustem jej boki, nowe związywać do niej u góry zawiasy z płótna starego, z łyka, albo ze sznurka niepotrzebnego, lecz wkrótce wracała ona do swej pierwotnej, a zawsze tej samej postaci: nigdy nie można było jej zamknąć, nigdy odnowić. Za furtką był mały ogródek, szły różne grzędy ponasadzane kapustą, fasolą, koprem, cebulą i wszelką ogrodniną najniezbędniejszą dla kuchni; z których jedne były już znacznie i nadskubane i zcięte, inne cokolwiek powędłe od stąpania nóg ludzkich, a tylko niektóre w ustroniu, mając spóźniony wzrost, jako niewłaściwe do użytkowania, zieleniły się bujnie w młodzieńczej świeżości.

Za grzędami, które z łatwością można było ominąć, idąc po utartych obok ścieżkach, stał dom starej już może budowy,

ale starannie podtrzymywany. Wysoki, słomiany dach jak gdyby jakimś ciężkiem futrem z wilków pokrywał ściany jego, a wszystkie żdźbła snopów na dachu kolejną czasu tak się już mocno poprzylepiały ze sobą, że cała przestrzeń dachu od góry do dołu zdawała się być pomalowaną jakąś grubą i ciemną powłoką. Ściany domu były dość białe, pośrodku były drzwi do ogródka zasadzone zielonym powojem; przy łodygach i liściach wisiała klatka ze szczygłem, który skacząc przychyłał co chwila główkę, patrząc na łązące po listkach komary i muszki, a przy oknach, które wychodziły na ogród, stały doniczki z kwiatami; lecz których nikt jednak nigdy nie widział rozkwitniętymi. Wewnątrz domu panował tak osobliwy porządek, że nawet okna rzadko się kiedy odmykały, z obawy by nie wleciały doń muchy z podwórza. Z tego powodu we wszystkich prawie izbach było dość gęste powietrze, a każdy wchodzący nim się uklonił, przywitał, musiał pomrugać czas jakiś swym nosem, kichnąć lub westchnąć jakby uczuwszy nadspodziewane, lecz smutne wrażenie.

Dom ten był właśnie plebaniją księdza Maksyma, który wraz z żoną i z dorosłą córką, jako miejscowy proboszcz wschodniego obrządku w nim zamieszkiwał nie dawno.

Ksiądz Maksym, tułając się dawniej w różnych małych parafjach przemyskiej dyecezyi, po długich i bardzo kosztownych zabiegach otrzymał tę parochiją, która liczyła się do najzyskowniejszych w powiecie. Wieś, która obecnie należała do dusz pasterza, osiedlona przez licznych włościan, miała trzy karczmy, przy których zwykle zaczynały się śluby, kończyły się chrzty i pogrzeby, a wszelkie wiejskie większe i mniejsze rozstrzygały się sprawy. Żydzi po karczmach bardzo mistrzowsko czuwali nad ciałem i duszą wiejskiego ludu, to obudzaniem w wieśniakach namiętnych uczuć miłości, z których zawiązywały się wesela, śluby; to pokrzepiali ich smutki pewną otu-

chę, radząc, by je puścili w niepamięć, które się jednak tylko przy kieliszku skutecznie odbywały; to zbliżali strony zwaśnione do ugody; tak, że apostołstwo tych arendarzy, ich wpływ i kierunek nad ludem bardzo ułatwiał prace, które pozornie i z obowiązku do dusz pasterzy należały.

Pod każdym więc względem wieś, oddana moralnej pieczołowitości księdza Maksyma, była bardzo dogodną nie tylko dla niego, ale i dla wszystkich duchownych; osiedlona przez licznych włościan związanych od dawna najściślejszym stosunkiem i opieką, które się w karczmach jakby w najpotężniejszym źródle skupiały, nie dostarczała zbyt wiele trudu dla księdza: była w pobliżu Przemyśla, miała dla księdza bardzo urodzajną glebę, las, pasiekę; a jak niosło ludowe podanie, każdy ksiądz w niej zamieszkały bez zbytej pracy, bez wysień i poświęcenia dla spraw ludowych w krótkim czasie zwykle się stawał bogaczem.

Już samo nawet nazwisko wsi tej było ponętne: wieś zwano Złotówką; a gdy po śmierci jakiego parocha w niej się odkryło probostwo, to grecko-katolicki konsystorz w Przemyśle tak był zarzucony podaniami i prośbami o nie, że musiano osobny stół przystawiać, by stosy podań ubiegających się o nie można było w porządku rozmieścić na nim i poukładać. Przemyślski konsystorz okazywał nadzwyczajną w takim razie czynność. Nie tylko odczytywał podania, nie tylko spisywał osobną notę nazwisk proszących księży z nadmienieniem ich żon i dzieci, lecz nawet sprawdzał, czy dzieci z prawego lub nieprawego pochodziły ślubu? Ta ostatnia wiadomość była tem bardziej konieczną, gdyż się zdarzało, że niektórzy księża zapewne z dobroduszości, chcąc trochę więcej wzbudzić litości w konsystorzu, zamieszczali w podaniach nawet te swoje dzieci, które z jakichś tam innych były stosunków; a inni, wyćwiczen

w biurokratycznych zasadach, wymieniali w dodatku i dzieci swych braci, sióstr, krewnych, a nawet dzieci swoich kucharek i stróżów domowych. Na co to wszystko, do czego, nikt o tem, nawet piszący nie wiedział, dość że tak było. Wielu podawało osobny prócz tego spis swoich chrzestnych dzieci, wskazując przytem, że są moralnie obowiązani ich wychowywać lub karmić.

Takie podania były więc często z kilku lub kilkunastu złożone arkuszków, niektóre były widocznie nawet ze łzami pisane, a potomstwa księżowskie były tak liczne, że czytając je, można było mniemać, że to jest statystyka całej wsi, lub nawet części powiatu. Przemyślski konsystorz miał więc przy obsadzeniu tej parafii niesłychaną czynność, a dbając o jak najkorzystniejsze zużytkowanie Złotówki, zwykle sprowadzał wszystkich ubiegających się księży do konsystorza, aby ich zbadać i wyrozumieć naocznie.

Proszący, przybywszy do konsystorza, na dwie zwykle rozdzieleni byli strony, na dwa szeregi. Po jednej stawiano księży słabszej budowy, wątłych, nieco schorzałych, z wpadniętymi policzkami i z błyszczącemi ogniście oczyma; po drugiej zaś stronie silnej budowy, rumianych i barczystych. Ten podział sług cerkwi pociągał za sobą stosowne uporządkowanie ich dokumentów i podań. Wprawdzie odbywało się to zwykle z taką tajemniczą ostrożnością, że żaden z proszących księży nie domyślał się tego; a chociaż nikt ręką ich nie rozstawiał, nikt nie rozdzielał osobno; toć jednak konsystorz jakby na dłoni miał już ten podział bardzo wyraźnie zrobiony.

Prostoduszni księża grecko-katolickiej cerkwi, zrodzeni i wychowani w Przemyślskiem w Galicyi, od dawnych pokoleń stracili już byli wszelką nić umysłową i cielesną, która ich niegdyś z prawdziwymi Grekami łączyła; przeobrażeni w ludzi miejscowych zwali się tylko grekami z tradycyi, nigdy się nie

oddając tym głębszym umysłowym badaniom, z których słynęli ich protoplaści, dawniejsi Grecy. Z tegoż powodu nie rozmyślali głęboko, dla czego parochija w Złotówce oddawała się zwykle tym przedewszystkiem parochom, którzy chorobliwszymi się zdali? Mogło się łatwo wytworzyć z tego pytanie, dla czego tym tylko jednym służyło szczęście? czy to było nagrodą ich ziemskich cierpień na świecie, czy nie, tego jednak czy ze zwyczaj, czy może z obawy nużących głowę domysłów, nigdy nie dociekano. Powszechnie było tylko wiadomo, że parafija w Złotówce bywała bardzo często opróżnioną, że księża w niej osadzeni umierali dość prędko; że dawniej nawet co lat kilka można się było o tę parafiję ubiegać i że dla skuteczniejszego poparcia takiej sprawy należało się stawić koniecznie w konsystorzu, rozmówić z ojcami kanonikami, pozyskać ich sobie pewnemi, jak słychać było, gospodarskimi środkami, które się zwały miejscową nazwą *wsunięciem*! Ten tylko środek ostatni tak bywał skuteczny i tak pożądaną wywierał siłę, jak mineralne napoje, o których wydrukowane piszą świadectwa, że na wszystkie pomagają choroby i wszystkie zadawalniają potrzeby.

Wieżć o tym środku, który na konsystorską powłokę działał tak silnie, nie była jednak ukrytą: wiadano o niej prawie powszechnie, a ksiądz Maksym, skorzystawszy ze stosownego czasu, tak umiał biegle rzecz pokierować i tak roztropnie usposobił dla siebie myśl konsystorza, że gdy stanowczo już przyszło do wyboru najwłaściwszego parocha do Złotówki, wówczas sam biskup i ojcowie kanonicy ani się nawet spostrzegli, jak zatwierdzili księdza Maksyma. Mówiono nawet, że ten wybór był kierowany prawie tak samo, jak wybór w Rzymie samego papieża, z tą tylko różnicą, że tu wszystko się odbywało przy innych, miejscowych i ziemskich wymaganiach, które w przemyskiej dyecezyi miały zastosowanie do

ludzkiej natury, ludzkiego ciała, niezbędnej duszy powłoki, co potrzebuje również pewnych względności! A ztąd zastoso-
wanie tego wyboru było pełniejsze!

Wprawdzie ksiądz Maksym miał w konsystorzu nie małe zrazu trudności, był tam jeden kanonik dawnego autoramentu, który się jego wyborowi bardzo sprzeciwiał. Nie można go było niczem na świecie pozyskać. — Co to waść myślisz, tam pracy taki jest nawał, mówił kanonik, że trzeba mieć nogi z kamienia, buty z żelaza, piersi mieć trzeba na wzór armaty wojskowej, aby krzyczała jak wystrzał z działu wielkiego; potrzeba uczyć, katechizmować, tak się uwijać i kręcić, jak nurty Sanu, rzeki, która płynęła w Przemyślskim! A ty jegomość niezdolny jesteś, będziesz tam leżeć na piecu! Słowa te miały swoją podstawę i wagę, albowiem ksiądz Maksym, przybywszy do konsystorza, zawiązał szyję płótnem z półsetka grubszego, a podczas rozmowy dość głośno kaszłał, mniemając, że przez to więcej obudzi litości i prędzej przyjdzie do celu. Gdy jednak ten środek zamiast ułatwić, pogorszył sprawę w kanonikowskim umyśle, użył więc innej przebiegliwości. Wrócił czem prędzej do domu, wziął żonę, córkę, bratową swoją z dziećmi i innych kilka niewiast pokrewnych, z którymi na trzech podwodach przybywszy razem do miasta Przemyśla, najął dom chłopski gdzieś na przedmieściu i potem co dwie godziny posyłał dzieci, kobiety, ażeby z płaczem, z narzekaniami, z lamentem, gdzie tylko spotkają kanonikowską osobę, błagały o miejsce w Złotówce.

Ostatni ten środek nie wiele zrazu przyniósł pomocy, owszem znaczne przyczynił wydatki, lecz gdy po czasie cała ta niewiast drużyna zgłodzona, strapiona, chodząc w ślad śladem za kanonikiem, z sił spadała; wówczas nie wiedząc co począć, sznurkiem lub jak to mówią gęsiorem, jedna za drugą powędrowały do kanonika mieszkania i tam usiadłszy pod

ścianą, postanowiły póty nie odejść, aż póki coś pomyślnego nie zrobią.

Kanonik nie był podówczas w swym domu, lecz wkrótce o zwykłej wracając godzinie myślał o jakimś odpuszczeniu, gdy w tem dochodząc, spostrzega pod swoim domem tłum osób! — Cóż to być może? spytał sam siebie, i gdy się zbliżał, wszystkie kobiety padły na ziemię, tamując przechód. Ta scena tak poruszyła starego księdza, że się sam schylał, podnosił je z ziemi, dał ucałować swą rękę, przyrzekłszy, że im nie będzie ze strony jego przeszkody. Na pełnej radzie gorliwsi księża, członkowie konsystorskiego zebrania w Przemyślu, według zwyczaju ustalonego niedawno, wzięwszy na stronę księdza Maksyma, brali od niego najuroczystsze zobowiązania i śluby stwierdzone niemal, prawie przysięgą, że przedewszystkiem, będąc parochem, musi pilnować i ruskiej sprawy. Dla zachęcenia dali mu nawet i obietnicę, że strzegąc sprawę rusińską w widokach wschodu, a rozrywając łączność z innymi, będzie miał rubli tyle a tyle miesięcznie lub tygodniowo, jak zechce. Ta kwestyja była uprzednio już omówioną po wiele kroć razy, teraz szło tylko o przypomnienie i o wskazówki jak, kiedy, gdzie, z kim ksiądz Maksym miał mówić i działać!

Po tej naradzie ksiądz Maksym, otrzymawszy najformalniejsze papiery, powrócił z całą swą gromadą z Przemyśla do domu, by się czemp prędzej przenieść do Złotówki. Przesiedlenie się jego na nową siedzibę nie pociągało wielkich usiłowań i pracy; udał się zrazu sam do Złotówki, by się przypatrzeć wszystkiemu, a tak był znękany to niepewnością, to kłopotami, że rzeczywiście wątłego był zdrowia i miał pozór tak niekorzystny, o jaki konsystorzowi w Przemyślu najbardziej chodziło.

Załatwiwszy przy otrzymaniu nowej parafii dość znaczne wydatki, tak się wysilił z kieszeni, tak się był wtedy wypró-

żnił, jak chory przy Morysona pigułkach, które pomiędzy duchowieństwem miały zawsze ogromne znaczenie i wziętość. Przybył on do swej nowej siedziby, jak bocian, na wiosnę, prawie bez centa, z małemi tylko ruchomościami, które na jednym mieściły się wozie. Nowa siedziba jego w Złotówce była też pusta, bo gdy o śmierci dawnego księdza wieść się rozeszła, — to w jednej chwili zbiegło się ludzi tak wiele, ze wszystkich karczem, z chatek sąsiednich z konsystorijatu Przemyśla i z dalszych domów; iż gdy nieboszczyk leżał na marach to rzeczy jego, pozostałości już rozchwymano z takim pośpiechem, jakby to było proso lub łowies ponarzucane na ziemię dla kur, indyków i prosiąt. Ludzie się pchali do domu księdza chwytając buty, koszulę, laskę, kapelusz kto co mógł tylko. Żydzi szarpali stare odzienia bijąc się ciała pomiędzy sobą; — żydówki znowu rozchwytały piernat, poduszki; księża z konsystorijatu z Przemyśla szukali w kufrach, pod piecem i pod podłogą pieniędzy; a zamieszanie było tak wielkie że pokradziono nawet płonące świece około ciała zmarłego! Był nawet jeden jakiś ksiądz młody, krewny zmarłego, który schwyciwszy trumnę już ją wynosił lecz mu odjęto, Wszystko przepadło, nie było nawet kogo obwinać.

Dom więc zastał ksiądz Maksym w Złotówce, jak na swe położenie, nawet obszerny, był pusty, bo oprócz Pryśki, dawniej służącej zmarłego przedtem księdza, nikogo w nim już nie było. Pryśka, służąc w tym domu z lat dawnych, czy ze zwyczaju, czy może z jakiegoś przyrodzonego usposobienia tak była przywykła do izb i domu zmarłego swego parocha, że chociaż została już wydaloną ze służby i zamieszkała na wsi u krewnych, co rano jednak jak tylko jutrzienka zbierała cienie, które się na noc schodziły, by je rozwiesić pod spodem ziemi, a swoje świeższe i pałające natkać natomiast promienie; jak tylko kogut, spuściwszy skrzydło, prostował

nogę, by potem zlecieć na ziemię i swoim szmerem obudzał kury, by razem z niemi szukać pokarmu na dole; wówczas i Pryśka wstawała z pod pieca, a uczyniwszy znak krzyża, — westchnęła głośnie, brała rękami swe włosy, zaczesywała palcami, wiązała chustkę na głowie, przypasywała spodnicę i prawie w najgwałtowniejszym pośpiechu leciała do domu, w którym uprzednio służyła, szepcząc po drodze: — Oj Boże, może już późno! — w tem przekonaniu, że wszystko jeszcze zastanie, jak było niegdyś.

Pośpiech po przebudzeniu się Pryśki był nadzwyczajny: kogut, który spał od niej na drugiej stronie, był dla niej zegarem i także był skory w stawaniu; zleciawszy na ziemię, kręcił się w kółku, zwoływał kury, a przypomniawszy o swych wczorajszych wycieczkach, razem z kurami spieszył na gnoje pod chlewem szukać o brzasku różnych robaków, które się wczoraj prawie z pod dzioba mu wymknęły. Co dzień on robił te same wycieczki, bo znał dokładnie każdy podwórza zakątek: raz wodził kury z tyłu pod stajnię, to znowu potem pod budkę, gdzie pies nocował; czasami dalej aż pod topolę, lub pod kałużę, zmieniając miejsca i czas przybycia. Niektórzy z chłopów z tego powodu zwali koguta *prowdyrem*, bo tak był sprytny i przenikliwy, że prawie wiedział zawczasu, na którym miejscu i w której porze mogą się zjawić robaczki z pod ziemi.

Nim jednak całe to ptactwo wyszło z podwórza, szukając szczęścia i przygód, Pryśka już była w plebanii; przybywszy na próg, otwierała drzwi, bo ciągle w jej oczach snuły się dawne wrażenia; widziała w myśli księdza, który już jednak od dawna leżał w mogile, słyszała głos jego, a nawet często brzmiały w jej uszach jakieś rozkazy i krzyki, że się za późno zjawiła; lecz otworzywszy drzwi domu i spostrzegłszy pustki, dopiero przypomiwała, że tam już nie było nikogo. Dzień

w dzień o brzasku powtarzała te same odwiedziny, a pochodziwszy po izbach, gdzie zwykle zcicha szeptała sobie: *Hospody pomyluj* i zaglądawszy do spichrza, wozowni, gdzie stała magiel i do pustych kurników, gdzie teraz jakiś kot sobie siadywał, dopiero wracała napowrót.

Po wyjściu Pryśki znowu się cisza rozpowszechniała w domostwie; wprawdzie czasem przychodziło nad rankiem do tegoż podwórza jakieś małe ciele, które dawniej będąc własnością zmarłego księdza, jako ruchomość było sprzedane żydowi; lecz ono postawszy pod furtką i nachyliwszy do ziemi głowę, po chwili zwąchawszy kilka kołków przy płocie i oblizawszy językiem, wracało nazad do karczmy; takie lizanie kołków miało swe myśli, albowiem ciele chciało doświadczyć, czy nie są słone, dla tego, że kiedyś dawniej na innem miejscu, to samo ciele lizając jakieś dwa kolki przy innym płocie, trafiło, że były słonawe. Zresztą przechadzki jego do karczmy nie miały pono żadnego już celu: raz od plebanii szło ono prosto do karczmy, to znowu z karczmy szło na plebanię, nie mogąc zrozumieć, co z nim się stało?

Gdy ksiądz Maksym, przybywszy do Złotówki, wjechał z swą furą wprost na podwórzec plebanii, wówczas przypadkiem Pryśka raz tylko doń zaglądnęła, potem pobiegła napowrót z zamiarem, aby już więcej nigdy do tego domu nie zajrzeć. W oczach jej stały jakieś widziadła i duchy, a cały świat dla niej tak się przemienił i przeistoczył, że niepodobna ani oczami go poznać, ani odgadnąć rozumem.

Pierwsze dni pobytu w Złotówce były dla księdza Maksyma bardzo ożywione. Korzystając ze zwyczajów wschodniej cerkwi, że tylko raz w tydzień, t. j. w niedzielę i w święta paroch powinien odprawiać mszę świętą; ksiądz Maksym odłożył obejrzenie cerkwi na czas późniejszy, swobodny. O cerkwi potem będziemy radzić, mówił do siebie ksiądz Maksym,

to jest dom Boży, więc niech go sobie P. Bóg pilnuje, to jego własność. Postawszy więc trochę w podwórzu i pomyślawszy, poszedł z kolei do karczmy, by ją zobaczyć, a potem by się rozpytać u żyda, gdzie mieszkają cerkiewni ludzie: palamarz, diak i dzwonarze, którzy mu byli potrzebni do znoszenia ruchomości. Gdy się już zbliżał do karczmy, wstrzymał się nieco i podkasawszy swą suknię, szukał pieniędzy, bo mu się chciało napić się wódki, bo mu głód już dokuczał. Karczma była zapchana ludnością, a gwary kobiece i gwary męskie zetknąwszy się razem z ryczeniem stojącego obok cielęcia, stworzyły odgłos, jakby w nim były krzyk pawia, miauczenie kota i huki byków z krowami. Była to chwila, w której panowało niezwykle na wsi wzruszenie: może na kwadrans przed przyjazdem księdza Maksyma do wsi, uderzył piorun, lecz nie wiadano czy w pobliżu, czy może w samej Złotówce? Z chat, które były około karczmy, wychylały się głowy bab, kobiet, dzieci patrzących w górę i pytających jakby powietrza, gdzie grom uderzył? Wkrótce i z karczmy ze schylonemi na dół głowami wysuwali się ludzie, a przechodząc przez próg, każdy musiał się spotknąć lub zachwiać na nogach: było to bowiem zwyczajem u nich prawie obowiązkowym.

Ksiądz Maksym, jeszcze uprzednio zwróciwszy oczy na ciele, które pod karczmą, podjawszy ogon, także patrzyło na księdza, rozmyślał, co by to ono mogło w tej wiosce kosztować? a ciele znowu patrząc na księdza, rozmyślało, czy on wypędzi go z miejsca, na którym stało, czy pozostawi w spokoju? Jedno i drugie było dość trudne do odgadnienia; więc ks. Maksym po chwili, zwróciwszy rękę do twarzy, dwoma palcami rwał z wewnątrz nosa włosy maleńkie, których nigdy nie mógł do szczętu wytepić; lecz ocucony stąpaniem ludzi, bab, chłopców, parobków i dziada z lirą, uchylił czapkę jakby chcąc z niemi rozmawiać.

Ludzie, widząc nowego przybysza w księżowskim stroju, zaczęli go w rękę całować; każdy podchodząc, zamiast powitać księdza słowami według zwyczaju, mówił mu tylko: „gdzieś grom uderzył?” Jeden tylko dziad z lirą odróżnił się nieco od innych, bo przystąpiwszy mówił do księdza: „gdzieś się nie-szczęście zdarzyło?”

Ksiądz Maksym, widząc swe nowe stado pasterskie zmieszane i niespokojne, uważał, iż mu należy coś właściwego powiedzieć; odezwał się więc do nich głośno w te słowa: „wi-„dziecie bracia... gdy cesarz jedzie lub cesarzowa, lub cesarze-„wicz przyjeżdża... to wojska biją z dział jemu, wystrzałem na „powitanie i radość; a kiedy paroch przyjeżdża, przysłany do „was na dusz pasterza, wtedy sam Pan Bóg ze swej armaty „na niebie każe swym duchom wystrzelić na powitanie dla „księdza! Ja jestem tu postanowiony władzą samego biskupa, „bym zajął miejsce zmarłego księdza waszego: do mnie należą „rządy nad wami, a do was mnie posłuszeństwo oddawać.“

Chłopi pozdejmowali z głów czapki, z ciekawością przypatrując się tylko twarzy księżowskiej; potem zaczęli szeptać po cichu i jedni drugich pytali, co ksiądz powiedział, czego tu przybył? Ksiądz Maksym, widząc że między nimi jest jeszcze jakieś zdziwienie i nieświadomość przedmiotu; znowu powtórzył to samo, słowo za słowem, bardzo powoli i jeszcze głośniej niż wprzód. Skończywszy mowę, patrzył jakie to na nich wywarło wrażenie? Cisza zapanowała tak wielka, że słychać było, kto, jakim głosem westchnął z wieśniaków: baby cieniutko na wpół urwanym oddechem, tłustsi wieśniacy, wciągawszy nosem dużo powietrza, nagle swój oddech urwali, nie wiedząc czy trzeba westchnąć, czy się zataić i nie okazać wrażenia; dziad z lirą szukał po ziemi, czy nie spadł mu kołek od liry; ciele, widząc tłum ludzi, myślało, że go chcą łapać

i już się wzięło uciekać!... Znowu więc jeszcze większa niepewność, niezrozumienie zaczęło wszędzie odbijać!

Ksiądz Maksym także zdumiony, stojąc wśród ludzi, pomyślał sobie: „źle idą rzeczy, trzeba im jeszcze powtórzyć!„. Wszedłszy w tłum bliżej, podjął dwie ręce do góry i mówiąc znowu to o cesarzu, to o wystrzale na wiwat, dla łatwiejszego pojęcia począł swym głosem im naśladować, jak idzie odgłos z wystrzału; potem raptownie mówił o niebie, tak jak uprzednio. Gdy skończył mowę, którą dosłownie powtórzył, zamilkł, postanowiwszy już sobie nic więcej do nich nie mówić!

To ożywione opowiadanie wzbudziło w chłopach większe zajęcie: jedni z wieśniaków tak byli zdziwieni, że patrząc się w górę, słuch natężali, czy coś doprawdy nie strzela? inni więcej ciekawsi rozpytywali swoich sąsiadów, czy ksiądz wie o tem, czy nie wie, gdzie grom uderzył? a jeszcze inni ze strachem mówili z cicha, że ten ksiądz jest nieboszczykiem zapewne, lub duchem księdza zmarłego, bo opowiada o sprawach tamtego świata i inne rzeczy. Baba stojąca najbliżej księdza, z natury śmielsza od wielu chłopów i najuważniej słuchając mowę księżowską, czuła instynktem, że prawie cała gromada tym razem znowu z natężeniem czekała nowych wyjaśnień tak co do celu przybycia do wsi w tej porze księdza, jak również i jego mowy? Rzekła więc głośno do tłumu: — czegoż czekacie? ten ksiądz tu stanął w karczmie na popas; przyjechał, aby powiedzieć, że do nas cesarz przyjedzie, — a potem poszła.

Ludzie zaczęli także się wtedy rozchodzić, mówiąc nie dbale: — e! to nie prawda! to same kłamstwa! co rok nam mówią, że cesarz będzie, a jeszcze nie był! — Ksiądz Maksym trochę niekontent, że się napróżno wysiłał, poszedł do karczmy napić się wódki, wziął kilka bułek żydowskich na dziś i na jutro, potem wyszedłszy zaczął już bliższy załatwiać sobie interes, spytawszy gniewnie gdzie jest palamarz, diak i cerkie-

wni dzwonarze, kazał jakiemuś chłopu odszukać ich, i jak najspieszniej sprowadzić do plebanii dla zniesienia do izb swych ruchomości.

II.

Niedługo trwało rozstawienie sprzętów księdza Maksyma, wkrótce przyszła noc, przełęcznione blaski poczęły spieszenie uciekać na inne miejsce; osamotnione powietrze niepokojąc się po nich, okazywało właściwe sobie wzruszenie, a gwiazdy śmiejąc się z tego na niebie, puściły odgłos, z którego ich cała postać błysła rumieńcem z płomienia. W ogródku księdza parocha zachmurzyły się liście, straciwszy kolor i życie; ale ta strata była ukrytem złudzeniem dla ludzkich oczów. One się tylko zmieniły dla istot, które bez słońca nie mają sądów lub sąd wydają zwodniczy: blask, życie, kolor, cała powierzchnia zewnętrzna i cała postać, która w ich wnętrzu zostaje, były niezmiennie, te same, jak były we dnie; choć wieczór przyszedł, choć zmrok okrywał ich przestrzeń, nie mógł ich jednak ni przeistoczyć, ni im odebrać ten pozór cały, strój, wdzięki, postać, które im blaski za dnia nadały!

Cóż z tego, że ludzie często głoszą z pewnością: „ten a ten człowiek jest nieco chytry...“ im się tak zdaje! Cóż z tego znowu, że ludzie mówią, nie ma na drzewie listków po nocy, lub tylko czarne... im tak się zdaje!!

Ogród przy domu księdza plebana, przez który często tym razem ciągle chodzili diak i dzwonarze, właściwie mówiąc z tego się tylko odmienił, że obok drzwi zarośniętych powojem, przybito klatkę ze szczygłem i że ta furtka z ogrodu, która jak gdyby z zaczarowania zwyczajnie stała otworem, dziś była zamkniętą. Diak i dzwonarze, chcąc się podobać no-

wemu księdzu swojemu, by o nich mówił, że lubią porządek, tę furtkę dobrze przymknęli.

Noc była gościem tak pożądanym dla księdza Maksyma, że ją powitał najserdeczniejszym ukłonem, schylił się, zasnął i zaczął chrapać, a w tem chrapaniu jak gdyby mówił jakieś mniej więcej źle określone słowa do nocy: „dziękuję tobie!“ Przyzwyczajony do gwaru, który w rodzinnem życiu się słyszał, ksiądz Maksym zasnął twardo i prawie nie przebudził się. Nim sen go objął i musnąwszy twarz, pieścił wzrok i zakrywał powieki, ksiądz Maksym pomyślał o żonie i o swej córce, lecz te wspomnienia były dość krótkie, bo wiedział, że i one może za parę dni przyjadą tutaj.

Wstał bardzo rano, oczyścił swe suknie, chcąc się przedstawić w właściwej porze właścicielowi wsi tej, hrabiemu Centkowi, który jako patron parochii nie tylko nie czynił księdzu Maksymowi żadnej trudności, ale co większa, nie znając go i nie widząc nigdy, polecał konsystorzowi w Przemyślu jako pożądanego i najzacniejszego parocha dla wschodniej cerkwi. Ścisłe mówiąc, mógł nawet ksiądz Maksym nie iść do dworu, i nie dziękować hrabiemu za uczynioną łaskę, tem bardziej, że według tych politycznych warunków, które konsystorz mu postanowił, nie wolno było ruskiemu księdzu mieć z nikim obcym dla ruskiej sprawy stosunków. Zostawszy proboszczem, nie dbał o ludzi, nikt już z parochii wysadzić go nie mógł; a zresztą hrabia do cerkwi nie chodził, a nawet i do kościoła nie jeździł; żadnej pomocy cerkwi i kościołowi nie dawał, twierdząc każdemu bardzo wyraźnie i głośno, że w kraju bezwyznaniowym, w Galicyi, żadnej nie trzeba religii. Lecz mniejsza o to, tu rzecz chodziła o co innego, ważniejsza sprawa: hrabia miał dużo gnoju, o czem diak i dzwonarze twierdzili; ten gnój czasami sprzedawał, chował starannie najlepszą trzodę, prosiętą; więc się ksiądz Maksym stanowczo wybrał do niego,

tem bardziej, że raz osiadłszy w Złotówce, w najzyskowniejszej parochii, dla poprawienia domowych swych interesów, chciał ze wszystkiego i ze wszystkich największe zdobyć korzyści.

Dwór od parafii nie był daleko, a każdy dwór pana na wsi w Galicyi ma swoje piętno i swoją cechę osobną. Domy po miastach urzędnikowskie, kupieckie, mieszczańskie, nauczycielskie i inne mają mniej więcej pewne do siebie zbliżenie i podobieństwo w meblach, w układzie i w urządzeniu, nawet w sposobie życia ich właścicieli, w przyjęciu i w obyczajach; lecz dwory panów po wsiach bardzo się różnią od siebie. Jak nie ma po wsiach w Galicyi spójni moralnej i towarzyskiej, jak nie ma utrwalonego stosunku; owszem niewiara, nieufność i podejrzenia gryzą i rozsuwają na różne krańce wiejskich dziedziców; tak też każdy dwór na wsi stanowi tutaj osobne, tak zwane państwo; rzekłbyś ma nawet niby osobne, właściwe sobie i ministeryjum i dyplomacyję i zarząd i obyczaje i wady! Bo rzeczywiście! patrząc się nie raz, można pomyśleć, że każdy dwór wiejski jest jakby krajem z osobną, narodowością, mową żydowską, francuską lub inną, instytucjami... ma nawet zewnątrz mniej więcej odmienny pozór, ruch, cechę!

Gdy się ksiądz Maksym temi myślami zaprzątnął, idąc powoli, ani się spostrzegł jak stanął tuż obok domu hrabiego Centka. Wielki dziedziniec, na którym możnaby było zasiać po wiele korcy, leżał odłogiem i bez użytku żadnego, po nim chodziło trzech arendarzy miejscowych i kilku żydów z sąsiedztwa. Ksiądz Maksym pomyślał sobie, że ten ogromny dziedziniec zapewne jest uczyniony umyślnie, by po nim żydzi chodzili. Między żydami była rozmowa wyższego kroju i ożywiona i bardzo treściwa: jak widać, jeden z tych żydów miał jakiś rzepak kupiony, lecz mu nie wydano w swym czasie, bo go zabrakło u pana hrabiego, a może go nawet nigdy nie było! Żyd więc chciał swoje prawa i swe pretensyje odstąpić innemu

żydowi i z cicha już się umawiał. Drugi żyd znowu kupił las u hrabiego, ale tak tanio, że można było pięć razy tyle wziąć za to; hrabia więc pragnął natomiast młodszy las oddać żydowi, trzy razy większy od dawniejszego; ale ponieważ żyd już wyrąbał połowę lasu starego i wziął pieniądze, a na część pozostałą zrobił już z Prusakami umowę; więc żyd wymagał, aby pan hrabia wziął tę umowę na siebie, podpisał kontrakt i sam z Prusakami miał czynność. Wspólnik zaś żyda nie zgadzał się na to, lecz w starym lesie dawał hrabiemu młode porosty, a w młodym lesie brał wszystkie starsze na swoją korzyść, obowiązując się przytem załatwić w dodatku uprzednią sprawę o rzepak. Na samo jednak wspomnienie, że spór o rzepak miał na innego przechodzić, czwarty żyd znowu, temu obecny, chciał złączyć: stary las, nowy las i rzepak z jakąś najnowszą z hrabią umową o dług wekslowy i o tem bardzo obszernie tłumaczył. Gdy jednak wszczęła się mowa o weksel hrabiego, piąty żyd ze zdziwieniem obecnych wniósł się nagle i przystąpiwszy do wszystkich, z takim wzruszeniem i tak zajadle mówił o wekslu hrabiego, że mu się ślina z ust wypryskała, iż się zdawało, że żyd mówiący o tym przedmiocie, dostał wściekliznę. Cała ta razem żydowska drużyna, chodząc po wielkim dziedzińcu, to się zchodziła, to rozchodziła, co chwila zmieniając tylko miejsce na ziemi i ruchy ciała. Jeżeli który żyd krzyknął w rozmowie z powodu nieporozumień, wówczas chodzące zdala po tym dziedzińcu indyki, zabelkotały nатыchmiast, a drapiąc ziemię rozpuszczonemi skrzydłami, zdały się grozić im śmiercią, a jeśli żydzi ruszyli się czasem dla interesu na stronę, wówczas kogut i kury z przychyłonemi na dół głowami, widząc że im niewolno nawet na pustym dziedzińcu szukać łakoci, któreby pewnie i bez nich wróble pojadły, z niechęcią na bok pierzchały, ciągnąc tym ruchem za sobą inne postaci różnego drobiu.

Ksiądz Maksym wstrzymał się, słuchał i słuchał każdą rozmowę żydowską, rozważał wszystkie warunki, pytał się potem każdego z kolei żyda o wyjaśnienia, lecz wątku nie złapał! Wszystko tam było tak pomięszane, a zawikłania tak trudne, że należało uczyć się pierwszej i geografii i buchalteryi i notaryjalne poznać przepisy i statut wekslowy, a nawet i artyleryję; to powiedziawszy, ksiądz Maksym wysiakał nosa, dążąc do drzwi domu hrabiego.

Im bardziej zbliżała się chwila zetknięcia się księdza Maksyma z wiejskim dziedzicem, który jak zwykle nie był rusinem, tem silniej pomimo woli uczuwał niepokój. Może konsystorz dowie się zaraz, może posądzić o takie rzeczy, o któreby żadna na świecie, największa ryba nie posądzała parocha; ale gnój będąc mu bardzo potrzebny do nowych zasiewów i trzoda tak nieodzowna i tak konieczna przy gospodarstwie, iż bez niej człowiek nie czuje życia, nie ma radości i pocieszenia żadnego, zmniejszały twogę.

Hrabia Centek miał dom, który w opisie będzie się здаwać tak niepodobnym do prawdy, jak owe hiszpańskie pałace, które w przysłowiach zostały; a jednak bez żadnej przesady dom był skromny, a w nim był taki porządek, jak w tych żydowskich na dworze rozmowach. Jak tam na dziedzińcu jeden żyd w mowie ruszał się co chwila i krzyczał, tak wszystkie stoły i krzesła pana hrabiego dotknięte ręką, chwiały się zaraz, skrzypiały; żaden stół nie był w całości: w jednym drżały niepewne nogi, w drugim szuflada jakby kołyska lulała się, w trzecim wierzch stołu; a krzesła porozstawiane pod ścianą, chociaż się zdaly w sztywnej postaci jak żydzi w czasie szabasu w bożnicy, to jednak raz poruszone, tak się zmieniały w pozorze, że już nie można postawić było w tem samem miejscu takimi jak były. Jak tam na dworze między żydami trudno się było w czemś porozumieć, tak w domu pana hra-

biego trudno dojść było, dla czego z bawialni szło się do kuchni, czemu sufitry są bardzo niskie, okna są za wysoko? czemu podłoga będąc w przeszłości posadzką, tak wyglądała jak dach gontowy na starej karczmie? a znowu dach domu pana hrabiego miał podobieństwo do jakiejś podłogi w spiżarni. Drzwi, okna, ściany czyniły pozór wywróconego rękawa ze starej sukni, w którym wierzch był na spodzie, a spód na wierzchu. Wprawdzie ksiądz Maksym, będąc wzruszony, miał oczy, które migocząc się co chwila, nie poznawały tych różnic, zaciekawiony czy swój pomyślnie robi interes, ledwie w połowie uważał tylko na wszystko, co się widziało lub się spotkało aż do ostatniej chwili zdybania samego pana hrabiego.

Gdy drzwi otworzył do sieni, stał w niej służący, który mógł razem być nocnym stróżem, trzymał garnuszek, zanurzał palec w śmietankę i oblizywał go w ustach, nie widząc księdza. Wprost z sieni inne drzwi stały otworem, po za którymi był pokój. Ksiądz Maksym myślał, że tam zapewne panie, lub jakaś może hrabina chodzi i po cichutku na palcach przeszedł sień i zaglądnął, co tam się robi? patrzy, a w tym pokoju chodziły prosięta i trzoda; zkąd tam się wzięły, któredy weszły? nie można wiedzieć. Prosięta cienkie śpiewały aryję, a starsza trzoda z muzykalnego usposobienia, czy ze zwyczaju wtór brały. W całym pokoju śpiew się rozchodził, ale tak naturalny, bez żadnej przesady, bez min, bez chwiejnych ruchów i bez wykrzywień ust albo nosa, jakby śpiewacy z najlepszej powychodzili szkoły włoskiej, niemieckiej, a może nawet angielskiej, gdzie przyzwoitość jest wielka.

Ksiądz Maksym, spostrzegłszy zwierzęta, rzucił się prosto do ich pokoju z ożywionemi oczami, sercem i myślą, bo te zjawione postaci pewną w nim obudzały nie tylko ciekawość, lecz i namiętność zmysłową. Mierzył w swej myśli ich szyję, z upodobaniem oceniał głowę, podziwiał nóżki małeńkie, wzrost

i budowę tak kształtną, jakby natura cały wysiłek piękności w nich umieściła dla wdzięku. Trzoda na widok jego wydała głos strachu, rzucając się na bok i chcąc koło nóg księdza wymknąć się z izby. Wtedy służący, trzymając w ręku garnuszek, spojrział dopiero w tę stronę, z kąda krzyk wychodził. Patrzy: ksiądz stoi, a obok niego prosięta biegną. Zdziwił się bardzo, przeraził, z kąda tam jakiś ksiądz wziął się? własnemu nie wierzył on oku, stanął jak wryty i w tejże chwili przypomniał sobie, iż słyszał na wsi, że obok karczmcy prawie w tym czasie, gdy grom usłyszano, cały tłum ludzi zobaczył ducha zmarłego księdza! Chciał już uciekać, puścił garnuszek na ziemię, a świnię myśląc, że ktoś kamieniem na nie ciska, poczęły rwać się i cisnąć przez sień; jedna w tem rozdrażnieniu i gniewie, schwyciwszy w sieni jakąś serwetę na ziemi, na której był ślad tłustości, razem wybiegła z innemi, trzymając w pysku jakby chorągiew zdobytą.

Został się tylko ksiądz i służący hrabiego i obaj stali, patrząc się wzajem na siebie. Ksiądz Maksym nigdy nie widział domów hrabiów, myślał, że tam zastanie przepych cesarski, tymczasem nie mógł zrozumieć czy to umyślnie, czy przez wypadek w izbie chodziła trzoda? Wprawdzie od palamarza wiedział o trzodzie, o nadzwyczajnych pieszczotach, o wychowaniu, wygodach i najobszerniejszych wolnościach, jakie im dane patentem hrabiego, tak, iż rzec można, że miały one równouprawnienie z ludźmi wiejskiemi, a uderzony opowiadaniem pytał się przedtem staroego dzwonarza, co za cel tego? Dzwonarz, chcąc się pochwalić przed swoim nowym parochem, że ma stosunki i nie jest lada kim w świecie, powiedział księdzu, że to jest zwyczaj, że on już stary, kilku znał hrabiów, służył przy jednym; że do godności hrabiego jest przywiązane po całym kraju z wyższego ponoś nakazu, ażeby trzodzie okazywano honory. Dzwonarz wspomniawszy o tem, nie wiedział czy mówi prawdę? sam

jednak wysoko ceniąc znaczenie trzody przy gospodarstwie, był przekonany, że inni również tego są zdania. To przypomnienie nadało księdzu trochę odwagi do mowy, stojąc już w sieni, podszedł do służącego hrabiego i chcąc go ująć uprzejmie według zwyczaju za ramię — O! wyrzekł. Służący B! odpowiedział, ale tak drżąc, jakby już przed nim śmierć stała, bo to powolne zbliżenie się księdza przypomniało mu opowiadania bab wiejskich, że tak duch chodzi! Wtem po za domem hrabiego szmer dał się słyszeć, świnią trzymając w pysku serwetę, była spłoszona przez żydów i uciekała poprzód oknem. Służący myśląc, że biegną ludzie i że go będą ratować, uradowany z pośpiechem strzały spojrział przez okno. Patrzy się, patrzy z coraz to większym przestachem, że jakaś postać w rodzaju świni, trzymając w pysku coś bardzo długiego i bardzo białego, pędzi galopem; mniemając że to duch pewnie przed nim stojący zmienił się w trzodę, znowu się zwrócił do izby. Ksiądz stał jak przedtem w tem samem miejscu. Więc w przerażeniu szukał, czy nie ma gdzie kija, by się obronić, krzyknąwszy: — kto to?

Przy drugiej ścianie drzwi się otwarły i wyszedł hrabia, spostrzegłszy księdza, zapytał ostro, czego on żąda? Ksiądz, ukloniwszy się nisko, zrozumiał, że to jest dziedzic i przystąpiwszy do niego, powiedział: — chciałem oświeconemu panu hrabiemu wyrazić podziękowania; jestem nowo przybyłym parochem, by zająć miejsce zmarłego księdza w tutejszej wiosce. Hrabia się cofnął, szerzej otworzył drzwi od pokoju, mówiąc przy ruchach: — a bardzo dobrze, a doskonale, niechże ksiądz wejdzie. Ksiądz próg przestąpił, znowu się skłonił i stanąwszy przy drzwiach, nie wiedział co dalej mówić; usta zaczęły pomimo woli same się ruszać w takim pośpiechu jakby coś mówił, a jednak ksiądz milczał. Hrabia to zauważał, a myśląc nawet, że ksiądz po cichu coś mówi, rzekł: — proszę więc

głośniej powiedzieć, proszę tu siadać, czy ksiądz przyjechał z całą rodziną, czy dawno? cóż to się znaczy, że o przybyciu księdza parocha nic nie wiedziałem? Ksiądz ma podobno, jak mi mowiono, ładną córeczkę, to bardzo dobrze, przybędzie do nas nowa bogini, wieś się ożywi, nowy ruch przyjdzie, będzie weselej! ja się tak cieszę, gdy coś zobaczę świeżego jeszcze. Ja księdzu powiem... cóż to ja chciałem powiedzieć?... niema jak życie niewiast! prawda jegomość? wy księża wschodu, z głębszego kufła mądrości schwycili osad, by zeń wyrobić albo wymiesić, aby wyrosło życie człowieka, macie święcenia i żony razem, a to ostatnie tak człowiekowi potrzebne, jak worek na zboże, a może więcej jak rybie woda, kotowi myszy, chmurom powietrze, bo na czymby one wisiały? To tylko jedno w was mię uderza, że niepotrzebnie nas nazywacie lachami, a siebie samych ruskimi?! cóż to za podział? to was konsystorz pcha do rozdziału, on winien. Na moim gruncie nie ma tych różnic, my po swojemu, wy po swojemu Boga chwalicie i koniec. Cóż mi ksiądz na to odpowie? — a przystąpiwszy do księdza Maksyma z całą poufałością, wziął go rękami za wierzch kolana i począł trząść nim, jakby go pragnął do przyjacielskiej skłonić rozmowy. Ksiądz Maksym trochę się otrząsł, nie mógł na razie na tyle pytań poukładanych bez spójni, tak jakby drągi w oborze, coś odpowiedzieć hrabiemu, lecz się uśmiechnął, widząc, że się znajomość łatwo zawiera, że hrabia mowny i że zapewne można z nim będzie żyć, jak to mówią, i łądzić. Osądziwszy więc w myśli, że może teraz już się właściwa natknęła pora do interesu, rzekł do hrabiego: — ja się ośmielam prosić pana hrabiego o odstąpienie mi gnoju do roli.

Hrabia, nie dosłuchawszy ostatnich księdza wyrazów, gdy mu się w uszach sam wyraz „prosić“ zatrzymał, wziął drugą ręką za wierzch kolana, które ksiądz zniżył i znowu trzęsąc

z uśmiechem, rzekł księdzu: chcesz mię jegomość o co poprosić? proś, proś, kochany, nie ma nic w świecie, czegobym tobie odmówił! Ja takich ludzi, co mają córkę, pełną urody i krasy, wspieram czem mogę! Powiedz więc zaraz, lecz tylko śmiało, jak najdawniejszy znajomy. Ksiądz Maksym zdziwił się nieco, zkąd hrabia wiedział, że jego córka przystojna? to mu się trochę nie podobało, bo cóżby z tego wypadło? Nie wchodząc jednak w jakieś domysły, czy hrabia znał ją lub widział, przypisał słowa hrabiego żartom wesołym, rzekł więc swobodnie: — niech mi pan hrabia odprzeda gnoju!

— Gnoju? zapytał się hrabia; gnoju? powtórzył; otworzył usta bardzo szeroko, jakby chcąc doktorowi jakiemu albo dentyście pokazać zęby i w tej postawie patrzył na księdza, a ksiądz z kolei patrzył mu zdala na usta. Gnój u hrabiego mnożył się bardzo, lepiej jak wszędzie, ale był sprzedawany tak prędko, że nie tylko ten co był, lecz nawet ten, co dopiero za sześć miesięcy powstanie, naprzód już był sprzedany zawczasu. — Ja potrzebuję, mówił ksiądz dalej, do uprawienia mej roli dobrego gnoju, nowo przybyły nic nie zastałem w probostwie, mam więc nadzieję, że mi pan hrabia jakoś użyczy i poratuje.

Hrabia z natury był bardzo mowny, ale tym razem jakby rozmyślał, co odpowiedzieć? czy z księdzem mówić otwarcie, czy też udawać, że będzie wkrótce bogaczem, że się spodziewa spadku majątku po krewnych, o którym zwykle przy interesach zawsze powtarzał z taką pewnością, jak gdyby nowa wieś jakaś była w podróży do niego i lada chwila miała się stawić w jakimś bogatym powozie z całym przepychem. Będąc w dość przykrem swem położeniu co do majątku, hrabia ratował zwykle swój własny humor i tych, co z nim mówili, jakiemiś wymarzonemi blaskami szczęścia, które go tylko oczekiwało, aby zaprosił. Mówiąc często o tem, tak się był w duszy

oswoił z nadzieją, iż ona pomimo tylu i tak zawikłanych interesów, dawała mu dużo otuchy w biedzie, a często niosła mu nawet wesołość w darze. Ale przed chwilą nagaławszy się o tem z żydami, którzy wyszedłszy od niego, już po dziedzińcu chodzili, nie miał natchnienia znowu to samo powtarzać księdzu. Pomimo więc różnych żarcików, któremi spotkał księdza Maksyma, a które były następstwem tej ożywionej swobody i wesołości w mowie uprzedniej z żydami o urojonych bogactwach, wszedł w zamyślenie, co księdzu powiedzieć o gnoju?

Po krótkim przestanku, by nie obudzić jakichś podejrzeń i nie przydawać wielkiej wartości tak małej sprawie, rzekł księdzu: — rozważam nad tem, że na wielkim i obszernym tym dworze, że w wielkiej tej chacie, którą my światem zowiemy, stykają się razem ze sobą same sprzeczności. Ja mówiąc z księdzem, miałem myśl poruszoną jakąś pięknoscią córeczki jego, widziałem zdala jakąś boginię... — Zkądże pan hrabia, patrząc się na mnie, mówił ksiądz jemu, pomyślał o tem? — Hrabia zamilkł; w rzeczywistości nigdy jej w życiu nie widział, nawet nie słyszał czy ksiądz ma córkę, czy nie ma; ale ponieważ księża mają zazwyczaj po wiele dzieci, a są niektóre przystojne, więc się wydało hrabiemu, że trzeba chwalić. — Widzisz jegomość, rzekł potem hrabia, jestem jak lirnik, któremu ciągle czy to z potrzeby, czy bez potrzeby rosną piosenki i śpiewy, a nieraz nawet wtedy je wyrwie, kiedy się sam nie spodziewa. Zresztą co do tej sprawy, o której ksiądz mi nadmienił... ja z doświadczenia gospodarując oddawna, nabrałem wiary, iż co zamierzę, co przedsięwezmę tylko uczynić, nic mi nie idzie jak trzeba, choćbym miał zrobić mały interes, bylebym tylko się dotknął już mi nie pójdzie. Dla tego właśnie mając w mej wiosce trzech arendarzy, jednego wziąłem i powierzwszy mu władzę, to co on robi, na to przystaję czy w gospodarstwie, czy w sprzedaży większych

i mniejszych przedmiotów. Zmieniłem rękę; rozumiesz, księże? są jedne ręce lekkie do interesów lub jak to mówią, szczęśliwe, inne są ciężkie; a ja z mojami nieprzydatnemi, od których szczęście tak stroni i tak ucieka jak śnieg od słońca, siedzę bez ruchów! Wiem żebym pewnie nie jedną sprawę zanciej prowadził, jak żyd arendarz; bo wszyscy żydzi według mych zasad są szachrajami i na to żyją, by nas uwikłać i wpędzić w matnię, lecz jak pomyślę, że tyle tysięcy razy już się rzucałem na wszystkie strony, że mi słów wychodziło z ust może tyle, ile po ziemi siejemy ziarenek w jesieni i z wiosną, a zawsze napróżno, to mię ochota odpada; nie chcę i mówić o interesach, bo to jest na nic! Gdy mi przekłada ktoś jaką sprzedaż albo interes, to ja otwieram usta szeroko, jak uczyniłem przed chwilą, pamiętasz księże, na znak, że w tym przedmiocie musiałbym mówić tak wiele, że przez otwarte najbardziej usta, wszystkie nie wyszłyby słowa!

— Pan hrabia jednak ma piękną trzodę, odrzekł ksiądz Maksym, do której żyd już nie może należeć... więc z tego wnoszę... — nie dokończywszy wyrazów, ksiądz westchnął bardzo głęboko, bledząc się skrycie, że mu nie pójdzie interes, że w nowej swojej siedzibie będzie miał wiele trudności, musi związać się z żydem i tym podobne.

Hrabia, usłyszawszy westchnienie księdza, skrzywił się; żałował bardzo, że z nim otwarcie pogadał, ale cóż było robić? Ksiądz i bez tego jako miejscowy i zamieszkały, byłby się wszystko dowiedział z czasem. Wstawszy więc z krzesła i w przekonaniu, że to westchnienie księdza wyszło z jakiegoś współczucia, że go ksiądz pewnie żałował, rozmyślał w którąby stronę zwrócić rozmowę, bo wszelka litość sprawiała mu pewne upośledzenie. — Wiesz co jegomość, rzekł z wesołością, ja dla duchownych wszelkiego stroju, wszelkich przepisów i reguł mam rzecz ciekawą! Jegomość siedząc westchnąłeś trochę,

myśląc zapewne, że jesteś w cerkwi, że się modlitwa odbywa; a my mieszkając jednak na ziemi, musimy w domu wszystkie jej piękne mieć twory. Wziął księdza za rękę i wiodąc do ściany: — spojrzno, powiedział, co to za cuda? potem wskazując palcami na sztychy, czynił mu długie opowiadania. Oto jest portret dwóch kapucynów grających w karty, prawda? to Wenus idąca prosto z kąpieli; to jest sułtanka, ale tak cudnej wody, że wszystkie przeszła piękności! Popatrz się, księżu, na te usteczka lub na te oczy, a teraz patrz się na buzię, na te jagody różowe? są to korale, a może jeszcze piękniejsze, a co nieprawdaż?

— A widzę, widzę, odrzekł ksiądz Maksym, cóż to kosztuje?

— A to, rzekł hrabia, biust jej, słodszy od miodu, biel szy od śniegu, po nim niebieskie przechodzą smugi, ile tu pie szczot, ile rozkoszy w dotknięciu? czy dobrze widzisz?

— A widzę, widzę, ksiądz odpowiedział, cóż to kosztuje?

— To znowu hetman Mazepa, gdy był uwiązany do ko nia; a to jest jakaś bogini, w dole jest podpis i objaśnienie.

— A widzę, widzę, rzecze ksiądz Maksym, proszę po wiedzieć, cóż to kosztuje?

— Co tam o koszta, powiedział hrabia; gdyby ktoś sprze dał wszystkie wsie, miasta, wszystkie stolicy, jakie są tylko na świecie i wszystkie zboża, wszystkie ziemniaki i lasy; to za pieniądze już otrzymane nie mógłby kupić jednego oka suł tanka!

— Cóż? takie drogie? ksiądz się zapytał.

— Sam przecie osądź jegomość, przypatrz się lepiej! — Hrabia wraz z księdzem przytknąwszy blisko głowy do siebie, tak że się prawie schodziły, z wielkiem zajęciem opatrywali sułtankę. Ksiądz myślał sobie, gdyby choć trochę córeczka jego była podobną do tego sztychu, toby zapewne nie miał

tak wielkiej korzyści, tyle pieniędzy ile las, pola, zboża, ziemniaki z całego świata zebrane mogłyby przynieść? Lecz znowu pytał się siebie, ktoby to kupił tak wielką ilość? ile to worków na to potrzeba i ile podwód do przewiezienia, ale gdzie, komu? gdzieby się wszystko to pomieściło? po czemu byłby korzec ziemniaków naówczas? po czemu zboże? W tem rozważaniu, które mu długi czas wzięło, zapomniał, że głowa jego jest obok głowy hrabiego; ruszył nią prędko, uderzył w czoło hrabiego i pragnąc przeprosinami go ująć, spojrzał mu w oczy. Twarz u hrabiego była czerwona, nabrzmiały w niej żyły, a oczy trochę we łzach zmoczone. Ksiądz się przestraszył, cofnął się nieco i ze zdziwieniem bardzo wyraźnem pytał hrabiego, co mu się stało?

— Gdy już jegomość jesteś przytomny tej chwili i widzisz twarz i wzruszenia, to powiem tobie, że moje serce tak się wezbrało gwałtownie żalem, że tylko chyba rozmową go stłumię. W tej chwili nawet nie myślę o tem, z kim mówię?... gdybym był w lesie, mówiłbym z drzewem, z listkami; gdybym stał na dnie wody głębokiej, mówiłbym z piasnku ziarnkami... Przed laty miałem ja żonę, której nos, a może więcej jej oko było podobne do tego, które jest tutaj, w tym sztychu. Ona była kobietą anielskiej duszy! wiem już dziś o tem, że gdyby we mnie dwieście najlepszych aniołów przesiadywało bez przerwy, tobym i wtedy nie był jej godzien! Cóżby mi oni pomogli? miałem to samo ciało, krew, pozór, choć nieco młodsze jak dzisiaj, zaniedbywałem siebie, ja, innych, tak jak i teraz! Kiedy pomyślę o pierwszych latach pożycia z żoną, o mych staraniach się o nią, gdy była panną; to albo rwę sobie włosy na głowie; z obydwóch ocz chciałbym wyskubać me rzęsy; na ustach wąsy chce się włos szarpać po włosku; potem twarz, ręce, piersi i nogi zamienić w nicość... lub w upojeniu, w zachwycie tak się przemienię w jakąś myśl piękną,

że cała moja ziemiska powłoka staje się jakimś najcudowniejszym westchnieniem! lecę do góry jakbym na sobie nie miał ciężaru i wagi! a wiesz dla czego, jegomość?

— Nie, panie hrabio, nie mogę tem służyć, ksiądz wyrzekł. To ja ci powiem dla czego! bom ją miał niby i nie mam! o! jakże dawno o tem przed ludźmi mówiłem?! tu nie ma komu, tu nie ma przed kim otworzyć serca... sąsiedztwo liczne, ale tak prawie jakby nikogo nie było! Nim jeszcze czynił o moją żonę zabiegi, miałem się dobrze, wieś moja była jak łąka czystotka. Raz w jakieś święto kościelne byłem w kościele, opanowała mnie jakaś niespodziewana modlitwa, ale tak szczerą i tak głęboką, że się sam temu dziwiłem; takiej nie miałem, nie mam i mieć już nie chcę! a gdyby przyszła, to ją odpędzę pięścią i nogą, rozumiesz księże?

— A! ja to dobrze rozumiem, — powiedział ksiądz Maksym, a pomyślawszy o nodze, z nogi na nogę swoje przelożył kolano.

W tem powiedzeniu księdza Maksyma hrabia czuł jakieś zaspokojenie, większą miał nawet dla księdza życzliwość i mówił dalej. — Modląc się sercem, stanął mi w myśli obraz przyszłości człowieka i rzekłem w duszy: jeśli Ty Boże kierujesz ludźmi, jak mówią księży i kaznodzieje; jeśli los każdej jednostki obchodzi ciebie więcej jak samych ludzi, to wskaż mi teraz, poradź po ludzku, kogo mam wybrać za towarzyszkę i żonę?

— Gdym te ostatnie mówił wyrazy, dreszcz po mnie przeszedł, bom czuł zdaleka, że się zapewne może stanowczy los mój rozstrzyga na całe życie. Oczy zmrużyłem jak gdybym nie chciał patrzeć na ludzi, jakbym sam nie miał swą własną wolą brać w tem udziału. Wtem się ocknałem, uspokoiłem, widzę że przy mnie, w tem samem miejscu gdzie nieco przedtem nikogo w świecie nie było, klęczy najcudowniejsza

dziewczyna. Wziąłem natychmiast to wydarzenie za losy z nieba, wnet ją poznałem i poślubiłem.

— To rzecz szczególna, mówił ksiądz Maksym; cóż to czy ta panienka była bogata? czy miała posag?

— Rodzice panny, mówił hrabia, zrazu nie chcieli mi jej oddawać; będąc majątni, wyczekiwali innych zręczności, ale po roku wydali za mnie. W czasie wydziału posagu dla niej, najstarszą mieli troskliwość o wszystkim, nie tylko złota, srebra, brylantów, lecz nadto konie, powozy, bydło rogate, owce i trzodę najwyszukańszą, oprócz pieniędzy dość znacznych, nam dali! Ale cóż tego? po krótkim czasie może wielkości ziarnka gorczycy zdarzył się powód niezgody; wnet się do tego garnęły inne, lecz także małe powody; z nich powstawały coraz to większe, których usunąć ja sam nie chciałem, pomimo tego że mogłem, żem był powinien; a w końcu przyszło do tego, żem z nią się rozstał! Pchnąłem z przed oczu anioła, któremu owszem potrzeba było własną mą duszę rzucić pod stopy! Lecz co to mówić? zbyt to kosztuje wiele wysiłku, zbyt wiele życia ubiega ze mnie, gdy mówię o tem! Sam pozostałem! Od tego czasu coraz szło gorzej! wszystko, co było najobfitszego, wszystkie klejnoty, potem z kolei cały remanent stada i konie poprzehodziły w ręce żydowskie. Ze wszystkich bogactw, z wszystkich dóbr tylko się trochę z dawniejszych czasów trzody zostało, bo żydzi tego nie chcąc podówczas kupować, pozostawili bez tknięcia. Dziś więc jako wspomnienie dawniejszych czasów, lepszych nadziei, lepszego życia trzoda mi tylko została... a jest mi drogą do tyła... że nie wiem pewnie czy wpośród ludzi w najwyszukańszem marzeniu cen i wartości znajdują się skarby, za które dałbym choć jedno prosię niewielkie.

— Więc mi pan hrabia i tego nawet odstąpić pewnie nie zechce? wyrzekł ksiądz Maksym. Ja się łudziłem dotych-

czas, że gdy nie mogłem gnoju pozyskać, to choć przynajmniej ładniejszą trzodę nabędę. — Hrabia nic na to nie odpowiedział, schylił swą głowę, ujął ją w ręce, potem swe ręce wsparł na kolanach i zawisł w najokropniejszych chmurach bólesci, nie będąc w stanie z nich się poruszyć. Twarz jego blada z pod palców ręki lśniła się ostro jak blask księżyca po nocy; drgające usta to się ścisnęły, to rozchodziły z każdym oddechem, brzydząc się nawet przyjmować świeże powietrze z tej ziemi; włosy w nieładzie od ruchów czoła to się wznosiły, to spadały, nie chcąc się nawet trzymać spokojnie tej głowy, gdzie huragany przeszły.

Ksiądz Maksym, patrząc ciekawie na twarz hrabiego, wpadł w zadumanie; — nie dziw, pomyślał, że dziś ten człowiek, straciwszy tyle koni i wołów, smuci się. Jaka to szkoda, że tyle rzeczy w ręce się żydów dostało? gdyby to było dziś albo jutro, tobym przynajmniej ja z tego może choć trochę skorzystał... dałbym wiadomość o tym wypadku moim kolegom, bogatszym księżom w sąsiedztwie, zrobiłbym z nimi jakąś ugodę za wieści o tem i miałbym pewnie konia lub krowę za to! Gdybym był tutaj uprzednio, możeby nawet ta cała trzoda, któraby wówczas była sprzedana z pewnością jak inne rzeczy, w połowie ceny... ale cóż robić? dziś ją nie zbędzie!

Hrabia w tem posagowem, jakby cmentarnem myśleniu ocknął się nagle, opuścił ręce, złożywszy dłoń z dłonią, a nachylony jak był uprzednio w piersiach i szyi, podniósł cokolwiek tylko swą głowę, patrząc na księdza. — Sam nie wiem, mówił on zwolna, gdzie jestem? bardzo już dawno nie miałem w domu księży u siebie... nikt do mnie tu nie zajężdża... ja sam nikogo zresztą nie proszę... jegomość przybył znienacka... a ja ni ztąd, ni zowąd... nigdy nie mówiąc z żadnymi ludźmi... dawno nie mówiąc o tym przedmiocie i z sobą samym, jakby

to wszystko było zamarłe, w grobie się skryło... — i nie do-
kończył.

Ksiądz, posłyszawszy mowę o grobie, o którym często podczas pogrzebu i inni ludzie zawsze tak samo, zawsze temiż samemi prawie słowami przed nim mówili, rzekł do hrabiego także tak samo, jak zwykle mówił do różnych ludzi wielokroć razy do roku: — niechże pan hrabia o grobie jeszcze nie my-
śli, będzie czas na to!

Hrabia wstał z krzesła, wyrównał pierś swą i krzyże zgięte uprzednio, jedną z nóg swoich posunął naprzód i rzekł do księdza: — o! ja o śmierci nigdy nie myślę, ja się nie lubię tem bawić! to babska sprawa! a obaj razem, idąc powoli stanęli przed oknem, patrząc się razem na szybę. Z okna wychodził widok na część dziedzińca, który był trawą pokryty, ale zdeptaną i z gęsiem pierzem; właściwie mówiąc, nie było na co się patrzeć, lecz na wsi czy ze zwyczaju, czy z przyrodzonej ludzkiej skłonności po pewnej rozmowie ludzie patrzą się w okno; wiedzą, że nic tam nie ma, nic tam nie będzie godnego spojrzeń, ale chęć sama, skłonność wiodą do tego pomimo woli. Tym jednak razem przed oknem ktoś prędko przebiegł, potem pobiegł za nim służący hrabiego, ten co był w sieniach; potem żyd jakiś, potem trzech żydów, a potem po krótkiej chwili aż pięciu żydów. Ostatnia garstka z pięciu brodatych żydów złożona przed samem oknem, bardzo się nagle wstrzymała i zdjawszy swe kapelusze, rozmachiwała niemi na wszystkie strony. Jakaś złośliwa pantarka kura, kilka dość dużych indyków i dwa gęsiory skacząc do góry, a potem nogami swemi dotknawszy się brzuchów żydowskich, wnet zlatywały na ziemię i potem znowu w tej samej chwili wyskakiwały na żydów. Była to jakaś zacięta walka, ale tak rozpaczliwa, iż się zdawało, że jedna kura kilka indyków i dwa gęsiory na śmierć lub życie poszły na żydów zginąć albo

zwyciężyć! Żydzi to się schylali, to znowu potem podnosząc głowy jak tylko można najwyżej, z całem zadarciem w tył aż na plecy, gdy gęś skoczyła, albo pantarka, bronili się od nich. Twarze tych żydów za każdym ruchem coraz to były czerwieniejsze, oczy się u nich tak powiększyły, że już zajęły połowę twarzy; pejsy się chwiejąc, ledwie nie spadły im z głowy, mając oporę na uszach; z ust ślina ciekła jakby po deszczu strumienie. Kaftany długie od szamotania ciągłego i ruchów rąk własnych, a bardziej jeszcze od ciągłych skoków indyków, gęsi i kury były już na kawałki porwane, tak że z kolei rwać się zaczęły na sznurku spodnie żydowskie. Po wysileniu prawie nadziemskim całe to grono, w dodatku jeszcze w tak bezprzytomnym było nieładzie, że się ruszając na różne strony, jeden żyd trącał drugiego, drugi zaczął trzeciego, trzeci spotknął się znowu przez innych, splątawszy się nogą i wszyscy spadli na ziemię! leżąc krzyczeli ratunku!

Nikt nie nadbiegał. Hrabia wraz z księdzem patrząc przez okno z wielkim uśmiechem oczekiwali następstwa tego; po chwili powiedział hrabia: — widzisz jegomość, my ludzie żadnym sposobem dać nie możemy tym żydom rady, a ptastwo małe ich pokonało, bo razem, łącznie się wzięło! Z przeciwnej strony nowy szum powstał, ksiądz razem z hrabią zaciekawieni, coby to było? z natężonemi oczami oczekiwali wyjaśnień. Wtem z wielkim pędem świnia trzymając w paszczy wielką serwetę, leciała zdala i przeskoczywszy wysokim susem przez grono żydów, leżących jeszcze na ziemi, pomknęła dalej! Żydzi i tak już będąc w przestrachu, mniemali, że na nich ktoś ziemię rzuca, aby pogrzebać; dech zataili od nowych wzruszeń, leżąc jakby umarli.

Ksiądz patrząc w okno, mniemał doprawdy, że to są trupy; żałował bardzo, że nie był tym razem rabinem albo śpiewakiem bożnicy, bo wziąłby za pogrzeb; a hrabia nie

znając przyczyn tego zjawiska: — chodźmy, rzekł księdzu, na dwór zobaczyć, co tam się dzieje? nigdy nie widział takiego ruchu, jak teraz. — Wyszedłszy przez sień, drzwiami od sieni wstąpili na dwór, potem szli dalej, widząc że obok drzwi stali palamarz, diak i dzwonarze w osobnem kółku, szepcząc po ciachu, w tajemniczości ukryte rozmowy. Hrabia przypuszczał, że jakiś pogrzeb nastanie; żydzi w tej chwili na jeden tylko widok hrabiego prędko powstali, jakby wskrzeszeni jego zjawieniem; ksiądz poszedł prosto do diaka i rozmówiwszy się nieco, pospiesznie wrócił napowrót, mówiąc hrabiemu, że diak nie śmiejąc iść do pokoju, czekał z niecierpliwością na księdza, dając wiadomość, że jego żona z córką, z rzeczami już przyjechały i są w probostwie. Hrabia pożegnał się z księdzem bardzo uprzejmie, życzył mu szczęścia w nowej siedzibie, obiecał że go odwiedzi, gdy mu czas na to pozwoli i wnet się rozeszli.

III.

Gdy już ksiądz Maksym był na probostwie u siebie, to zastał żonę i córkę w mieszkaniu. Księżdowa sznurkiem mierzyła ściany i piece, a dawszy koniec do ręki córce: — weź-że bo Tekło, mówiła do niej i już nie puszczaj! co tobie? ciągle się sznurek z rąk twych wysuwa! — Przy tych wyrazach ksiądz je powitał. Księżdowa zaraz po powitaniu: — a jak to można nic nie napisać i nie dać wiedzieć o sobie, cóż to się znaczy, co dalej będzie? — i tym podobne. Tymczasem chłopci znosili z podwód najrozmaitsze i bardzo wielkie, nawet ogromne drobiazgi i bardzo małe: według zwyczaju we wschodniej cerkwi, gdy nowy paroch przybywa, to sama gmina bez płacy wysyła podwód tyle, ile dla księdza trzeba do sprowadzenia parocha,

jego rodziny i rzeczy. Tak i tym razem było: palamarz, diak i dzwonarze z pośpiechem w wodzie pływającego szczupaka obeszl i wieś, dali znać całej gromadzie o nowym parochu, wysłali na noc podwody; tak, że ksiądz Maksym wróciwszy z dworu, już zastał wszystko u siebie.

Z tego powodu mnóstwo bab, dziadów, dzieci, wieśniaków z pół wsi przybyło dla obejrzenia parocha i tego, co on posiada. Baby obzierały każdą kądź, dzierzkę i pomyjniki i pomywaczki i żłoby dla kur lub trzody niewielkiej; inni wieśniacy opatrywali jakiś kawałek blachy, przy której przymocowany był kawał żelaza, gubiąc się w różnych domysłach, do czego ona? Jedni mówili, że to do pieca lub bryczki, drudzy, że to coś może świętego i tym podobne; jeden z wieśniaków nawet się schylił i pocałował tę blachę, otarłszy z pyłu.

Wewnątrz zaś domu był tylko ksiądz, jego żona i córka. Ksiądz, chcąc pomagać swojej małżonce, krzątał się w izbie, a podwiązawszy sutannę, co chwila skakał to przez poduszkę, która leżała na ziemi, to przez pierzynę lub kołdry. Księżdzowa z córką mierzyły ciągle to długość łóżek małżeńskich, to przestwór ściany: pragnąc koniecznie w jednym pokoju i w jednym kącie zmieścić dwa łóżka, tak by się one stykały, lecz miały niemałą w tem trudność. Ksiądz widząc, że się kobiety spociły, pożałował je trochę, chcąc im dopomódz, ale dostrzegłszy, o co rzecz chodzi, nie chciał pomagać; mówiąc wyraźnie, że od tej pory już nie pozwala, by łóżko jego stało w pobliżu drugiego. Z tego powstały ogromne spory, do których potem wmieszała się córka. Ksiądz ciągle krzyczał, że on już niezdrow, nie czuje się w siłach, że potrzebuje spoczynku, własnego kąta; że kiedy dawniej był jeszcze młodszy, to co innego, a teraz znowu jest co innego. Księżdzowa znowu ciągle to samo odpowiadała: — na cóż jegomość brał mię za żonę? — a załamawszy potem swe ręce: — Boże! mówiła, jeśli

Ty kiedy, wszechmocny Boże, uczynisz znowu mię panną, to nigdy w świecie nie pójdę za mąż za księdza! i tobie, Tekło, córko jedyna, nie radzę nigdy mieć za małżonka parocha!

Ksiądz usłyszawszy, że stan duchowny szedł w poniewierkę, zgromił i matkę i córkę razem; to dało powód do nowych rozmów. Księżzowa trochę opamiętana, by nie ostudzać w córce religii, do której może z usposobienia żadnych nie miała pociągów; owszem tak obojętną była dla cerkwi, że ledwie po długich namowach chodziła na mszę, chciała naprawić pomyłkę. Po różnych córce najrozmaitszych morałach rzekła do księdza: — niechże jegomość w tym dniu przynosin, dla szczęśliwego zyskania losu zaraz poświęci nowy dom nasz! błogosławieństwo kapłańskie zawsze się przyda!

— Zapewne, mamó, nic nie zaszkodzi, odrzekła Tekła.

Ksiądz, będąc jednak w niedbałym stroju, bo w czasie sprzeczki zrzucił ze siebie sutannę, a nawet buty, a potem jeszcze gdy się spór bardzo przeciągał z żoną, zrzucił koszulę spoconą, nie chciał poświęcać nowoprzybranej siedziby. — Co tam święcenie? na co to zda się? cóż to jejmości tak bardzo nagle przyśpiało? to rzecz szczególna, ja wiem, ja czuję, ja to rozumiem, że się jejmości jak zachce czego, w dzień czy po nocy, to już nie tylko zwyczajny paroch, ale archierej nawet boso powinien się stawiać.

— Co tam archierej? rzekła księżzowa, ja ich nie lubię!

— Jak jejmość zechce, mówił ksiądz gniewnie, ale dziś jednak ani pojutrze ja nie mam czasu do poświęcania; tyle gwałtownych jest jeszcze robót, tyle krzątania... czyż to podobna? — i zatrzymawszy się chwilę, rzekł do jejmości: — cóż my jeść dzisiaj będziemy? ja nic nie jadłem! czy mamy jedzenie?

— Nic nie przywozłam ze sobą! staranie dzisiaj do gospodarza należy, rzekła księżzowa, odwróciwszy się w stronę.

Ksiądz Maksym zrozumiał z głosu i z ruchów, że jego żona także jest głodna; ponieważ jednak natura sama, skłonność rodziców, zwykle się w dzieciach także odbija, więc z tego wnosił, że jego córka jest głodna. Ubrał się rychło, wdział buty, wsunął koszulę, narzucił na plecy sutannę i jak najspieszniej wybiegł, sadząc skokami przez rozstawione rzeczy po izbie. Gdy go dotknęło świeże powietrze w podwórzu, westchnął niem, biorąc do piersi po kilka razy powiewy jego. Wozy wraz z końmi zaprzężonemi jeszcze i wtedy stały na dworze; pod płotem nisko na ziemi siedziało kilku wieśniaków, patrząc na obłok i cerkiew; inni wieśniacy, baby i dzieci wcześniej odszedłszy z podwórza księdza, poszli do cerkwi i tam zasiadłszy pod ścianą domu Bożego, jedni szeptali pacierze, a drudzy jakąś pieśń z cicha nucili, ale tak cicho jakby głos ich zdaleka, z za gór wysokich ledwie się tylko ostatnim i najpóźniejszym echem rozchodząc, znikał na zawsze w tem samem miejscu, na którym ksiądz stanął. Choć tyle ludzi, tyle ust, piersi stało w pobliżu, nikt nie zamącił spokojnych smug powietrza, nikt nie poruszył fal jego. Samo więc nawet powietrze ziemi z wdzięczności za to już nie ruchami swych lotów, ale zaledwie swem niewidzialnem ani w pozorze, ani w swej wadze istnieniem, z taką lekkością przesiadywało około twarzy wieśniaczych, że okrążając ludzkie ich ciała, jakby się skryło lub się schowało we własnych smugach!

Najbliżej księdza stało dwa wozy z zaprzęgiem, przy których konie ze spuszczonej na dół głowami, po wysileniach podróży szukały siana, ale go nigdzie nie było: jeden koń tylko dopatrzył maleńki kłosek blado-zielony, wachając czy to nie słoma? Ciekawe wróble, stojąc zdaleka po różnych miejscach, to w dole, to znowu w górze, z tak natężoną uwagą oczekiwały, czy nie przyniosą dla koni owsa, że nawet świerkać nie chciały, tem bardziej, że była to chwila dla nich najdogodniejsza

na świecie, prawie anielska pomiędzy niemi była pociecha, bo w całym podwórzu nie było nigdzie żadnego drobiu. Lecz baczne oko księdza Maksyma dostrzegłszy wróbla, zapłomieniło z radości. Podeszedł do wozu, wyjął gdzieś z tyłu sieć przywiezioną, otrząsł ze słomy, a zobaczywszy, że w głębi sieci zostało się jeszcze ziarn trochę z dawniejszych czasów, wziął ją cichutko, a idąc w stronę, nastawił sieć tę na wróble, mówiąc: — będziemy mieli cudowny przysmak! — Potem odstąpił, udał się w prawo, tam gdzie pod płotem na dworze siedzieli chłopci.

Ksiądz Maksym, chociaż zawczasu, już się pocieszał wróblami, był jednak razem z innych powodów dość niespokojny i smutny. — Już się zaczęły, mówił po cichu, kłopoty życia! Teraz ty głowo radź i rozmyślaj, co robić? dom już gotowy, nie ma co mówić, żona i córka przybyły... ale cóż z tego? co dalej będzie? trzeba najpierwej wziąć się pośpiesznie do załatwienia potrzeb domowych. — Idąc pomału, stawiał swe kroki po ziemi z taką niechęcią i niepewnością, jak gdyby bał się dotknięcia ziemi. W oczach mu rychło zawisły dawne złudzenia, dawne nadzieje, bo wiele liczył na dwór dziedzica, na jakąś pomoc czasową, nagłą. Znał on dziedziców wielu w swem życiu, z doświadczeń wiedział, że pomoc pańska bardzo przychodzi albo leniwie, albo zwodniczo, lub nigdy; ale bywało, że po mozolnych i bardzo ciężkich zabiegach, po wielu słowach, rozmowach, prośbach zawsze tam jakiś skutek, zawsze ratunek choćby niewielki zdobywał. Tym razem jednak, myśląc o nowym dziedzicu, o dworze para hrabiego, o jego biedzie i niedostatku, o żydach, którzy go wzięli w tak mocne cięgi, że się z nich nigdy nie wydobędzie, o gnoju, trzodzie, tak stracił wszelką nadzieję jakiegś korzyści dla siebie, iż mówił sobie: — tam goła skała, tam dłoń, na której jak nigdy ani włos nie wyrośnie, tak nigdy z niej datek nie przyjdzie!

Rozczarowanie, jakiego doznał ksiądz Maksym po długiej rozmowie z dziedzicem, było bez dna i miary! — no, już dość o tem, nie nurzmy myśli, nie traćmy czasu, tam cmentarz, grób, trumna zbutwiała... to okopisko żydowskie! nie warto nawet i plunąć... — potem po chwili z pewnem zaczerwieniem się twarzy wpadł w gniew, wyprostował rękę i wskazującym palcem wodząc w powietrzu, dodawał: — to obraz wszystkich, jacy są tylko dziedziców... nic z nich już nie ma... z nich nie wydusisz żadnej kropelki, jak z kozła mleka! to już przepadłe... „pomynaj tilki jak zwały!“ Dobrze mi w konsystorzu w Przemyśle, bardzo rozumnie mówili... dobrze mi mówił sam biskup: — nam tu rusinom tyle z lachami korzyści, ile w kożuszku śmietanki jest dla kożucha z futrem na zimę pozoru i podobieństwa! czy to słyszano, czy to widziano, nie można nawet u lachów wyprosić gnoju? Ksiądz Maksym plunął trzy razy na ziemię, potem to miejsce potarł swą nogą, mniemając zrazu że to podłoga, ale szurując po ziemi, dostrzegł jakiś niewielki pieniążek z miedzi, zdziwił się, podniósł, otarł go z pleśni, potrzymał w dłoni i opatrując na wszystkie strony, pomyślał: — gdy kto poskrobie, użyje starań, to coś wynajdzie!

Wszystkie kłopoty księdza Maksyma zmierzały tylko swe kroki na jedną stronę, jakby polepszyć tu stanowisko parocha? Ksiądz się zagłębiał, jakby się ludziom dać poznać, zwrócić na siebie uwagę, skupić przy sobie najwięcej osób i z nich korzyści wybierać? Jak rzucić rozgłos o sobie, ale tak silny i takiej mocy, jak echa dzwonu wielkiego, które zdaleka, nawet o milę i więcej dobrze się słyszą; podobny rozgłos mógłby jedynie dać mu poważne miejsce, znaczenie u ludzi, zapewnić wagę i wpływy: z tegoby tylko powstały jakieś pieniądze nawet dochody. Schował pieniążek, który mu noga w ziemi znalazła, schylił się nieco, wyciągnął rękę, dłonią popieścił własną swą nogę, tę samą, która mu pieniąż podarowała, mówiąc po

cichu: — masz u mnie łaskę, ty moja nogo, dałaś początek, warto cię uczcić! — potem na znak szacunku wytrzepał pył nawet ze spodni, które tę nogę okryły, a potem but, w której była i dalej poszedł na prawo w stronę tam, gdzie pod płotem na dworze siedzieli chłopci.

Siedząc od dawna pod płotem, jak tylko paroch wychodził z domu, chłopci już go widzieli, śledząc za każdym jego ruchem oczu, rąk, twarzy, za każdym ruchem nóg jego. Paroch był dla nich bardzo ciekawą osobą, ztąd nie dziw, że z nateżeniem, na jaki tylko zdobyć się może wzrok albo umysł wieśniaka, śledzili księdza, mówiąc do siebie: — teraz ksiądz idzie do wozu... patrzy, ogląda czy kto nie ukradł co jemu?... teraz coś rękę wyciąga... teraz się bierze do sieci... chce łapać wróble, ale nie wiedzieć czy złapie? może jednego, może trzy, a wróble głodne... teraz nasz paroch coś się zamyśla... teraz się ręką dotyka szyi, może go kąsa pchła jaka... teraz coś wacha... a teraz cmoknął... — i tym podobne najrozmaitsze między chłopami krążyły wieści i spostrzeżenia; w końcu przyszli do tego wniosku, że na parocha nie ma potrzeby ciągle się patrzeć, bo on tak samo chodzi, tak się porusza i tak się nawet zamyśla, jak ksiądz nieboszczyk i inni księża, co przyjeżdżają czasem na odpust. — Gdzie tam tak? odrzekł chłop jeden, wielka różnica! żaden ksiądz jeszcze, wyszedłszy na dwór, jak on nie robił; każdy zaśwista albo zaśpiewa, a potem wraca. Kółko wieśniaków pod płotem miało tym razem jakąś jak gdyby spójnię uczuć, przekonań, sądów o rzeczach i moralności; wprawdzie złożyło się ono wypadkiem, ale jak zwykle sam nawet często wypadek, tak mądry, że coś ułoży z rozważą i roztropnością. Byli to ludzie, którzy nie chcieli pójsć, tak jak inni pod cerkiew: natchnienie u nich było odmienne, myśl koło ziemskich krążyła zabiegów. Jedni z nich stali około płotu w tem przekonaniu, że może będzie częstunek

z wódką, którą nad wszystko lubili; drudzy, że może z wozu coś spadnie i wezmą sobie, a takie chęci tak ciężko i tak głęboko zasiadły w duszy, że się niektórym zdawało, jakoby nawet ktoś miał wynosić kieliszki zaraz. Była to garstka tych wiejskich ludzi, którzy od dawna mieli już sobie własnego parocha, a tym był żyd, ich ulubiony arendarz, więc już drugiego księdza nawet nie chcieli.

Gdy ksiądz Maksym podchodził do nich, miał w głowie cały szkic ułożony, co z nimi mówić. — No, jak się macie, powiedział do nich, cóż wy tutejsi? — Tutejsi, księżu, odpowiedzieli. — I ja tutejszy jestem już teraz, rzecz ksiądz Maksym. — I my tutejsi, znowu odpowiedzieli włościanie. — Już ja wiem o tem, ksiądz odrzekł. — I my już wiemy, odpowiedzieli włościanie. — Któż wy jesteście? — Ta my jesteśmy tutejsi, chłopci, znowu odpowiedzieli. Wtedy ksiądz Maksym począł im długo tłumaczyć, że są „ruskimi“, że gdy kto spyta ich czasem, kto wy? niech odpowiedzą, że są „rusini“. Potem z kolei mówił o lasach i o pastwiskach, następnie przeszedł z mową o świętach i kazał ludziom, że kiedy przyjdą uroczystości kościelne, które są tylko dla panów, wówczas niech chłopci z całą gromadą, zebrawszy z całej wsi pługi i brony, wychodzą orać. Potem tłumaczył, aby nadpisy po wsiach, które są na tablicach, były po rusku pisane, bo to konieczne dla dusz zbawienia, dla wejścia w niebo; a potem znowu, aby wieśniaków, których zwą „mazurami“, ciągnąc do cerkwi, wabić ich niemowlęta do chrztu wschodniego i tym podobne... Po dłuższej mowie, gdy uczuł w sobie, że rozdrażnienie musiał wywołać w najdzikszym stopniu, gdy mu się zdało, że po tej mowie chłopci powinni ująć za kosy i zacząć rzezie, zamilkł. Skończywszy swoje poselstwo Chrystusowego pasterza, bo nim był właśnie ze święceń i ze swojego pozoru, zapytał chłopów:

— no, rozumiecie? będziecie tacy jak wam mówiłem? zrobicie wszystko?

Chłopi, słuchając z wielką uwagą nauk parocha, w wielkiem na razie milczeniu, zaczęli mówić: jedni twierdzili, że nie uchodzi tak robić, że ich dziadowie i pradziadowie tak nie robili, więc im z kolei także tak robić nie trzeba, bo chociaż garstka tych chłopów była w gromadzie samym wyrzutkiem, trudniła się nawet złodziejstwem, dość jednak wiele miała sumienia z natury i praw ludzkości; drudzy mówili: — to wszystko prawda, ale się zgadzać należy z wyrokiem nieba; — a inni znowu śmielsi i doświadczeni odpowiadali: — to wszystko dobrze, to bardzo dobrze, ale jeżeli ksiądz pragnie, byśmy robili tak jak ksiądz uczy, to niech ksiądz każe arendarzowi dać nam po tyle wódki, ile się zechce.

Ksiądz im obiecał: — dobrze, powiedział, bądźcie spokojni; jeżeli tylko chodzi o wódkę, to z przyjemnością tak was napoję, jak zapragniecie. — Odszedł od płotu w wielkiej radości, knując zamiary wysłać z poselstwem diaka i palamarza do konsystorza w Przemyślu; żądać pieniędzy na wódkę dla prowadzenia rusińskiej sprawy jak powiadają na długi rękaw, na wielką połę i przyjąć na się następnie urząd kasyjera. Gdy tak się cieszył nową posadą, nowym urzędem, spojrzał w tę stronę gdzie sieć leżała, pobiegł z pośpiechem, nabrał do garści wróbla nie mało złapanych i wszedł do domu.

Księdzowa ogień już rozpalila, o który na wsi nie trudno, licząc na pewno, że coś jegomość przyniesie. Tekla, chodząc po izbach, dostrzegła z okna, że przy ich domu jest jeszcze ogród i otworzywszy drzwi od ogrodu, stała okryta liśćmi powoju, który tam wzrastał. Nikt na wsi nie wie, czy kiedy było w domu plebańskim tak młode dziewczę i tak urodne jak Tekla; nieboszczyk paroch zgasł na tej ziemi bez dzieci, cudzych w tym domu nie było.

Tekla, zbliżywszy główkę do liści, które spadały ze strączków powoju, brała niektóre do ust swych, bawiąc się niemi bez uszkodzenia; na inne mocno chuchała, aby zobaczyć jak będą trząść się, lub zginać na gałązeczce. Do grząd ogródka bała się zbliżać w tem przekonaniu, że jej nie wolno, że to jest cudzy, tak jej się zdało z początku; ale po chwili trzymając w ustach cząsteczkę liścia, skoczyła kilka kroć razy, ale tak zgrabnie, iż się wydało jej samej, że przeleciała nad ziemią w prądzie powietrza, aż tam do małej grządki kwiatów w pobliżu. Uśmiech skokami przeleciał także, lecz tylko w małej przestrzeni około ustek dziewczyny, potem zeskoczył raptem na ziemię, pobiegł do liści kwiatów, zieleni i całą grądkę, przy której Tekla stanęła, tak rozweselił, iż się zdawało, że każdy listek także się zaśmiał. Niezrozumiałe i niewidzialne łączyło życie kwiatków, zieleni z życiem dziewczyny; kłębik, przy którym stała, zdawał się blaskiem kolorów ściągać do siebie myśli dziewczyny, stroić je w kwiaty i jej takowe upiększonemi powracać. — Jakże tu ładnie, mówiło dziewczę, ale spojrzawszy opodal, widzi, że inne rośliny: gałązki marchwi, kopru, rzodkiewki, z pochylonemi w smutku wierzchami, widząc dziewczynę, chciałyby do niej przyskoczyć, by poprawiła im strój i pozory pomięte, lecz nie zdołały, smutek je trzymał i ziemia.

Wtem odgłos cichego śpiewu ludzi pod cerkwią zaczął tak samo jak te rośliny i kwiaty, także się łączyć z sercem dziewczyny; z tą tylko różnicą, że tamte były widzialne dla oka, on był ukryty. Tekla z natury wcale nie była pobożną; nikt do jej duszy czy nie chciał, czy może nie uniał posyłać często uczucia z nieba; ale związana myślą w tej chwili z ziemią, naturą, pierwszy raz może w swem życiu pomimo woli uczuła wdzięki w pieśniach modlitwy. Chcąc się dowiedzieć z kąd echa idą, zwracała oczy co chwila na różne strony; to ją wprawiło w nowy stan wrażeń, bo coraz nowe przedmioty,

które się w oczach jej malowały, tak ją zaciękawiały, że zapomniała o śpiewie. W tem oglądaniu bardzo zajęło ją drzewo, które rosnąc dość rozłożyście, gęste trzymało gałęzie. Na jednym wielu listkami zakrytem siedział biały ptak jakiś jak gdyby bocian, czerwone miał nogi, a skrzydła wzniesione do góry zdawały się mówić, że wnet polecą. Tekla, widząc bociana, mówiła sobie: — to dobra wróżba, coś mi przybędzie bardzo milego, — a chcąc się upewnić, podeszła pod samo drzewo: gałęzie drzewa zaszeleściły z przestachu, a Tekla dostrzegła, że to był jakiś na drzewie w białej koszulce i boso wiejski chłopczyzna, drzewo zaś było jabłonią. — A co ty robisz? spytała się Tekla. Chłopiec na drzewie nie odpowiadał, lecz usłyszawszy drugie pytanie, zląkł na ziemię, potem się zbliżył, wziął ją za rękę i pocałował, mówiąc, że on stał pod cerkwią razem z innemi ludźmi, potem po cichu wszedł do ogrodu, a w przekonaniu, że nikt od domu nie widzi jego; zrazu zaciskał co chwila usta, bo zapragnęły jabłuszek, potem już nie mógł i wlaź na drzewo. Chłopiec był bardzo miłutki, Tekla pytała się jego zkąd on, długą prowadząc z nim mowę. Dwie te postaci zeszły się razem w małym ogródku, jakby dwa ptaszki; jak dwa obłoki w powietrzu, które się tworząc bardzo od siebie daleko, w odmiennych krajach, przy blasku słońca albo księżycy odmiennych, potem się złączą, pływając razem po nieskończonej przestrzeni.

Jest jakaś spójnia, jakaś zbliżona tożsamość pomiędzy wzrosłą dziewczyną a małym chłopcem, pomimo różnicy wieku i zewnętrznego pozoru. Ta sama ziemia, tenże świat, słońce, powietrze prawie jednako rzucają ukryte wpływy na ich obojga. Ztąd przy spotkaniu, chociaż nieznani, tak rozumieją się dobrze, że odgadują najbardziej trudne pytania, wiedząc co kogo może obchodzić bez żadnych wstępnych namysłów. Tekla w rozmowie z chłopcem miłutkim mogła się rychło dowiedzieć,

że chłopiec był z dworu dziedzica wsi tej, że tam od dawna już mieszka, a często urywanemi słowami, prawie bezwiednie ciskał do serca dziewczyny takie obrazy, które się szybko tworzą w myślach w świeżej i pięknej młodości, gdzie wszystko albo spoczywa na wyobraźni kwitnącej, lub na przeczuciach nieskończonego w twórczości ducha.

Chłopiec, dziewczyna, kwiaty, zielona trawa, różne w ogrodzie rośliny były zajęte w jednym poufnym zostając kółku, jakąś im tylko znaną i rozumiałą rozmową ze sobą, a ich zbliżenie tak silną nicią opasywało życie, los i istnienie, jakby ta chwila wspólnego, chociaż wypadkiem, zetknięcia opowiadała ani przeczute, ani poznane na razie ich pokrewieństwo rodzinne.

Z rozmowy małego chłopca, który jej dziwnie się miłym wydawał, dostrzegła Tekla, że dziedzicem wsi tej był hrabia i inne o nim wieści bardzo maleńkie, ale ciekawe; a ta rozmowa wiązała jej oczy i serce do niego. Jabłoń, na której był chłopczyk, powzięła również dobrą dla tegoż chłopczyka przychylność; czuła w swem łonie, na swoich rękach z gałęzi, że się tuliło doń jakieś dziecko rodu ludzkiego, lecz razem wdzięczne przechowywała wrażenie, bo chłopiec nigdzie gałązki nie odłamywał i nie psuł; bardzo ostrożnie zrywał owoc, jadł smacznie i nie wypłukał jak inni ludzie. Kwiatki z kolei z wielką przyjaźnią w tej znajomości były dla chłopca i dla dziewczyny, czując w nich najprzód młodość i także bardzo podobne do siebie kolory w ich sercu, a potem jeszcze, że młode dziewczę zrana lub w wieczór będzie im pewnie przynosić wodę do ziemi, myć im łóżeczko, na którym siedzą.

Wtem z domu probostwa wyszła księdzowa na ogród, a stając w dali, rzekła do Tekli: — wróble gotowe! urwij-no prędko rzodkiewki, czosnku, cebuli i innych rzeczy, a zaraz przychodź, jegomość cię woła; — potem odeszła. Głos jej

z powietrza rozszedł się zaraz w ogrodzie, ze strony nowe zleciały smugi nowego jeszcze powietrza, rośliny w listkach wnet się zachwiały, padł los stanowczy ich życia, będą zerwane. Chłopiec spokojnie odszedł do domu, przez płot przelazłszy, trzymając jabłko; Tekla, posłuszna rozkazom ojca i matki, jęła się zrywać ogrodowinę i zbierawszy w fartuszek, poszła do domu.

W izbie ksiądz i księżdżowa brali z patelni wróble pieczone i łyżką sos zgartywali, kładąc na talerz głęboki, potem obmyli rzodkiew, cebulę i czosnek i postawili na stole. Czy to był obiad czy tylko prosta wieczerza nie można wiedzieć? dość, że we trojga z prawdziwym smakiem zjadali wszystko, co tylko stół trzymał. Podczas jedzenia ksiądz opowiadał o swym przyjeździe do wioski, o domu, karczmach, o bułkach wziętych u żyda, o palamarzu, dzwonarzach, o przebytej nocy; potem z kolei o odwiedzinach w domu hrabiego, dziedzica wioski; skarżył się bardzo, że u hrabiego nie dostał gnoju, że chciał u niego nabyć prosiątko; lecz nieco dłużej ze szczegółami mówił, że hrabia był kiedyś żonaty, miał śliczną żonę, tylko nie umiał jej szanować i tym podobne. Najwięcej jednak bawił rodzinę opowiadaniem, że hrabia jest jeszcze nawet dość młodym człowiekiem, bardzo go młodym nazwać nie można i starszym trudno! że jest przystępny i przyjacielski dla niego, co się tak rzadko w kole dziedziców spotyka, ale cóż z tego? jest nieszczęśliwy w życiu, w miłości, słowem we wszystkim. Dalej ze zdziwieniem mówił ksiądz do jejmości, że chwalił Teklę, ale gdzie ją widział? on nie wie.

Tekla, jedząc rzodkiewkę, puściła ją z rąk, bardzo się głośno zaśmiewszy: — a to pocziwy musi być hrabia! — a przychyliwszy się nieco do matki, rzekła półgłosem, śmiejąc się ciągle: — a widzi mama? codziennie prawie mama mnie gani, a ludzie chwalą! — E, co to znaczy, odrzekła jejmość,

kto ciebie nie zna, ten chwali, — i dwoma rękami zgartując małe kosteczki po wróblach, kładła na talerz osobny, potem zbierała liść i korzonki jarzyny, mówiąc z żalością: — szkoda, że nie ma komu to oddać! wszystko to trzeba na dwór wyrzucić — i wyrzuciła.

Ksiądz wschodniej cerkwi, jego rodzina i cała czeladź, jeśli jest jaka, w codziennem życiu niewiele jedzą. Tylko we święta, w uroczystości, w czasie odpustu, podczas jarmarku, lub kiedy w karty zagrają, stół się nakłada taką ilością, że nim go pierwszej nakryją, muszą obzierać kilka kroć razy każdą mu nogę. W izbie więc księdza po tym dorywczym posiłku wszyscy powstali, biorąc się dalej do swych porządków. Ksiądz oblizawszy naprędce palce, na których jeszcze był ślad tłustości po wróblach, ujął kapelusz i chcąc wychodzić, rzekł do jejmości: — no, ja już pójdę, kończcie robotę! a! jak tu dużo leży bielizny na ziemi! tyle rupieci i tyle brudów... jestem spocony, w brudnej koszuli, — i wyszedł gniewny.

Jejmość z natury, z usposobienia też nie cierpiała, gdy się uzbiera za wiele brudów; pomiarkowawszy w pośpiechu, że to nie dobrze, że jutro miało być jakieś podobno święto niewielkie: — a to nieszczęście, rzekła do Tekli, ani ty nie masz, ani ja nie mam białej koszuli, ani jegomość, nasze spodnice wszystkie są w brudzie, bierzmy się prędko najprzód do prania! — Wybiegła na dwór, rzuciła okiem na różne strony, poszła za bramę, a zobaczywszy jakąś idącą kobietę, wzięła ją mocno za rękę: — kto jesteś? jak się nazywasz? — Zdziwiona kobieta, nie spodziewając się zaczepki, nic nie odrzekła, była to Pryśka. Jejmość wzięła ją mocno za rękę, wciągnęła siłą do domu, kazała przynieść wody do prania i w mgnieniu oka wyjąwszy mydło z węzła z brudami, tarło się, miało, to się skręcało, to rozkręcało płótno koszul i spodnic w mydlanej wodzie.

Każdą chwilę zatrudnień czy to kuchennych, czy pokojowych i każdą pracę najmozolniejszą można ozdobić wdziękami ducha ludzkiego. Tekla wszystkie umiała przy gospodarstwie roboty, bo młodość ma świeży rozum, skłonny do wiedzy; a chociaż rzadko dotychczas tyle bywało dla niej roboty w praniu jak teraz, chętnie jednako prała z innemi, szczególnie swoje drobiazgi: kryzeczkę, kołnierzyk, rękawki, pończochy i inne rzeczy. Bańki, które na wodzie z mydła się ciągle tworzyły, bawiły ją bardzo, bo zwykła każdą robotę śmiejąc się robić, pomimo że ten śmiech nie przeszkadzał jej nigdy w pośpiechu pracy. Ztąd piorąc, chwilami brała do ręki pianę lub małe bańki mydlane i pokazując to matce, to znowu Pryśce, z wesołym śmiechem [mówiła, że ta skręcona w długość bielizna jej się wydaje jakąś gałęzią, a owe bulki mydlane są jak owoce, któreby nawet się chciało skosztować i skosztowała. W pracy najmniejsza rzecz ją śmieszyła, coraz to nowe w niej znajdując pozory śmiechu; mając przy boku Pryskę, ciągle ponurą i zamyśloną, co chwila prawie do niej się tylko zwracała: — wiesz ty co, Prysko? nie trzej tak bardzo bielizny ręką, bo widzisz te bulki są ze szkła wodnistego, mogą pęknąć i tobie ręce skaleczą;— a kiedy Pryśka chciała poprawić włosy na głowie, które spadały od ruchów ręki, wówczas z niej Tekla żartując: — patrz się w tę bulkę mydlaną, to jest zwierciadło, można w niem dobrze się przejrzeć; widzisz jakie są na nich kolory? to są obrazki — i tym podobne.

Gdy taka praca w izbie probostwa postępowała z pośpiechem, ksiądz Maksym na zewnątrz domu chodząc powoli, dostrzegł znieuacka gromadę ludzi dawno stojącą pod cerkwią. Zebrani chłopci, według dawnego zwyczaju, oczekiwali nowego parocha z tem przekonaniem, że pewnie przyjdzie na nieszpór i jako nowo przybyły wejdzie do cerkwi, zaśpiewa modły na przenosiny, tem bardziej, że nawet jutro miało przyjść święto

tego rodzaju, że się raz obchodziło w tej wiosce, to znowu nie wcale. Ksiądz Maksym zrozumiał, przeczuł usposobienia wieśniaków, świadomy ich duszy i zmierzał swe kroki do ludzi, by ich ułagodzić.

Wieczór już się powoli zaczynał ruszać, zdaleka zbierając siły, by raptem wkroczyć na ziemię, ale się guzdrał widocznie, nie znalazł jeszcze sukni dla siebie i innych strojów; pogodne niebo, świecące tu albo ówdzie stada obłoków, szukając sobie w górze pokarmu, w różnym pływały kierunku, zwiększając światło; a ta ich śmiałość i lot po niebie trzymały myśli wieczorne w pewnym namyśle, w nieruchomości.

Gdy się ksiądz Maksym zbliżał do ludzi, rzekł do nich groźnie: — czegoż czekacie, czego wam trzeba? nieszpору zapewne? ja nie mam czasu, jestem zmęczony; — ale gdy chłopie nic nie mówili, nawet się z miejsca ruszyć nie chcieli, więc by ich trochę zająć rozmową, wspomniał o polu, zbiorach, o żniwie, o tem co blisko obchodzi głębę i ciało, bo to ma zawsze, na każdym miejscu wpływ i znaczenie. Potem z kolei widząc przed sobą roztropnych ludzi i gospodarzy, chwycił się raptem, co go najbliżej obchodzić może, pytać u ludzi, jakie są grunta plebańskie, o których wiedział już pierwiej, lecz w tym przedmiocie można bez końca mówić. Chłopi o ziemi mówią też bardzo ochotnie, mówiliby nawet o tem na tamtym świecie, w nieskończoności przestrzeni, więc się rozmowa żywo ruszała. Ksiądz się dowiedział, że do plebanii należy jakaś pasieka jako remanent i własność; łąka bardzo przystojna, na której mnóstwo jest trawy, lecz nieskoszonej dotychczas. Tak go te wieści rozweseliły, że zaczął coraz łagodniej mówić, potem się nawet rozcupił, całował w głowę chłopów, gdy oni cmoknęli go w rękę, a przystąpiwszy do tego, który mu o tem powiedział: — słuchaj, kochany, my wszyscy bracia w Panu Jezusie, my wszyscy równi, nam się należy kochać wzajemnie

i służyć sobie; idźcie na łąkę, wykośćcie siano, a jeżeli czasu z dnia nie wystarczy, to wszystko jedno: zróbcie po nocy, ażebym jutro o świcie miał siano gotowe. — Spostrzegłszy jednak, że chłopci nie są zbyt chętni darmo pracować dla księdza i to po nocy, zaczął żartować, bawić ich mową przesypywaną śmieszkami; że kosić trawę to wszystko jedno, jak gdyby ręką dotykać łyżkę i barszcz nabierać albo wodziankę, że ruchy ręki są jednakowe przy każdej pracy i tym podobne. Chłop słuchający z całą uwagą tej mowy, rzekł jednak księdzu, że to jest prawda, tylko że barszcz ten pójdzie do gęby drugiej osoby; do tej rozmowy wmieszał się jeszcze diak tam przybyły, potem palamarz i tak zdołali zgrabnie rzecz poprowadzić, że trzech wieśniacy poszli po kosy do domu, a potem na łąkę księżowską.

Ksiądz przeświadczony, że już wieśniacy odeszli robić, dla większej jeszcze pewności posłał i diaka, by ich pilnował; a układając w swej myśli komu, po czemu odprzeda siano, wiele mieć będzie za to w tej chwili pieniędzy, rozkazał palamarzowi natychmiast biegnąć do karczmy, sprzedać to siano żydowi, wziąć na zadatek pieniędzy i zaraz za pół godziny przyjść z odpowiedzią. Ludzie zaczęli potem z podwórca cerkwi rozchodzić, cisnąć się w furtkę, która ich wszystkich żadnym sposobem nie mogła zmieścić od razu: powstała ciżba, krzyk i wołania, ktoś komuś boki bardzo przycisnął, babom w tej ciżbie spadły tak zwane „namytki“ z głowy; ci, co już przeszli przez furtkę, spotkawszy nagle stojącą świnię po tamtej stronie, tak przydusili jej nogę, że ta zwoływała olbrzymim krzykiem inne stojące zdala; te zwoływały z kolei znowu dalej leżące gdzieś w błocie, a krzyki coraz rozchodząc na dół i w górę, nagle wzrastały jak czarne chmury z północy. Ksiądz ich porzucił: niech sobie krzyczą, zmierzając ręce i pełne wesółych ruchów swe kroki do domu.

W izbie plebana pranie bielizny już były skończone. Tekla wilgotne rączki tarła ręcznikiem, mówiąc do Pryśki: — czemu to płótno nigdy nie wytrze tak ręce z wody jak słońce? Twarz miała tak przezroczystą jak welon biały; żywy rumieniec z wolna dotykał jej wdzięki, lecz może trochę nieśmiało, bojąc się bardzo, by nie dostrzegła ruchów zuchwałych, nie wymawiała śmiałości; oczy po trudach płonęły mocnem spojrzeniem; wszystkie w nich i najukrytsze promienie i najtrwożliwsze, które w panińskim wzroku bardzo się lubią półcieniem okryć, występowały z mężką odwagą; włosy w najprzeróżniejszych zwrotach, jedne w półskokach, drugie wyprostowane z sztywnością struny do grania; inne w kierunku na owal, lecz w zaniedbaniu na wpół leżący w nieprzeliczonym zastępie z niecierpliwością czekały poruszeń głowy, aby się nagle na inną przechylić stronę. Tekla była cudowną: stojąc przy Pryśce mówiła do niej: — tyś się zmęczyła, siadź i odpocznij, ja ci za chwilę dam wstążkę ładną, czerwoną dam ci chusteczkę i krzyżyk biały; za twoją pracę może choć tem cię wynagrodzę, innem nie mogę. By cię nie trudzić, ja sama zaraz wyleję wodę z tych niecek, z balii, a ty odpocznij.

Przy tych wyrazach ksiądz Maksym wchodząc do izby, zawołał głośno: — gdzie jejmość? — potem coś długo szeptał z nią, mówił i śmiał się. Wkrótce do izby wpadł diak zdyszany z wieścią, że ludzie poszli już kosić na łąkę, że dla pewności i bezpieczeństwa on posłał własnego syna; miał on innego, nadmienił przytem, lecz nie własnego już syna, ale tym razem posłał własnego, by ich pilnować w robocie, a gdy się długo rozwodził, jakie tam siano będzie wyborne. jakie pożywne, że bydlę będzie rwać się do niego z takim pośpiechem, że trzeba sznurów, a może i to nie pomoże, wszedł do plebana na końcu i sam palamarz. Ksiądz Maksym nie chciał już dłużej rozmawiać z diakiem, ale kazawszy wyjść mu i zaczekać

na dworze, wziął palamarza do rozmowy. Palamarz, zdając z poselstwa rachunek, mówił, że żyd ogromnie zakupić pragnie to siano, że dał mu nawet wódki kieliszek; że tak się zapalił do kupna siana, iż żona jego, sprytna żydówka, ciągle chwytala za rękę żyda, potem za głowę, potem za nogę, chcąc odprowadzić na stronę, że żyd ją za to uderzył w szyję, a potem w oko i że żydówka ze łzami upadła na jakiś piernat, gdzie się żydzięta tak rozplakały, że jedno zaczęło okrutnie kaszleć, drugie żydziątko womitowało kapustą i tym podobne. Że w końcu jednak z tym żydem już się umówił bardzo korzystnie za siano, wziął już połowę zadatku z warunkiem jednak, by siano było na jutro rano najnieodmienniejsz gotowe i choć w połowie zwiezione! a co najwięcej, ażeby było najsuchsze!

Ksiądz Maksym słuchając wszystko z wielką uwagą, zapytał w końcu; — na cóż to jemu tak prędko? i czy na rano wykoszą siano? — Lecz go palamarz przekonał, że siano będzie na ranek gotowe z taką pewnością, jak to jest pewnem, że w naszej cerkwi na dachu dwa krzyże. Ksiądz wybiegł prędko na dwór, spojrział zdaleka na swoją cerkiew, policzył na dachu dwa krzyże i wnet wróciwszy zaspokojony, tak był rad: z tego, że wzięwszy zadatek, przeliczył pieniądze, plunął trzy razy na tę monetę, a gdy je chował w kieszenie, powiedział głośno: — rośnijcie teraz! — Potem z podwórza zawołał diaka, dawszy obydwom zlecenie, by się udali do konsystorza w Przemyśle z pismem i ustnie, w imieniu jego, prosili u konsystorza o danie tyle a tyle pieniędzy na kupno wódki dla skutecznego poparcia rusińskiej sprawy w tej wiosce. To powiedziawszy ksiądz Maksym, wręczył im pismo, odszedł do izby, myśląc o łóżku i spaniu.

Tymczasem jejmość księdzowa, mając bieliznę już i popraną i wykręconą, bardzo się nad tem biedziła, gdzie ją rozwiesić, by wyschła? Na dworze jest niebezpiecznie, w izbach

nie było stosownych gwoździ na ścianie. Widząc przez okno, że diak i palamarz coś rozmawiają na dworze, radząc się z sobą jakie wziąć konie do Przemyśla, wyszła czempredziej by ich zapytać, gdzieby powiesić bieliznę? Na zapytanie jejmości diak i palamarz: — skorzy do usług, odpowiedzieli, że najstosowniej i najbezpieczniej tak dla jejmości, jak dla bielizny, rozwiesić w cerkwi! Tam nikt nie chodzi, przestronnie, sucho, można z ołtarza sznurek przeciągnąć aż do chorągwi przy wejściu i tam powiesić; tem bardziej, że się tak zawsze od wieków dawniej robiło. — Pomysł ten zaraz w tej samej chwili uskuteczniono bez zwłoki: diak i palamarz otwarli cerkiew, pomogli znosić bieliznę, sznur zawiesili według uprzedniej porady i rozwiesili po cerkwi całą wypraną bieliznę, dobrze zamknąwszy drzwi potem.

Księżyc na niebie zaczął swój pochód wspinały, prawie cesarski wyprawiać: słońce z oddali na krańcach ziemi tylko spojrzawszy mrugnięciem oka na niego, w dół poszło; nastał zmrok, zrazu jak dziecko maleńki, a potem większy, a potem rosnąc wzdłuż i szerokość ogromny; a potem znowu jak starzec siwy stanął nad ziemią! Ludzie na widok starca poczęli się nudzić i ziewać, a potem spać się im bardzo zachciało i z tem drzemaniem ci, którzy mogli, ślali już łóżka. Wkrótce i w samym domu księdza Maksyma wszyscy z kolei: ksiądz, księdzowa i Tekla w najspokojniejszej ducha postaci, tak jak w obłoku zimowym, czarne maleńkie lub większe plamy, pośnęli w nocy.

IV.

Noc była krótka, zawitał ranek tak wcześnie, jakby miał się udawać w najodleglejsze podróże i w najspieszniejszym po-

selstwie. Na wsi w Złotówce ruch się zaczynał także dość wcześnie. Ludzie nie mogąc się wczoraj dowiedzieć od księdza Maksyma, czy będzie służba niebieska i czy dziś święto prawdziwe, śpieszyli zrana w wielkim pośpiechu do cerkwi, myśląc że święto. Dzwonarze także przybyli, którym palamarz jadąc do miasta, powierzył klucze, a otworzywszy drzwi cerkwi, weszli by się pomodlić; za nimi wchodzili inni. Ksiądzowa też będąc o świcie na czujnych nogach, także wstąpiła do cerkwi, a wzięwszy w ręce najpotrzebniejszą bieliznę, zdjęła ze sznurka, była już suchą, a zawiesiwszy na ramię, poniosła do domu dla siebie, księdza i córki. Ksiądz Maksym podobnież wstał rano, zbudził się ze snu niespokojny, czy siano już wiozą? Wyszedłszy z domu, prosto się udał pod cerkiew, by się rozpytać stojących ludzi, co tam się z sianem zrobiło? i czy jest suche? Ksiądz Maksym był pewny, że wszyscy ludzie tak biorą gorąco i żywo tę sprawę, jak i on także; ztąd więc każdego prawie wieśniaka pytał ciekawie, czy nie wrócili jego kosarze z pola? Na swe nieszczęście zapomniał twarzy tych ludzi, którzy się wzięli mu kosić; więc pytał jednych, a potem drugich, potem bab, dzieci, ale napróżno. Każdy mu odpowiadał: — ja nie wiem! — Diak i palamarz w Przemyślu, pomyślał sobie, inni nie wiedzą, a może nie chcą powiedzieć. Będzie więc lepiej wstąpić do cerkwi; tam każdy pleban większą ma wagę i w cerkwi pewniej się można dowiedzieć o tem. Ksiądz Maksym wszedł więc do cerkwi, stał przy ołtarzu i jako pasterz duchowny w imię religii wschodnich kościołów rozpoczął znowu pytać się ludzi o sianie. Lecz i to nie pomogło; chłopci mówili: — my nic nie wiemy, przyszliśmy tutaj pomodlić się; na łące księdza myśmy nie byli już od dni kilku — i tym podobne. Ksiądz, usłyszawszy te słowa, miał podejrzenie, że nie chcą mu prawdy powiedzieć, zamierzył jeszcze wdziać ornat lub kapę cerkiewną i w tem ubraniu pytać się ludzi o siano,

bo w takim stroju będą mieć więcej poszanowania dla księdza i będą szczerzy. Wszedł więc do zakrystyi, przywdział się w kapę i znowu wyszedł; ale postawszy pomiędzy ludźmi, gdy nie mógł żadnych i teraz posłyszeć wieści, bo mu włościanie odpowiadali tak jak uprzednio, z niespokojnością, ze smutkiem pragnął przynajmniej jakąbądź w końcu zdobyć wieść o tem. Tłum ludzi coraz się w cerkwi liczniejszym stawał; po chwili weszła do cerkwi nawet księżzowa, a potem Tekla, zaciekawione co tam się dzieje?

Tekla w bieluchnym stroju i odświeżona na twarzy po sennym spoczynku, weszła do cerkwi tak czysta jak ranny promyk od słońca wchodzi na obłok; patrząc się na nią, mogło się zdawać, że to sam ranek przebrany w kwiaty i w liść zieleni, zjawił się z nieba. Stanąwszy we drzwiach, spojrzała ciekawie wzdłuż i wszerz cerkwi, a zobaczywszy chłopczyka z dworu, którego wczoraj obok jabłoni poznała, poszła do niego i stojąc razem koło chorągwi, rozpytywała się z wdziękiem, czy on ją poznał? patrząc ciekawie mu w oczy i dotykając mu główki.

Ruch w cerkwi, a nawet wszędzie za cerkwią, po całej wiosce był niezwykajny; po różnych ścieżkach, po różnych drogach szli ludzie, nawet od dworu hrabiego. Hrabia miał zwyczaj chodzić co rana do swego lasu, gdzie żydzi z wielkim dla niego uszczerbkiem rąbali nawet i takie drzewa, które z umowy nie należały do nich. Wypiwszy kawę z wielką szybkością, hrabia wziął czapkę, wyszedł za bramę, dążąc do lasu; ale przechodząc około cerkwi, przypomniał sobie, że nigdy w życiu nie widział jeszcze jej wnętrza. Potem na razie wspomniął o nowym księdzu i o rozmowie wczorajszej; a jakby pchnięty przez kogoś ręką, zaszedł do cerkwi, nie przewidując uprzednio, że do niej idzie. Zdybał tłum ludzi, którzy na niego bardzo ciekawie patrzyli; to go cokolwiek zmieszało i już chciał

nawet się wracać, bo zapomniawszy po chwili o myślach uprzednich, które mu w głowie się snuły, sam już się gubił dla czego, na co, po co tam idzie? Tłum się rozstał, wolne drzwi przed nim dały się widzieć i mimo woli ocknął się w cerkwi. Spojrzał na ołtarz, potem na ściany cerkiewne, a zobaczywszy nadpisy, czytał kto umarł z dawniejszych parochów i kiedy był się narodził. Wszystkie nadpisy były pisane po polsku, chociaż gdzieś tam przetarte i pochodziły z tych czasów, kiedy różnicy mowy, obrzędów, spowiedzi modłów jeszcze nie było, a to tak bardzo niedawno! Westchnął po chwili, zamyślał się trochę, mówiąc po cichu: — lepsze to były dawniejsze czasy pod każdym względem! — Ostatnie wyrazy po kilka kroć razy powtórzył. Miał już wyjść z cerkwi, ale chcąc pierwaj chusteczką obetrzeć nosa, szukał w kieszeni, a nie znalazłszy, mniemał, że nie wziął ze sobą. Wtem widzi, że chłopiec dworski stojąc w oddali, patrzy na niego; hrabia, chcąc go zawołać, pokiwał ręką, lecz chłopczyk go nie zrozumiał. Postanowiwszy jednak w swej myśli posłać chłopczyka, by przyniósł chustkę ze dworu, podszedł do niego. Wtem gdy się zbliżał i chciał z nim mówić, trącił się głową o sznur wiszący, na którym jeszcze były ostatki niezdjętej dotąd bielizny. Zdziwił się mocno, że w cerkwi wisi bielizna i jeszcze tak rozwieszona, że się poznaje każdą część ciała ludzkiego: — co to takiego? — mówił dość głośno, a potem widząc, że przy chłopczyku stoi dość ładna jakaś dziewczyna, chociaż jej nie znał, spojrzawszy nagle w jej oczy, prawie bez myśli, nieprzewidzianym wypadkiem, znowu powtórzył ze śmiechem: — co to tu wisi? Jestem niezręczny, mówił do Tekli, tu tak przejść trudno, — a myśląc potem, że tę dziewczynę bardzo zawstydzi, że ona się sploni, znowu powtórzył trzeci raz pono: — co tu takiego? — wskazując palcem na bliższe płótno. Tekla z naturalnością młodej, niewinnej i niezepsutej dziewczyny, patrząc się

w oczy hrabiego, odpowiedziała: — to nocne spodnie ojca mego, księdza, który jest przy ołtarzu, wiszą na sznurku, by wyschnąć.

Ta śmiała, lecz tak naiwna odpowiedź, jakby zniecka przybiegła i uderzyła tak mocno myśli hrabiego, że zamilkł i stał jak wryty. Patrząc na dziewczę, czuł on dopiero urok szczególny: piękność jej twarzy w całym ogromie snuła się w oczach hrabiego z taką potęgą i siłą, że czuł raz myśl namiętną w swej duszy i poruszenia zmysłowe, to znowu wdzięki piękności niebieskiej. Tekla podniósłszy oczy, patrzyła bardzo spokojnie na smugi jasności, które się w górze z okna zrywając, przez wnętrze cerkwi szły aż do ziemi, mieszcząc w swem wnętrzu nieprzeliczone miryjady ciągle ruchomych i latających kropelek pyłu. Jasność, w której się pyłki kręciły, szła od promieni słońca na zewnątrz cerkwi, a gdy wiatr powiał nad cerkwią i wstrząsł promienie, wówczas cały smug jasny na wewnątrz cerkwi także się ruszał, padając często zarazem z kroplami pyłku na twarz i oczy dziewczyny. Hrabia to widział, mówiąc do siebie: — nie dziw, że te drobniuchne, ledwie dojrzane kropelki tak się odważnie cisną do ócz dziewczęcych, bo są czarowne; potem się pieszcząc bieluchnym strojem, świeżą zielenią, kwiatami, które na sobie miała, z pewną bojaźnią rzekł do niej: — proszę mi, pani, dać jeden kwiatek ze sukni! — Tekla spojrzała, odpięła kwiatek jaki był może ładniejszy u niej, a dając nieznanemu sobie dotychczas mężczyźnie, rzekła: — i owszem proszę, ja kwiatki lubię, ale mam dosyć. — Hrabia, przyjmując kwiatek, pomimo woli zadrżał, w tem zwłaszcza rękę, która kwiat biorąc, jej się ręki dotknęła, potem powąchał i trzymał, wcale się nawet nie spodziewając, że go zdobędzie.

Ksiądz Maksym ubrany w szaty cerkiewne, w księżowskim stroju wschodnich obrzędów, stojąc przy samym ołtarzu,

dawno już widział hrabiego w cerkwi. Spostrzegął nawet, że hrabia poszedł do córki jego, zrazu się trochę zadziwił, ale po chwili przypisał te kroki myślom bez celu, zalotom bardzo zwyczajnym, które nie dziwią, bo są w mężczyznach na całym świecie najpowszechniejszą zabawką. Pomyślał tylko: — eh, głupstwa robi, nie ma co patrzeć, nie czuje teraz tyle kłopotów, jak ja o siano — i obróciwszy się na bok, znowu się pytał ludzi o siano i o kosarzy, tylko tym razem bardzo po cichu, bo go wstyd przejął. Nie otrzymawszy jednak jak zwykle wieści, bardzo się zmienił na twarzy: oczy miał bystre, lecz biegające na wszystkie strony, myśl zasmuconą, taki niepokój ogarnął go, że sam nie wiedział co dalej robić? Będąc ubrany we mszalnym stroju, trudno mu było tak długo zostać bezczynnym obok ołtarza w cerkwi! Ludzie patrzyli, mówiąc na głos do siebie: — co to się znaczy? paroch ubrany stoi przed wielkim ołtarzem, a nie chce „prawić modlitwy”. — Ksiądz Maksym i sam to zrozumiał, po raz ostatni więc zapytawszy jakiegoś chłopca, czy on nie widział przynajmniej żyda od karczmy co kupił siano, lub czy nie widział kosarzy, albo czy zdala nie idą gdzieś fura ze sianem z łąki plebana? a gdy ten odpowiedział, że nie wie, wziął krzyż z ołtarza, chcąc jakąś krótką na odczepnego zanucić modlitwę i wzniosłszy krzyż ten do góry, wstrzymał się nagle. We mgnieniu oka ściemniło się niebo, ludzie i cerkiew: najogromniejszy deszcz lunął. Ksiądz Maksym trzymając krzyż w górze, myślał albo zaśpiewać modlitwę albo lud błogosławić; lecz usłyszawszy głos deszczu, z najgwałtowniejszym ściśnieniem serca wpomniał o sianie i drżącą ręką ruszając krzyżem w dół albo w górę, krzyknął donośnie lecz z żalem: „*propało-ż moje sino, propało!*” Ludzie stojący w dali od niego, nie dobrze słysząc słów tych, mniemali, że ksiądz już daje błogosławieństwo, bo żegna i padłszy na ziemię, błogosławieństwo przyjęli; inni, stojący przy

księdzu, tak osłupieli w zdziwieniu, że wytrzeszczywszy oczy na księdza, stali nieporuszenie nawet głów nie schyliwszy. Ci, co przybyli najpóźniej, spędzeni deszczem do cerkwi, słysząc te słowa parocha, pootwierali swe usta, kusząc się ciągle coraz je więcej otworzyć.

Hrabia stojąc przy Tekli, tak miał związane promienie ocz swoich z pięknnością Tekli, że nic nie widział i nic nie słyszał. Nie zdawał sprawy przed sobą, kim jest dziewczyna; albo zapomniał słów jej uprzednich lub nie dosłyszał, gubił się więc ciągle w myślach, czy nie jest to córka parocha?

Wtem jejmość księżkowa widząc deszcz prawie nawalny, wspomniała sobie, że na probostwie może są okna otwarte; z szybkością przestraszonego kota tłustego biegnąc po cerkwi, schwyciła Teklę i pospieszyły do domu. Dopiero wtedy hrabia przypomniał sobie, że to jest córka parocha.

Deszcz coraz większy buchał z chmur czarnych, a one go wylewały nie skapiąc i nie żałując strat po nim, owszem zdawały się nawet mieć ulgę z tego, mniej nawet były posępne; wieśniacy widząc, że w cerkwi nie ma takiej modlitwy jak trzeba, że nabożeństwo było nie jak zwyczajnie do Boga, ale do siana jakiegoś, cisnąc się, tłumnie do drzwi się pchali, miarkując w myśli, jaki to związek jest siana z krzyżem, który ksiądz trzymał? a byli tacy, co upewniali, że siano musi być święte; potem z kolei tak jak i wczoraj wychodząc furtką, dusili ręce, bok, krzyże, nogi; potem ból z tego krzyk wydobywał im z piersi, a potem znowu gdy się ocknęli po tamtej stronie furtki cerkiewnej, szli znacznie wolniej, w różnych promieniach.

Ksiądz Maksym widząc, że ludzie wychodzą, udał się również w stronę zakrystyi, zdjął z siebie kapę księżowską, którą niepotrzebnie naciągnął, żałując wzruszeń gwałtownych, które w czasie błogosławieństwa mu przyszły; potem się zbliżył

aż do hrabiego i jakby nic szczególnego nie zaszło, powitał i podziękował za bytność w cerkwi. Mówiąc z kolei o deszczu, zapytał nagle: — jakże pan hrabia wróci do domu? deszcz pada; proszę poczekać albo tu w cerkwi, albo przyjść do nas, jeżeli łaska, bo my tu blisko. — Hrabia nie wiedział co mówić, chodząc z parochem po pustej cerkwi, wskazywał palcem różne przedmioty, pytając co to? Chciał on parocha zmusić do rozmów, lecz nie słuchając go wcale, rozważał sobie tymczasem czy pójść, czy nie pójść? Gdy wczoraj paroch zaszedł do domu, wówczas mu hrabia różne o płci niewieściej zalotne robił uwagi, mógł więc posadzać hrabiego o jakieś myśli ukryte; ale gdy paroch chodząc po cerkwi, co chwila mówił i tłumaczenia dając obszerne zmęczył się, wówczas i zamilkł. Hrabia tymczasem patrzył wokoło, o co się jeszcze zapytać księdza. Wtedy u drzwi cerkiewnych trzy się zjawilo jakieś w białych okryciach postacie: jedna z nich była jak śledź zmoczony, miała twarz śledziowego koloru; druga jak głowa wołu z pejsami i tak obrzękła jak w trumnie nieboszczyk; trzecia z zamrużonemi oczami przypominała topielca, a wszystkie razem zabelkotały tak głośno jakby indyki. Byli to biedni, deszczem zmoczeni powracający z łąki kosarze. Ksiądz wzięwszy od nich wiadomość, że żyd o świcie zabrał gotowe już siano, tak się radował, że nie pytając się nawet hrabiego o chęci, schwycił ze sobą i poprowadził do swej plebanii.

Niespodziewane wejście hrabiego w dom księdza tak zmieszało księżdżową, że zaczerwieniona poszła do jakiejś małej komórki przy kuchni, zamknęła za sobą drzwi, zaszczepnęła na haczyk i pomimo wołań, pomimo stuknięć do drzwi i wielokrotnych przyjść nawet księdza, nie tylko wyjść, lecz nawet nic odpowiedzieć nie chciała, siedząc w cichości, milczkiem, jakby tam jej nie było. Ksiądz Maksym myśląc, że jej tam nie ma, chodził gdzieindziej, mówiąc co chwila hrabiemu: — ja

pójdę teraz zobaczyć, czy nie ma czasem jejmości w stodole, lub może w kurniku, albo na dachu — i wciąż wychodził. Wszystkie szukania jejmości księdzowej były daremne. Ksiądz może w duszy był nawet rad z tego, to przynosiło mu jakąś treść do chwilowej z hrabią rozmowy, tem bardziej, że tak się wyczerpał z grzeczności, słów i nieustannych ukłonów, że sam nie wiedział czem w domu bawić hrabiego, co dalej robić? Tem się więc tylko ratował, że otwierając lub zamykając drzwi, mówił: — teraz tam byłem, a teraz znowu tam pójdę, teraz gdzieindziej, a to jak na toż całe nieszczęście — i tym podobnie.

Z tego powodu dość często hrabia zostawał sam na sam z Teklą. Dziewczyna stojąc przy stole, muskała ręką włosy na głowie, żałując mocno, że nie ma nigdzie zwierciadła; pragnęła ona choć rzutem oka zobaczyć warkocz na głowie. Wzniósłszy więc oczy, puściła w górę ze swej szafirowej źrenicy najcudowniejsze, spokojne ale tak przeźroczyste i tak świecące promienie, iż się wydało samej dziewczynie, że one gdzieś się na górze zebrawszy razem, miały lusterko! Z tem przekonaniem patrząc się ciągle na jedno miejsce na górze, widziała własną twarz swoją, oczy, pierś, szyję, a uśmiechając znienacka, w całym łagodnem zadowoleniu ze siebie, mówiła w myśli: — oczy są czyste, twarz w tem lusterku tak mi się biała i przeźroczyście wydaje jak nie pamiętam, usta różowe; być może włosy nie są w zupełnym porządku, lecz rozkręcone zdają się dłuższe, piękniej jest z niemi. — Hrabia to samo o niej pomyślał, a nawet wielokroć więcej; podziękowawszy jej bardzo pięknie za kwiatek w cerkwi: — przepraszam, mówił, ja byłem trochę natrętny i przeszkadzałem modlić się pani.

— Nie, panie, odpowiedziała mu Tekla, co do modlitwy, ja się przyznaję, nie lubię modlić! — Cóż pani robi? — zapytał hrabia. Tekla mniemając, że on ją pyta o zatrudnienia

domowe, rzekła mu śmiało: mnie, panie, każda robota mała czy większa bardzo zajmuje. Wczoraj prałam bieliznę domową, a potem chcąc ulżyć Pryśce, powynosiłam zbrudzoną wodę z niecek i z balii; było tej wody z pięć wiader! — Szkoda rąk pani do tej czynności, — powiedział hrabia. Tekla się nagle zaśmiała, różowe usta jak dwa paluszki dziecka małego zgięte ze sobą, mrugając razem, to się zbliżały, to oddalały od siebie, raz chcąc okazać rozkosz i szczęście, to znowu słodycz miodową. — Pan pewnie myśli, mówiąc w uśmiechu, że ja te wiadra wzięłam od razu? nie, panie, jabym ich nie podniosła. Ja wynosiłam powoli, to mi dłuższego nieco zabrało czasu, ale wylałam. Wie pan? doprawdy że dla mnie nie ma większego tryumfu w świecie, jak kiedy pokonam wszelkie trudności w pracy. Robota każda mię zwykle bawi, pracując, nawet nie wiem dla czego jestem tak zwykle wesoła, że im mi więcej przybywa trudów do pracy, tem jestem zwykle weselsza. Mnie wszystko jedno co robić: mogę wycierać jeśli potrzeba podłogę, zamiatać dziedziniec, chodzić z koszykiem i zbierać grzyby, siano zgartywać; mogę szyć igłą, haftować, a nawet lubię robić koronki. Wie pan, że mi się ciągle wydaje, iż nie masz w świecie takiego stanu i położenia, takich nieprzewidzianych nieszczęść, w którychbym była zmuszoną smucić się, narzekać albo zwiesiwszy głowę, opuścić ręce z obojętnością na wszystko. — Opowiadając o tem hrabiamu, dla łatwiejszego pojęcia rodzaju pracy, łagodnym ruchem rąk swoich i kołysaniem lekkiej kibici, pokazywała mu razem jak się zamiała, jak się grzyby zbiera, albo się siano zgartyje, a gdy skończyła na tych wyrazach: „opuścić ręce“, za silnie wstrząsnęła rączkami. Wnet z jej sukienki i z piersi zaczęły padać na ziemię kwiatki z listkami; tem przełkniętą, zanadto nagle głowę schyliła, a z tego ruchu gęste jej włosy będąc zanadto długimi, spadły na szyję, plecy, łono dziewczęce, niektóre nawet

biegły, spadając aż do kolana. Hrabia spostrzegłszy taką przemianę w całym pozorze dziewczyny, był prawie pewny, że jakaś nowa, piękniejsza jeszcze od tamtej, najcudniejsza bogini trzymając w ręku dziewannę, róże, bławatki, z wszystkiemi z pola najcudniejszymi kwiatkami, z liśćmi zieleni stanęła przed nim. Porozrzucane wokoło giętkiej kibici bujne jej włosy, idąc od wierzchu przez całą długość postaci, ginęły w ziemi; biała sukienka ciasno zwinąwszy jej ciało jakby w marmurze, dawała oczom każdy wdzięk poznać, każdą wypukłość dozierać; a spadające co chwila z niej nowe kwiaty na ziemię, przypominały podanie, opis, iż była niegdyś taka prześliczna dziewczyna na świecie, że gdzie stanęła lub poszła, tam za nią natychmiast kwiaty porosły!

Tekla postawszy trochę to w tej, to w nieco innej, lecz zawsze w cudnej postaci, zmieniając wstydliwie pomimo woli układ i pozór ruchów, spojrzawszy nieco w oczy hrabiego, rzekła nieśmiało: — przepraszam bardzo, lecz teraz taką jak jestem, w tem zaniedbaniu już nie powinnam być z panem — i poszła.

Hrabia sam został. — Czyż to podobna, pytał się siebie, by ta lepianka, by to mieszkanie parocha było siedzibą takiej istoty, dla której trzeba królewskich zamków! Jakież to dziewczę szczęśliwe! jak mało trzeba dla niego warunków życia! — A potem rzucając oczy po izbie: — dom dość ubogi, dostatków pewnie nie mają, ojciec jej pragnął zakupić u mnie cokolwiek gnoju, więc nawet niewiele morgów mieć muszą ziemi?... — Zadumawszy się nieco, pomimo woli dość niespokojnem potem poruszał okiem na wszystkie strony. — Widzę, że szczęście nie tak daleko od ludzi stoi, jak my zwyczajnie myślimy. Jakież to szczęście jest w tem dziewczęciu, cnota i rozum? — To powiedziawszy patrzył na kwiaty, które przed chwilą spadły z sukienki, były na ziemi. Powstał, schylił się

trochę, zebrał ich kilka, włożył na piersi i znowu siadłszy, to bladł co chwila, to znowu bardzo się palił czerwono w policzkach twarzy.

Wtem wleciał w izbę ksiądz zadyszany, mówiąc: — już jadą, — lecz te wyrazy z takim powiedział wrażeniem, jak gdyby coś się paliło! Hrabia mając płomienie na twarzy, łątwo przypuszczał, że pożar na wsi. Po chwili w tej samej izbie stanął diak i palamarz, wracając z Przemyśla. Ksiądz mając w domu hrabiego, nie mógł otwarcie pomówić z nimi, więc urywkowo, dwuznacznie, niby to mówiąc o konsystorskim budynku, przeszedł z kolei do książek, mrugając okiem na palamarza, by się nie wydał w rozmowie. Dla omamienia pytał się go, czy będą książki cerkiewne: minei, trifolój i trebnik? Palamarz zaciął się trochę przy odpowiedzi, bąknął tak coś głupiego, że nawet ksiądz Maksym uśmiechnął się trochę. Hrabia spostrzegłszy, że się raptownie ocknął, wciągnięty w kółko duchownych osób, mniemał, że się rozpocznie jakaś rozmowa teologiczna czy konsystorska. Wstał, wziął swą czapkę, pożegnał księdza i wyszedł.

Po bujnym deszczu było już sucho na ziemi; po zachmurzonych obłokach rozwiesił się habit z błękitu; po silnym wietrze nastała cisza tak nieruchoma, jakby od nieba do ziemi zasnęły razem ze sobą w pieszczotach najrozkoszniejszych całusów wszystkie jaskrawe jakie są tylko nad ziemią smugi powietrza ze świeżą wonią drzewek, ziół, kwiatów. Smugi powietrza zmieszane w jedno, zdały się oku jak narzeczone, lub mąż wracający ze ślubu; wonność ożywcza, którą tak każdy nasyca usta, zdała się oku, a więcej myślom, być narzeczoną powietrza, lub wracającą ledwie ze ślubu już żoną.

III.

Bytność dwóch sług cerkiewnych niższego rzędu w przemyskim konsystoryjacie wschodnich obrzędów, przyniosła takie następstwa i skutek, o jakich ksiądz Maksym nawet nie marzył! Diak i palamarz byli przyjęci w konsystoryjacie w Przemysłu jak gdyby kardynałowie. Gdy weszli, trzech referentów główniejszych na konsystorskiem zebraniu, z godnością kanonikowską, w całej paradzie, z krzyżami, wzięli pod rękę tak palamarza jak również diaka z Złotówki i posadzili na większych krzesłach z poręczem. Diak siedząc, bardzo żałował, że go nie widzi jego syn własny i syn niewłasny; palamarz, że jadąc nie zabrał żony ze sobą, aby choć oknem z podwórza mogła nim się zachwycać.

— Wiemy już, wiemy o wszystkim, mówili do nich trzej referenci z krzyżami, a głos ich tak uroczyście się rozchodził i taką wzbudził uwagę, że kiedy zegar wiszący na ścianie dzwonił godzinę, dwóch kanoników ze strony, zaraz na palcach zbiegło się razem i zatrzymało ten zegar, by nie przerywał im mowy. — Wiemy już, wiemy, dwaj referenci mówili znowu, wielbny ksiądz Maksym, ozdoba cerkwi wschodnich obrzędów, luminarz, słońce na horyzoncie kapłańskim... tyle przymnożył w tak krótkim czasie światła dla Rusi, że wszyscy archaniołowie na niebie niosąc tę światłość na skrzydłach, pewnieby może upadli pod niem! — Mowa ta była ogromnie długa, a każdy wyraz, myśl, porównanie w niej się zwracały do tego, aby szeroka i nieskończona w granicach swoich Ruś cała, wiecznie wielbiła czyn, pamięć i nieobjęte w swej mocy zasługi księdza Maksyma.

Mowa ta straszne zrobiła wrażenie: wszyscy obecni na konsystorskiem zebraniu zaczęli krzyczeć: — niech żyje Ruś nasza! niech żyje ksiądz Maksym, jej najgorliwszy i najcnotliwszy apostoł! — Potem z kolei szła uwielbienia taki był wielki, że wszyscy wstawszy, nucili chórem cudowną pieśń jemu: „Mnohaja lita“.

Nim posiedzenie konsystoryjalne miało się zacząć, już wtedy cała gromada parochów na małe rozszarpała się kółka po izbie, a w każdym kółku jeden ksiądz mówił z zapalem drugiemu, iż ojciec Maksym tegoż dnia nawet, w którym był przybył do swojej nowej siedziby, zebrawszy chłopów gromadę, porywając przemówił! A skutek tego dla ruskiej sprawy i dla religii wschodnich obrzędów był tak olbrzymi, że cała wieś jednomyślnie postanowiła pod klątwą najuroczystszej przysięgi: 1. Zatrzeć na słupach nadpisy polskie, a umieściwszy natomiast nadpis serbskimi słowami, przybić do słupa. 2. We wszystkie święta zachodnich obrzędów spędzać jakie są tylko plugi po chatach do orki w polu! 3. Czuwać, by w duszy tak wszystkich księży wschodnich obrzędów, jak również włościan, w sercu i w całym ich ciele, nieustająca i niewygasła już nigdy do końca świata zapanowała wzgarda dla wszystkich wiejskich dziedziców i innych ludzi, z tych a tych mianowicie powodów i tym podobne. Przy tych ostatnich wyrazach gdzieś na podwórzu konsystoryjalnem zaczęto strzelać z moździerzy.

Mówiono przytem, że ksiądz Maksym jeszcze uprzednio będąc w Przemyślu, dał przyrzeczenie, jak najspieszniej z żoną i córką, czy dzień czy w nocy, na każdy przybyć teatr rusiński, gdzieby on nie był, dla narodowej korzyści.

Wszystkie te małe i podzielone uprzednio kółka księżowskie, opowiadając każde z osobna nawzajem sobie te wieści, potem się w jedno skupiły koło ogromne, a potem wszyscy

księża obecni wzięwszy się wzajem za ręce, krzyknęli chórem: — niech żyje jedność, sława i sława dla Rusi!

Diak i palamarz uczestniczyli również w tem co inni robili, a po skończonej uroczystości zdawali sprawę o celu swego poselstwa. W krótkich wyrazach opowiedzieli, że ich ksiądz Maksym po to przysyła, aby na zgromadzeniu konsystoryjalnem w Przemyślu padła następująca uchwała: *zważywszy*, że wieś należąca do księdza Maksyma, jest bardzo wielka, a rozproszeni włościanie nie mają miejsca skupienia; *zważywszy*, że dla korzyści nauk duchownych w duchu odrębnym rusińskiej cerkwi jest nieodzownem, by oprócz nauk i kazań była na zewnątrz dla oka i okazałość wspaniała; *zważywszy* dalej, że zgromadzeni słuchacze, jako stronnicy wielkiej idei w duchu postępu i przebudzenia, dawniej nieznanych przekonań, zasad, powinni swoje dążności zatwierdzać aktem religijnego obchodu w najrozsławniejszem znaczeniu; by ten akt razem będąc zbudzeniem nieśmiertelnego ducha, zawierał w sobie wewnętrzne zadowolenie, a mianowicie: radość bez końca, wesołość sumienia, które być muszą aż posunięte do szalu i upojenia; wysoki, najświętobliwszy konsystorz wschodnich obrzędów w Przemyślu *uchwalił*: wydać dość znaczną sumę pieniędzy na kupno wódki, na ręce księdza Maksyma.

Gdy diak i palamarz odczytywali te punkta, cisza zapanała tak wielka, jak była przed światem stworzeniem. Potem odrazu zaczęto walić oklaski, ale tak długie i tak żarliwe, że wszystkie ręce parochów wschodnich obrzędów, naprzód od tarcia częstego sypały iskry, potem dym, a potem jakby płomień! Przy tych okazach tryumfu znowu na konsystorskim dziedzińcu zaczęto strzelać z moździerzy!

Przewodniczący konsystoryjatu kanonik czy biskup wschodnich obrzędów, widząc, że się nadziemskie jakieś rodzą w księzowskich piersiach wrażenia; że taki płomień powstaje w izbie

jak dla samego niegdyś Mojżesza, wstał i przemówił: „Wiele-
 „bni bracia ojcowie! bracia pokrewni w duchu, umyśle i sercu!
 „synowie Wschodu, apostołowie rusińskiej sprawy we wscho-
 „dnim guście! cześć i pozdrowienie wam niosę w rusińskiej
 „ziemi!“ Zaledwie zakończył, znowu powstały oklaski: niektórzy
 księża zaczęli bić po podłodze nogą, inni łaskami, a inni
 kapeluszami, z których kawałki leciały.

Biskup się trochę zatrzymał w mowie, a potem tak zaczął: „Brat mój, bo się ośmielam księdza Maksyma, idąc za
 „mego serca wystrzałem (powiedział drżąc) tak nazwać przed
 „wami! ten brat mój i wasz zarazem... w duchu, umyśle i ser-
 „cu... o chlubu! o me rozkosze... bracia ojcowie wschodnich
 „obrzędów... słuchajcie, ten brat nasz nieskończonemi w zasłu-
 „gach swoich czynami, poruszył ziemię, na której padły, da-
 „wnych przesądów zabiegi! Jego staraniom zawdzięczać mamy,
 „że wiejskie słupy pokryły się dzisiaj serbskim nadpisem!
 „o chlubu! o me rozkosze! nie mogę mówić w nawale szczę-
 „ścia, w potopie chłuby... i nie wyliczam już innych olbrzymich
 „zasług księdza Maksyma, by nie przekroczyć skromności! To
 „tylko dodam, czego nikt jeszcze nie dodał w świecie... to
 „tylko powiem, czego nikt nie wymówił na świecie!... dla tego
 „wnoszę: aby konsystorz wschodnich obrzędów z głównego
 „skarbu wydzielił dziesięć tysięcy według żądania księdza Ma-
 „ksyma i te pieniądze najspieszniej mu posłać“.

Gdy ksiądz biskup ostatnie domawiał słowo, już widać było z twarzy słuchaczy, że wnet wybuchnie w izbie konsystoryjatu taki gwałt w ludziach, jakby nastąpił już koniec świata. I rzeczywiście! krzyk powstał przerażający, lecz wy-
 czerpawszy uprzednio wszystkie oznaki radości, hołdów i uwiel-
 bienia, ktoś krzyknął: — dusza nam rwie się! nie wytrzyma-
 my! — a potem tenże głos dodał: — illuminację urządź! —
 I w jednej chwili jedni z parochów dostawszy z kieszeń zapalki,

tarli o ziemię, o stoły, podłogę i z zapalonem płomieniem rzucał je w górę: drudzy widząc patyczki z ogniem na ziemi, chwyтали w ręce i niosąc dalej, pozapalali niemi jakieś papiery i dokumenta cerkiewne, które w konsystoryjacie leżały; a w mgnieniu oka iskry, płomienie po całej latały izbie.

Było już prawie niepodobieństwem całe duchowne to grono uciszyć lub uspokoić; ale z kolei musiały nastać w konsystoryjacie i wota i głosowanie publiczne. Co do pieniędzy, to przeszły one ogólną uchwałą w jednomyślności; ale w tej już stanowczej naradzie powstały wnioski i zdania w innych przedmiotach.

Większość parochów i referentów pragnęła: 1. by wysłać przytem adres w imieniu konsystoryjatu na imię księdza Maksyma; 2. aby go chował na wieczną i nieśmiertelną pamiątkę; 3. by w tym adresie wyszczególniono podziękowania za różne rzeczy: za zmianę słupów i tym podobne. Ale gdy się zaczęła tyle kroć razy już powtarzana mowa o słupach, to inni znowu powodowani ogniem patryjotyzmu, dawali wniosek: aby zażądać albo powagą konsystoryjatu, lub nawet prosić księdza Maksyma na drodze łaski, by wstąpił z gminą w porozumienie i zamiast słupów z nadpisem, rozciągnął w górze, w powietrzu po nad wsią całą Złotówką ogromne płótno, rodzaj obłoku, a na tem płótnie na całą długość uczynił nadpis: „ruś i rusini“.

Przy wymówieniu wyrazów: „ruś i rusini“, wszyscy parochy a nawet biskup wschodnich obrzędów, przewodniczący w tem kole, w najgwałtowniejszym pośpiechu z miejsc powstawali; a po pas głowy schyliwszy po trzy kroć razy, w tej nachylonej postaci wzajem się sobie kłaniali, jak się to czyni w uroczystości cerkiewne, albo w klasztorach podczas modlitwy, a potem siedli.

Po chwili powstał jakiś młodziutki referent kanonik, z okrągłą twarzą, z zadartym noskiem, żądając głosu, w te przemówiwszy mniej więcej słowa: — ponieważ wiek nasz jest wiekiem nauk i wynalazków, a małe dziecko więcej dziś umie, niż dawniej stary, tak że się liczba uczonych ludzi stokroć zwiększyła; byłoby przeto najkorzystniwszem dla naszej wielkiej, nieocenionej rusińskiej sprawy; do wszystkich gazet w kraju i za granicą podać następującą odezwę lub ogłoszenie: „wzywa się wszystkich ludzi uczonych, aby wypracowali sposoby, lub wynalazek zrobili, z którego pomocą możnaby było wyżej wspomniane wyrazy zmieścić na górze w przemyskiej ziemi w samym obłoku!“ — Gdy skończył, powstał z kolei dziekan młodziutki, podobny z twarzy do kanonika, z następującą uwagą: — ponieważ cerkiew w najnowszych czasach stała się dźwignią wielkich idei liberalizmu i tym podobne, dzięki usiłowaniom Świątobliwego biskupa — i skłonił się jemu — wnoszę w imieniu własnem i mych kolegów: 1. Aby połączyć cerkwie ze sobą żelaznym drutem, a mianowicie w ten sposób, aby drut idąc z dachu dzwonnicy od jednej cerkwi, przechodził potem w górze, w powietrzu, przez las, pastwiska do wsi następnej, gdzie stoi cerkiew i tam przymocowany znowu do dachu dzwonnicy, szedł po kolei górą, w powietrzu, do innych wiosek i innych cerkwi po całej ziemi przemyskiej. 2. By na tym drucie, łączącym cerkwie, rozwiesić wszędzie nieprzemakalną ceratę z wielkim nadpisem: „ruś i rusini“, dodawszy przytem na dole płótna: „pohybel lachom“. — Roztropny biskup po chwili zastanowienia odrzekł spokojnie, że toby było bardzo wspaniałe, lecz przypomina po trochę żydowskie sznurki między domami po miastach. Po wielu tedy uwagach wspólnemi głosy postanowiono: przystąpić do najpierwszego pomysłu, to jest, aby rozciągnąć na okaz w samej tymczasem tylko Złotówce ogromne płótno z wyż wymienionym nadpisem. Biskup

na razie nie chciał do tego należeć, lecz pomyślawszy, że to nie dobrze być z duchowieństwem w sprzeczności, że trzeba razem, że się nie można narażać i tym podobne; przystąpił w końcu do wniosku, a poleciwszy umieścić go zaraz w adresie do księdza Maksyma, z dodatkiem jednak: „jeżeli można“, był już zupełnie zadowolony.

Inne przedmioty nie podlegały rozprawie, bo jednomyślnie postanowiono: 1. Przyznane wyżej pieniądze wydać z konsystoryjatu osobnej komisyi, złożonej z dwóch osób, z poleceniem, aby takowe wręczyła we własne ręce księdza Maksyma w Złotówce. 2. Natychmiast urządzić doroczne święto i uroczystość w całej plebanii księdza Maksyma i na takowe zaprosić osobną kurendą wszystkich parochów wschodnich obrzędów z przemyskiej ziemi. — Ostatnie wnioski przeszły w uchwałę bardzo spokojnie: wszyscy parochy wschodnich obrzędów byli już bardzo zmęczeni. Płomień palących się w izbie cerkiewnych papierów poniszczył nawet kawałki czapek księżowskich, które leżały na ziemi; dym coraz gęstszy zaczął dokuczać; coś zaśmierdziało w przemyskim konsystoryjacie tak mocno, jak nigdy nie pamiętano! Księża jedni kaszlali, drudzy krztusili się, inni tarli swe oczy, które dym gryzł okropnie, a wszyscy już się ruszali, aby wychodzić i posiedzenie zamknąć.

Diak i palamarz byli wyprowadzeni z wielkiem uczczeniem do swego wozu, który stał już na dworze: tłum osób pożegnał tych dostojników z ogromnym zapalem. Chciano urządzić na ich wyjazd osobną ucztę, z mowami, z okazałością, nawet z przepychem, lecz czasu zabrakło. Gdy odjeżdżali, niektórzy tylko z osób otaczających, wyjąwszy w wielkim pośpiechu papier z kieszeni, zrobili naprędce z tegoż papieru strzały i chcieli rzucić w powietrze, lecz to się nie dobrze udało! był wiatr i strzały padły natychmiast na ziemię.

Tak było w rzeczywistości w przemyskim konsystoryjacie, w pamiętny dzień ów, na posiedzeniu publicznem, w sprawie parocha wschodnich obrzędów księdza Maksyma.

VI.

Trochę inaczej działo się jednak prawie w tym samym czasie w Złotówce.

Hrabia wyszedłszy z plebanii, udał się do domu. Tekla wybiegła aby poprawić włosy na głowie, myśląc o swym wypadku i o ostatniej rozmowie. Dopiero po wyjściu hrabiego, Tekla powzięła już niewątpliwą wiadomość, że on był dzieckiem tej wsi i jak na razie dość jej się podobał: był lat średnich, płeć miał na twarzy dość jasną, oczy żywe i uczuciowe, usta wypukłe i koralowe, szyję długą i wyciągniętą jak każdy mniej więcej prawdziwy hrabia w Galicyi. Zresztą na twarzy miał ślady, że już przebywał w swem życiu nieszczęścia i szczęścia, a głębsze wpatrzenie się w niego okazywało, że tak do cnoty jak i do zbrodni był on jednako usposobiony, stosując się do czasu, konieczności i wypadków; wszakże ostatnie te spostrzeżenia nie były dostępne dla Tekli. Hrabia miał zresztą charakter dość miękki, skłonny tak do pięknych porywów jak i do niskich; był lekkomyślny, a często dumny, słowem miał wszystko to, co inni ludzie płci męskiej w rozbitym, zrujnowanym, bez opinii a tak nieszczęśliwym dziś kraju naszym.

Tekla nie wiedząc o charakterze, znała hrabiego z twarzy i rozmowy tylko, a myśląc o nim, wdzięczną mu była, że ją dawniej pochwalił przed ojcem, o czem sam zresztą ojciec przy wieczerzy im opowiadał; przypominała sobie rozmowę o hrabim, małego chłopca z jabłoni; śmiała się z siebie,

to znowu czasem z hrabiego; ale ten uśmiech był bardzo niewinny i nieszkodzący; przybywał na twarz, krył się we wdziękach dwóch dołków około ustek tylko dla śmiechu odkrytych; wchodził z kolei do serca i mieszał lub gmatwał wszystkie dziewczęce najrozmaitsze wzruszenia.

W tym samym czasie diak i palamarz w innej już izbie rozpowiadali przed księdzem Maksymem wszystkie tryumfy swoje w konsystoryjacie przemyskim, a jako naoczni świadkowie, dosłownie mu powtórzyli, co już w uprzednim było rozdziale, chcąc nawet najuroczystszą złożyć przysięgę, że tak w istocie się działo. Ksiądz Maksym uszczęśliwiony, trochę nie wierzył, bo mu się wszystko wydało jakby snem z nieba, lecz przy ostatnich zakłęciach swych ludzi, nie wątpił o tem, tem bardziej, że za chwil kilka przybyło również zapowiadziane poselstwo z Przemyśla z pieniędzmi oraz adresem do niego.

Przemyskie poselstwo, przybyłe w imieniu konsystoryjatu do księdza Maksyma, składało się tymczasem z dwóch tylko posłów: jeden zwał się Nejda, a drugi Kowalski. Co to byli za ludzie? trudno określić; pół cywilni a pół duchowni, skończywszy od lat dziesięciu przemyskie seminaryjum, nie oznaczyli aż dotąd stanowiska swojego; owszem, potrzebując dla wypełnienia wschodnich przepisów, przed wyświęceniem się na księży, najprzód ożenić się, od lat dziesięciu szukali żon sobie, lecz byli tak wybredni, że się stanowczo oświadczyć pannie nie chcieli. Byli tak do siebie zbliżeni w uczuciach, w upodobaniach twarzy kobiecej, że która panna jednemu się podobiała, to i drugiemu zarazem. Prócz tego cały ich układ zewnętrzny, własne ich twarze, nosy i oczy, a nawet włosy na głowie tak były podobne, że panny nieraz się nawet wylały w rozmowach z nimi, a często jeden dowiadywał się nieraz wypadkiem o tajemnicach drugiego. Były pomiędzy nimi z tego powodu czasem niezgody i kłótnie, lecz za to we wszystkich

innych wypadkach bardzo się łącznie i zgodnie trzymali. Bywając wszędzie po całej ziemi przemyskiej, tak dobrze znali każdy zakątek, że od nich lepiej się można było dowiedzieć o wszystkim, niż od starosty lub komisarzy, a nawet niż od poborców podatków wiejskich.

Z tego względu konsystoryjat przemyski wschodnich obrzędów dawał im często różne zlecenia bądź polityczne w czasie wyborów gmin wiejskich, bądź inne dla podniesienia rusińskiej sprawy. Nejda, kiedy był jeszcze w szkołach, zwał się właściwie Najduch; ale ponieważ to imię ma jakiś dwuznacznik, więc przezwiał się z początku Nęjduch, a potem Nejda. Kowalski zaś nigdy nie zmieniał nazwiska, ani za młodu, ani potem gdy już umierał i to właściwie była jedyna najwybitniejsza pomiędzy nimi różnica.

Przybycie ich do Złotówki nadzwyczajny wywołało ruch w całej plebanii; posłano po wódkę, piwo, przygotowano wieczerzę, dwie kopy jaj zgotowano naprędce, tłumacząc się zresztą, że jutro będzie dostatniej. Tekla wiedziona wrodzoną ciekawością, kto to przyjechał do domu, jak wygląda, czy młody, czy stary, czy brunet, czy blondyn, jakie ma oczy, gdyż nigdy jeszcze ich nie widziała, przybyła także zobaczyć, lecz się skłoniwszy im tylko, wnet powróciła. Sam tylko ksiądz Maksym jadł z nimi; księdzowa z Pryską co chwila usługiwała, wychodząc i wchodząc; a dwaj goście za każdym wejściem księdzowej, gdy jeszcze była u drzwi, patrzyli w ręce co niesie. Rozmowa księdza Maksyma z gośćmi przetrwała aż do północy, bo goście, tak jak diak i palamarz, musieli powtórzyć o wszystkim, co się w konsystoryjacie przemyskim mówiło oraz robiło; a ksiądz Maksym po tej ostatniej rozmowie w nic już nie wątpił. Prawie przy stole goście zaczęli już drzeć, potem spać, a potem chrapać ogromnie; ksiądz zawoławszy księ-

dzową i Pryskę, rozebrali ich i położyli do własnych swych łózek na nocleg, sami się z Teklą wyniosłszy gdzieindziej.

Nazajutrz ledwie świtało, już ksiądz, księdzowa, Pryśka, diak i palamarz byli na nogach. Ze wsi znoszono najrozmaitsze przedmioty; baby przychodziły i wychodziły, oddając kurczęta, ser, nleko, masło, kwaśną śmietanę; żyd przyniósł cielę zabite, z którym ksiądz Maksym najprzód się poznał w Złotówce; cała sień była zavalona towarem. Księdzowa z Pryską, nie chcąc przebudzać Tekli, by swoim śmiechem i wesołością nie przeszkadzała, same się uwijały; a gdy ksiądz Maksym raz przyszedł do nich tylko zobaczyć, księdzowa mówiła jemu przy zgartywaniu śmietanki: — widzisz jegomość, ja miałam wczoraj dzwonenie w uchu, prawa mię ręka świerzbiała? jakże tu we sny nie wierzyć? — Czyż to sen chyba? ksiądz się zapytał. — To jest chciałam powiedzieć, rzekła zakłopotana księdzowa, jakże nie wierzyć w przesady?

Ksiądz Maksym wyprawił potem diaka i palamarza po ryby, mięso wieprzowe, skopowe, po cukier, wina, herbatę tym podobne. Księdzowa czyniła przygotowania, które do kobiet, a ksiądz te czynił, które do mężczyzn należą.

Przemyślskie poselstwo długo jeszcze leżało w łózkach; ale gdy słońce znaczną przebyło już drogę, a w tej podróży pracując ciągle na korzyść ziemi, przywiozło dużo dla niej jasności i ciepła, wówczas zaczęli wstawać posłowie zbudzeni jak gdyby myślą, czy też i dla nich to słońce coś nie przywiozło osobno? Ksiądz Maksym wnet do swych gości pośpieszył, przywitał i pocałował bardzo serdecznie, pytając co będą jedli? — Proszę dać wódki, odpowiedzieli, a potem co się podobą.

Gdy jednak po wódce i po śniadaniu, ksiądz Maksym spytał posłów, gdzie są pieniądze przysłane? Kowalski i Nejda odpowiedzieli z niechęcią: — jakież jegomość nieobyczajny!

gdzież się podziła dawna gościnność? zabaw nas, proszę, księżu plebanie, rozwesel trochę, twoje pieniądze nie zginą przecie! Myśmy przybyli by się rozgościć, trochę gawędzić, trochę rozerwać... a ksiądz dobrodziej tak chcesz nas sucho przyjmować? — A nie! broń Boże, krzyknął ksiądz Maksym, wierście panowie, co tylko chcecie pijcie i używajcie, a ja prócz tego wasz sługa, czekam na rozkaz; żądajcie tylko! — Posłowie słysząc taki zwrot mowy, rzekli do niego: — no, więc zagrajmy dla wesołości w karty ze sobą!

Ksiądz Maksym miarkując, że gdy im przegra cokolwiek, to prędzej mu dadzą pieniędzy, tem bardziej, że mu posłowie wczoraj mówili, iż mają tajemne z konsystoryjatu zlecenie bacznie uważać, by te pieniądze na samą tylko szły ruską sprawę chętnie siadł z nimi razem grać w karty, z początku w *ferbla*, potem w *labeta*. W dość krótkim czasie został przegrany, wnet im zapłacił gotówką i znowu prosił bardzo uprzejmie i szczerze, aby posłowie wydali przyslaną z konsystoryjatu mu sumę, mówiąc, że zresztą, jeżeli zechcą, będą świadkami wydatków. Skończywszy prozbę, rzucił się nagle na twarz i szyję zrazu jednemu, potem drugiemu posłowi, całując ciągle z takim okłaskiem ust i języka, jakby ktoś z bicia opodał trząskał.

Obaj posłowie rzucili się potem na twarz i szyję plebana i już od siebie zaczęli go ścisnąć, a sam ksiądz Maksym zaczerwieniony, zapałowany i rozczulony objawem tak pałającej miłości, do tego stopnia został w złudzeniu, iż widząc obok przy sobie dwóch posłów, mniemał że widzi jednego może gdzieś w lustrze, drugiego przy sobie, byli albowiem bardzo do siebie podobni. Uradowany, że tylko z jedną osobą będzie mieć sprawę: — słuchaj najmilszy, najukochańszy na całym świecie człowieku, mówił ksiądz Maksym, ja krótko powiem, moje wyrazy będą długimi w szerokości dłoni! — a pokazawszy dłoń swoją na dowód, że mówi prawdę... — oddaj

pieniądze, ja z mojej strony za twoje trudy zapłacę! — Poseł Kowalski widząc, że księdzu chodzi o nagrodzenie jednego tylko, w największym gniewie mu odpowiedział: — a Nejda tak się zostanie? — Zaczerwieniony ksiądz Maksym mniemając, że to jest mowa o kimś podrzędnym, rzekł mu po cichu: — czort go tam pobierz! — ale w tej chwili wspomniawszy sobie, że jest dwóch posłów, zaczął coś mówić w takim zmieszaniu, jakieś wyrazy pierwszemi tylko ledwie zgłoskami!... Posłowie widząc, że się nie mogą zrozumieć, jeszcze się więcej burzyli! — Co tam zaplata, odrzekł Kowalski, nie trzeba! — Nejda chciał w końcu przystać, ale gdy się zaczęli umawiać o to, ten dawał mało, tamci żądali za wiele. Ksiądz Maksym czując, że Nejdę nadto obraził, zaklinał posłów na wszystko. Błagania księdza Maksyma były do tego stopnia pokorne, że chciał przed nimi uklęknąć, brał za kolana, za buty i za podeszwy u butów, ale posłowie byli tak chłodni jak ich podeszwy. Nejda spostrzegłszy w końcu w księdzu Maksymie i bojaźń i razem taką pokorę: — wiesz co jegomość? mówmy otwarcie! ja chciałbym przyjąć święcenie, ale muszę się najprzód ożenić, daj mi swą córkę, a już z pieniędzmi jak będę zięciem.., — i nie domówił. Ksiądz Maksym stanął, wziął się rękami za włosy, potem chciał już wychodzić, nie okazując czy chce czy nie chce tego; lecz nagle drzwi się otwarły i weszła Tekla z różnemi poleceniami od matki: — proszę tatusia, rzekła półgłosem, mama jest w kuchni, przybyła nowa kucharka i jakiś kucharz robią jedzenie na kilkaset osób... — i nie skończywszy wyrazów, zaczęła śmiać się, skłoniwszy się posłom. Ksiądz Maksym mając myśl przepelnioną poprzedniem, wziął Teklę bardzo poważnie za rękę, pytając: — no, powiedz, chcesz ty wyjść za mąż? — Tekla posłana przez matkę z zapytaniem, co zrobić ze skopowem a co z wieprzowem mięsem, nie spodziewając się nigdy podobnych ojca zapytań, miała swe

myśli tak zaprzątnięte bojaźnią, by nie zapomnieć różnych poleceń od matki, że bez namysłu w tej chwili odpowiedziała: — którażby panna, tatulu, nie chciała iść za męża? — Ostatnie jednak wyrazy były tak wymówione dwuznacznie, że w chwili ich wymówienia zdała się dostrzedz i sama Tekla znaczenie onych. Ksiądz Maksym patrząc to na nią, to na nich, rzekł znowu do niej: — chciałabyś przyjąć sobie za męża tego młodziana? to jest pan Nejda. — Tekla nie widząc nawet, gdzie jest pan Nejda, spuściwszy głowę, swym żartobliwym zwyczajem znowu mówiła: — gdyby pan Nejda chciał moje znosić kaprysy..., — a potem widząc, że się to może zakrawa na jakąś prawdę, a choćby zresztą były to żarty, to się nie godzi żartować; wymknęła się raptem z ręki ojcowskiej i wnet wybiegła.

Ksiądz Maksym wzruszony uprzedniem, tak zagmatwaną wszystkiem miał głowę, że nie był w stanie rozstrząsnąć, co to się stało? Nejda biorąc te słowa w korzystnem jednak dla siebie świetle, był przekonany, że już połowę sprawy ubito, schwycił za rękę drugiego posła, a przystąpiwszy do księdza: — teraz, powiedział, drogi mój ojczy zabierz pieniądze, jestem dziś w niebie!... takiego cudu jeszcze me oczy nie dostrzegały na świecie — i wyszli wszyscy: jedni oddawać, drugi przyjmować pieniądze. Ksiądz Maksym zanurzywszy rękę w kieszeni, dobył z niej dawniej wynaleziony na dworze plebańskim jakiś spleśniały pieniążek, który był schował na szczęście; wrzucił go w worek z pieniędzmi, który otrzymał z rąk posłów i potem wraz z workiem zamknął się w izbie, by przechować pieniądze.

Radość Nejdy była bez granic, wybiegł na dwór, chciał czegoś szukać, potem się wrócił, a potem znowu wyleciał, bo mu się zdało, że trzeba szukać tysiące na raz przedmiotów. Wtem widzi, że dwie podwoły napchane ludźmi jadą pod ganek

plebanii: zrazu osądził, że to zapewne ma jakiś związek z jego weselem, o ktorem myślał, ale gdy z fur tych, nim zajechały jeszcze pod ganek, wyskakiwali z ogromnym pędem jacyś mężczyźni, wówczas rozpoznał, że ci przybysze byli z czwartego kursu seminarzyści z Przemyśla.

Seminarzyści czwartego kursu wschodnich obrzędów w Przemyśle są to osoby stojące prawie w przededniu święceń kapłańskich. Kończąc teologiczne nauki, marzą już tylko o żonie i o święceniu kapłańskim. Ztąd razem obok słuchania poważnych nauk ojców Kościoła, obok ksiąg szkolnych: dogmatyki lub filozofii, miewają książeczki bardzo starannie opracowane, gdzie się znajduje najszczegółowszy spis panien, córek księżowskich i innych dziewcząt. W tej małej u nich książeczce są wiadomości: nazwisko i imię każdej panienki, gdzie mieszka, ile lat żyje, ile posagu mniej więcej mieć może, ile ma spodnic, koszul i sukien, z kim spokrewniona, kto byli przy chrzcie jej kumowie, bogatsi lub mniej bogatsi, a ten warunek na pozór mały, przy wydarzonej zręczności, a mianowicie przy ślubie, nadspodziewaną czasem przynosi korzyść... wiele ojcowie córek, księża plebanie mają krów, koni, owiec lub trzody, czy jest korzystna parafija?... i mnóstwo innych najszczegółowszych, jak gdyby w biurze podatków i paragrafów i rubryk. Są to tak dokładne i razem wszechstronne notaty, że z nichby można ułożyć poemat, powieść, statystykę, geografiję a nawet i psychologiję.

Nieoceniony w swej pieczy konsystorz, czuwając pilnie nad wszelkiem dobrem swoich seminarzystów, nieraz zaprawiał zawczasu do wszystkich przyszłych ich obowiązków kapłańskich. Ztąd wiedząc, że się w Złotówce ma odbyć wkrótce wspaniałe święto dla podniesienia rusińskiej sprawy, wysłał tych wszystkich seminarzystów z Przemyśla, by zaprawili się wcześniej w czynnościach, które ich wkrótce oczekiwały po

wyświęceniu kapłańskim. Nim jeszcze wozy mogły przyciągnąć pod ganek plebanii księdza Maksyma, już oni krzycząc wesoło, oraz spychając siebie nawzajem, wyskakiwali na ziemię. Ten ruch i krzyki pod samym gankiem tak niezwykajne, wywoływały z wnętrza gospody różne osoby: wybiegła Tekla, księdzowa z kuchni, kucharz, kucharka, Kowalski, prócz księdza Maksyma. Jedni z seminarzystów na widok Tekli wstrzymali się nieco, sprawdzając w myśli wszystkie opisy, które w ich książkach już były o niej najszczegółowiej zebrane; drudzy pchając się nagle do drzwi otwartych, jakby już znali dom ten, wprost pobiegli na ogród; inni do kuchni przeglądać mięsa i inne osobliwości kuchenne; a znowu inni stukali się mocno do izby, w której zamknięty ksiądz Maksym liczył pieniądze.

Księdzowa, kucharz oraz kucharka wnet powrócili do kuchni ratować swoje anatomiczne i botaniczne okazy; zdziwiona Tekla szukała ojca, by mu powiedzieć o gościach i w mgnieniu oka zostali się tylko na dworze Nejda oraz Kowalski. — No, cóż kochany, mówił Kowalski do Nejdy, dobrze się stało żeśmy oddali pieniądze? — A bardzo dobrze, ja jestem prawie już zaręczony! połowę worka musi mi oddać w posagu! — Kowalski zamilkł i po baczniejszej uwadze rozmyślał nad tem, co począć? bo jemu Tekla także się bardzo wydała ładną i także chciał ją poślubić z powodu worka z pieniędzmi. Wszczęli więc dłuższą o tem rozmowę bardzo zuchwale. Kowalski twierdził, że on doniesie konsystorzowi, iż te pieniądze nie idą na przeznaczone im cele, lecz na rodzinę. — Ja cię uderzę, na to powiedział mu Nejda, strzeż swoją głowę! — i wytrzeszczywszy nań oczy, podniósł swe ręce! Kowalski tem obrażony do głębi, również nań oczy wytrzeszczał i także podniósł swą rękę: dwaj zapaleni współzawodnicy stanęli obok przy sobie z wyciągniętymi głowami jak dwa ko guty, patrząc się wzajem na siebie kto pierwszej i co uczyni?

Tekla szukając ojca, w niespokojności, w zakłopotaniu wybiegła na dwór, a widząc jednakie twarze, jednakie głowy, ręce wzniesione jednak i wyraz gniewu jednaki, stanęła, myśląc co to takiego? Dopiero teraz patrząc z uwagą na dwie osoby, z najzadziwieńszym przestraczem dwie takie same oglądała postacie. Bóg wie, co jej się zdało! stała jak posąg, bała się iść naprzód i bała się również powracać! Serce jej drżało, spuściła ręce, w dół je trzymając z wyciągniętymi palcami, twarz miała bladą, a dwie powieki na oczach rozkołysane jak liść na drzewie od wiatru, drgały co chwila. Nejda, tknięty przeczuciem rozkochanego, najpierwej Teklę zobaczył, a wstydzając się czynu swojego, rzucił się raptem na Kowalskiego, pragnąc przed Teklą udawać, że chce go tylko całować; ale Kowalski nie wiedząc o tem, począł okładać go pięściami. Jeden więc ciągle całował, a drugi bił. Tekla uciekła nazad do domu, Nejda wyrwawszy się z rąk przeciwnika, pobiegł za nią, chcąc się oczyścić z niekorzystnego pozoru; na dworze został się tylko gniewny Kowalski, patrząc na swoje ręce czerwone i poprawiając odzienie.

Dwór był niewielki; na prawo z domu brama wisiała umocowana do płotu, za nią szedł już cesarski gościniec. Brama się raptem otwarła, wszedł przez nią diak i palamarz, niosąc najrozmaitsze nakupione nowe towary, a wkrótce po nich schodzili się jacyś czy to podróżni, czy to posłańce? nie można było zrazu odgadnąć. Najprzód powoli przybyła baba, bardzo zdrożona i bardzo wychudła, niosąc pod pachą kurę; zbliżywszy się do Kowalskiego, który stał gniewny na dworze, pocałowała go w rękę, oddając mu kurę; po niej nadzwyczaj tłumnie zbliżali się również do niego jacyś bardzo już starzy wieśniacy. Wśród tłumu najrozmaitsze dały się widzieć ubrania, twarze: jedni tak wyglądali dwuznacznie, że najbieglejszy uczony nie mógłby poznać czy to mężczyzna, czy baba? drudzy

z pozoru mieli twarz dzieci dorosłych, lecz nieśli takie na sobie worki z ciężarem jak starzy. Było w tym tłumie dwóch nawet dziadów z lirami, lecz trzymających jak inni jakieś posyłki. Każda z kolei osoba przystępowała do Kowalskiego, a dając mu w rękę to gąskę, to prosię maleńkie, to znowu indyka lub kaczkę, po kilka razy całowała go w rękę. Kowalski będąc wzruszony i rozgniewany dawniejszą bitwą, zrazu brał w rękę wszystkie towary, ale tak machinalnie, że nie miał czasu nawet się na nie przypatrzeć; ale gdy jakiś kogut, a potem podana mu gąska bardzo zwałały mu rękę, rzucił się na bok i zaczął w największej złości poruszać ręką! — Czego wy chcecie, krzyknął do tłumu, idźcie won, precz ztąd! — W tej wielkiej złości patrząc na ludzi, trzymał swą rękę w powietrzu, bojąc się bardzo, by nią nie zwałać ubrania. Wtem baba jakaś, z boku stojąca, a zapatrzona gdzieindziej, nie dosłyszawszy jego wyrazów, uradowana widokiem, że ręka wolna i że ją można całować, przymknęła prędko do Kowalskiego i uchwyciwszy za rękę, tak przycisnęła ją mocno do ust swych, że cały brud z niej na wierzchu ust jej pozostał. Stojąc przy sobie, patrzyli się wzajem: Kowalski patrzył na babę, a baba czule chociaż zwalana na Kowalskiego patrzała, gubiąc się w różnych domysłach, jaka to była maść w rękę? Tłum coraz wzrastał: do osób dawniej przybyłych coraz się inni łączyli, jacyś dzwonarze pyłem okryci, jacyś żebracy, lecz ci ostatni do tych się tylko liczyli żebraków, którzy się cerkwi bardzo troskliwie trzymają i tylko przy cerkwiach siedzą.

Ksiądz Maksym widząc przez okno nagromadzony tłum ludzi, skończył rachunek, schował pieniądze i także wyszedł. — Czego wy chcecie? zapytał bliżej stojących. — Ja mam kielbasę, rzekła mu baba, dając mu w rękę kielbasę. — Na cóż to? ksiądz się zapytał. — Ja nie wiem na co, odrzekła baba. — Któż to przysyła? — A nie wiem, księżę, mówiła

baba. — Któż ci to oddał? — Baba zaczęła wtedy tłumaczyć, że ona dzisiaj trzy i pół mili drogi zrobiła, że biegła pędem aż jej dech stanął; że w jej parafii o cztery a może więcej mili jest diak żonaty, że żona diaka przysłała po nocy z kielbasą i jej kazała tu przynieść. Nim to skończyła, jakiś dziad z lirą pchając się w tłumie, doszedł do księdza Maksyma, dając mu w rękę pirogi. — A to co? ksiądz się zapytał. — To są pirogi, proszę księżunia, rzekł dziadek. — Od kogóż przecie? — Dziad opowiadał, że jest zdaleka, że u nich ksiądz jest który ma córkę i że ta córka przybiegła we środę w wieczór do dziada, dała pirogi, kazawszy mu prędzej lecieć po drodze, by nie wystygły pirogi. Jeszcze dziad nie dokończył opowiadania, a już przystępywali do księdza coraz to inne postacie w jakichś turbanach, w jakichś zawojach na głowie, jedne w pół nago, boso, z skaleczonymi nogami; inne tak miały ręce zapuchłe z pracy, że się wydały jak bęben nadęty; a jeszcze inne z poszarpanemi na pół rękami, które im jakaś maszyna w polu odcięła! Każda osoba kładła do ręki księdza Maksyma to jaja, to jakieś owoce, nie licząc kur, kaczek, małych indyków, nawet zajęcy.

Wszyscy ci jednak posłańce w jednym się tylko zgadzali: że albo już zapomnieli kto przysłał, albo tak pogmatwali opowiadania, że najbieglejszy sędzia śledczy spraw karnych mógłby pomyśleć, że te przedmioty były wysłane: od palamarza jakiegoś, od żony diaka, od przyjaciela czy kumadzwonarza z cerkwi, od córki kucharza jakiegoś księdza i tym podobnie. Możeby pewnie dla biegu sprawy niejeden adiunkt sądowy spisywał zaraz zeznanie o tem; gdyby nie baczny rozum księdza Maksyma, gdyby nie był obecny sam główny paroch, który przyjmując to wszystko, rzekł do przytomnych: — wiecie co to oznacza? według zwyczaju wschodnich obrzędów, te wszystkie osoby, ci wszyscy księża, którzy mają

przyjechać do nas w gościnę, wysłali naprzód jedzenie, aby uprzedzić, że sami wkrótce zjadą się tutaj. — To powiedziawszy, kazał poznosić wszystkie posyłki do jednej izby, zawołał diaka i palamarza swojego, dając im nowe zlecenie: — idźcie czempředej, zbierajcie po wsiach stoły i krzesła jakie są tylko, będziemy mieli taki tłum gości, żeby nie brakło nam stołów!

Nigdy nie było od kiedy może świat stoi, takiego ruchu w domu plebańskim jak teraz: każdy najmniejszy jego zakątek zadrżał od pracy. Seminarzyści z czwartego kursu wpadłszy przez drzwi z powojem aż do ogródka, wnet się rozbiegli na wszystkie strony, powyłazili na drzewa i połamali gałęzie, trzęśli owoce z drzew ogrodowych, zielone gruszki, jabłka i śliwki, jedząc je razem z pestkami; drudzy skoczywszy w grzędy, zjadali rzodkiew, większe i mniejsze ogórki, a gdy nie stało, to wyrwali nawet maleńkie, które przy sobie miały kwiat jeszcze; inni ścinali same wierzchołki sałaty, pakując je w usta; a byli tacy, co oskubawszy łopuch z zielonej zawsze łupiny, jedli ze smakiem. Skończywszy pracę, która się dla nich bardzo korzystną wydała, zaczęli szukać w ogrodzie gniazd ptasich i w jednej chwili po wszystkich rozbiegli się krzakach, tratując wszystko.

Tekla chcąc się dowiedzieć, co goście robią, wszedłszy do swego ulubionego ogródka, zastała takie zniszczenie, że załamawszy ręce, rzekła im głosem na wpół płaczącym: — wołałabym stokroć, byście panowie mi własne ręce poodrywali! — Seminarzyści słysząc głos jej, chcieli się ukryć: niektórzy padłszy na ziemię, legli pod krzakiem; inni z przechylonemi na dół głowami, po cichu, raczkami pełzając do drzwi z powojem, skryli się w sieni, a zobaczywszy drabinę, poleźli aż na poddasze. Tekla najboleśniejsem zdjęta cierpieniem, przypominała sobie powoli pierwsze swe jeszcze wejście do tego ogródka, pierwsze wrażenie kwiatów, zieleni i pierwszy powiew najła-

skawszego powietrza, który uczuła tak żywo! Gdzież się to wszystko podziało? jak innym zdawał się dla niej chłopczyk na drzewie, który małym bocianem był dla niej! Jak inną była mowa zieleni w ten czas wieczorny, cichy, łagodny, pełen uroku i szczęścia! Dla czego w życiu jedne są chwile tak upojone wdziękami, że patrząc na nie, samo się oko zachwyci i rozwesela najcudowniejszym obrazem, a inne chwile w tem samem miejscu boleść przynoszą? Nie mogła ona długo się patrzeć na drzewa, grządki i zieleń; dotknąwszy się dłonią do swej sukienki, nieco zgarnęła do dłoni, potem podniósłszy na kilka cali do góry w tem przekonaniu, że ma przechodzić przez jakieś błoto albo kałużę, poszła ze smutkiem do domu.

Idąc przez sień domową, zauważyła, że jakiś rozgłos wielkiego stuku nagle się w górze rozszedł; cóżby to było? ale po czasie kilka zarazem głosów dało się słyszeć z poddasza: — oto są wróble jeszcze bez pierza, a to są większe... łapcie gołębia! — Seminarzyści z czwartego kursu z Przemyśla wlaższy do sieni, ruszyli tłumem aż na poddasze i tam łapali to wróble w gniazdach, to znowu zabląkanego trafem gołębia. Tekla czując się nieco znużoną, szukała ciszy, ustroina, a gdzie się tylko znalazł zakątek osamotniony, tam przebywała z ochotą, nie biorąc żadnego odtąd udziału w ruchach domowych. Gdy nadchodziła pora obiadu, który się zresztą odbył naprędce w tym rozgaryjaszu domowym, nawet na obiad nie przyszła.

Księżdzowa cały dzień prawie do późnej nocy była zajęta przy kuchni; ksiądz Maksym miał swoje mężkie kłopoty. Po słowie z Przemyśla: Kowalski i Nejda nie chcąc obudzać w umyśle księdza Maksyma podejrzeń, że się zanadto o jego córkę dobijają, owszem chcąc być droższymi dla niego, postanowili zachować się trochę w obojętności; chodzili pewien czas po wsi, opatrywali trzy karczmy, gawędząc albo z żydami lub

z żydówkami. Dzień się już kończył, a kiedy wieczór zaczął się trochę weselić, że przyszła kolej na niego zchodzić na ziemię, wówczas diak i palamarz z dziewięciu ludźmi wiejskimi znosili zewsząd stoły i krzesła zapożyczone od wielu ludzi, nawet od żydów. Diak i palamarz miarkując jednak, że stołów będzie za mało, wpadli na pomysł z własnego jeszcze natchnienia: zabrali w chatach łóżka wieśniacze, potem z trzech karczem wzięli też łóżka żydowskie, a obliczywszy starannie, że przewrócone łóżka, w górze przykryte deskami, mogą za stoły posłużyć, znieśli je także i postavili pod cerkwią. Diak i palamarz byli w mniemaniu, że ich robota skończona i już się cieszyli zawczasu, lecz dla pewności jako osoby i polityczne i bardzo przezorne, zliczając stoły a potem łóżka, z których się stoły miały dopiero jutro urządzić, z wielkiem zdziwieniem spostrzegli, że jeszcze będzie za mało. Znowu więc na wieś ruszyli zakłopotani, co zrobić? Palamarz, człowiek bardzo rozsądny i bardzo praktyczny, mówił do diaka: — wiem, co uczynię! a przewyborny stanął koło mnie pomysł w tej chwili! chodźmy czempredziej po chłopach i prośmy, by pożyczili nam jeszcze koryta... wbijemy w ziemię tak jakby słupy, a na nich jakby na nogach stołowych złożymy deski: to będą stoły mocne, prawdziwe, lepsze od tamtych. — I tak zrobili.

VII.

Nazajutrz ranek był śliczny, dzień jeszcze będąc w pieluchach, w jasnem się rozkołysał powietrzu, nucąc półgłosem jak gdyby ludzkie najcudowniejsze niemowlę, ton urywany co chwila niezrozumiałej, cichej piosenki. Ranek patrząc się na to, to bladł, to się płonił z rozkoszy, aż póki się nie złał, nie złączył tak ściśle z dzionkiem, że go nie można było odszukać

w powietrzu. Dzionek był tak niewinny przy tem złączeniu, był taki cichy, spokojny, jak wewnątrz ziemi, niedoścignione nawet dla oka. Ludzie, którzy się jeszcze pełni sił, zdrowia i życia na zewnątrz ziemi ruszali, rozpoczynali pielgrzymki do swoich losów i swojej doli; różne w ich myślach chodziły sprawy: jedni to, drudzy owo radzili, a wszystkie najstaranniejsze zabiegi były przeważnie tylko doczesne.

Okólnik konsystoryjatu z Przemyśla posłany do wszystkich księży wschodnich obrzędów, by się zjeżdżali na uroczystość w Złotówce, sprawił po całej ziemi przemyskiej najrozmaitsze wrażenia. Przeczytywano go kilka kroć razy, najdziwniejsze wydając sądy: jedni mówili, że to jest jakiś zapewne „list gończy“; drudzy, że to wygląda jakby „podanie do sądu“; inni, że to „wezwanie“, lecz należało to wydrukować w jakiejś gazecie, ale wszyscy się księża na jedno godzili, że ta odezwa konsystoryjalna jest w pewnej mierze rozkazem i że należy się stawić na oznaczony czas i miejsce.

To, co ksiądz Maksym, wiedziony duchem proroctwa, czy może jasnovidzenia, dawniej przewidywał, teraz się całkiem sprawdziło. Przed wyjazdem, każdy ksiądz pleban lub jego żona, według zwyczajów wschodnich obrzędów, powyprawiali z swych domów posłów z kurami, gęśmi i tym podobnie, jakby zwiastunów od gości; ale ponieważ posyłki były nagotowane w pośpiechu, a trudno było dostać posłańców na razie, więc aż przez drugie lub trzecie osoby za naleganiem to diaka jakiegoś, to kogoś innego, wyprawionemi zostały. Ztąd wszyscy posłańcy wiedzieli, gdzie zanieść, lecz nie wiedzieli lub zapomnieli od kogo.

Czas jednak idąc dla jednych powoli, dla drugich znowu pośpiesznie, zbliżył dla wszystkich dzień zgromadzenia na uroczystość kapłańską. Goście jedni po drugich zjeżdżali się całym taborem, całą drużyną do domu księdza Maksyma. Mnó-

stwo kapłanów wschodnich obrzędów z żonami, dziećmi, z przyjaciółmi, z przyjacielkami, jak wędrujące gwiazdy po niebie, wysiadali z bryczek i wozów przed parafijalnym domem Złotówki. Po przywitaniach z księdzem, z księdzową i z panną Teklą, po różnych stosownych ukłonach z innymi gośćmi, których już w domu zastali, każdy gość gospodarski: ksiądz lub księdzowa już osobiście wręczał do rąk żonie księdza Maksyma same wykwintne niewieściej sztuki podarki: to ciastka z makiem, to makagigi, cukry, babki pieczone, lub obwarzanki na jajach i tym podobne.

Po całym domu plebańskim snuły się tłumy znajomych i nieznanym postaci, bo bryczki księży jadących nawet po drodze brały do siebie coraz to innych, to krewnych, to nieco znanych, to nawet ledwie z widzenia znajomych. Ztąd wielu dopiero wszedłszy do domu księdza Maksyma, ciekawie pytało: — cóż tutaj będzie? czy to ślub jaki czy może pogrzeb? — Jedni twierdzili, że to ksiądz Maksym sprosił na karty; drudzy baczniejsi robili uwagę, że tu zapewne jarmarki staną; a byli tacy, co upewniali, że albo tutaj będą wybory lub instalacja jakiegoś księdza nowego. Prócz księży prawie jednako ubranych, snuły się jeszcze w najrozmaitszych strojach to panny młodsze, to panny stare, a nawet panienczki z mamkami. Panny stały osobno, księża osobno się zwykle trzymali, księżowe także osobno, w ostatnim gronie wpadała w oczy jakaś niemłoda, ślepa księdzowa, do której nikt nie podchodził.

Przyjazd tych gości poruszył sprawę przyjęcia i częstowania posiłkiem. Diak i palamarz z dziewięciu ludźmi biegli pod cerkiew, aby zniesione uprzednio krzesła i stoły dobrze rozstawić na ziemi, a potem jeszcze z łóżek i koryt porobić nowe stoliki. Przy rozstawianiu jednak łóżek i koryt i przy zmienianiu onych na stoły, zaszły niemałe trudności. Łóżka wypożyczone od żydów były to glina bardzo zwalane, to kreda,

to znowu brudem dziecięcym; koryta, które wbijano do ziemi to wyżej, to niżej, stosownie do ich długości, także zbyt mocno zapachły; czas był nagły, trudno je było obmywać; więc za poradą palamarza, wszystkie koryta wkopano w ziemię do wysokości jednakiej, potem na wierzchu jakby na słupach kładziono deski. Z łóżek także się rychło zrobiły stoły i cała przestrzeń cerkiewna czyli tak zwany „cmentarnik“ zmienił się w izbę jadalną.

Księżdowa z Pryską i z kobietami innemi przyniosła obrusy, potem talerze, widelce, noże i w pół godziny przyrząd już był gotowy. Wszystkie te przykryte stoły wnet zastawiono jedzeniem. Na jednym same się tylko mieściły pirogi. Na drugim same mięsiwa sprawione w chłodzie: kielbasy, szynki, słonina i galarety wieprzowe. Trzeci stół mieścił same pieczywa gorące: wołowe, skopcowe, cielęcie, gęsie, indyki, kaczkę, kury i t. d. Czwarty stół nosił na sobie różne owoce, a wszystkie stoły były prócz tego zasiane wódką, piwem i winem. Prócz tego stały tam jeszcze próżne już stoły osobno dla księży, osobno dla niewiast zamężnych i jeszcze osobno dla panien.

Diak i palamarz bardzo przystojnie ubrani, mając z oliwy błyszczące włosy, stanęli razem do usług.

Z domu przez furtkę długim i nieprzejrzanym szeregiem szli goście, by się do uczty; na przodzie księża, potem ich żony, a potem różni. Przy jednych stołach siadali tylko mężczyźni; przy drugich same zamężne z małemi dziećmi na rękach, księżdowe karmiąc je czasem przy piersi; przy pozostałych panny i młodzież.

Obiad się zaczął od wódki, która tak długo krążyła, że możnaby było sześć już obiadów zakończyć, potem bardzo maleńka po wódce, lecz bardzo szybko biegła zakąska. Następnie ksiądz Maksym wydobył adres przysłany mu z konsystorjatu, mający około dwóch łokci długości, a przy natłoku

księży zacierających do pisma i czytających każdy z osobna swym głosem cienko lub grubo; ks. Maksym czytał prócz tego osobnym swoim, lecz dość donośnym głosem ten adres całemu światu. Była to chwila najwspanialszego tryumfu, a według mniemania księdza Maksyma, nikt ze śmiertelnych parochów nie dopiął tego. Wszakże jak zwykle pomiędzy ludźmi, nie obeszło się tu bez pewnych nieprzewidzianych wypadków. Niektórzy księża zaciekawieni, tłumem około księdza Maksyma zebrani, czytając półgłosem adres, z nachyleniem nad tym papierem głowami, spotkawszy okiem jakieś ciekawsze ustępy, tak się wzruszali, że mając ręce oblane wódką, lub zatłuszczone kielbasą, chwyтали papier, plamiąc go ciągle lub nadzierając. To wywołało okrzyki i zamieszanie tak hałaśliwe, że wiele siedzących zdala mężatek przybiegło także w tem przekonaniu, że tam jest kłótnia i trzeba bronić swych mężów. Gdy jednak to zamieszanie nie mogło się długo uciszyć, a zgiełk się pomnażał, wtedy małżonka księdza Maksyma zakłopotana, że wystygają ciągle potrawy, weszła do tłumy, schwyciła za koniec adresu i ciągnąc go górami nad głowami parochów jakby „latawca“, biegła przez ogród, chcąc zanieść do domu. Seminarzyści stojąc na stronie, spostrzegłszy w powietrzu latawca, tłumem się za nim rzucili, chwytając w górze, rwąc go i szarpiąc. Czemyby się to wszystko skończyło? nie można zgadnąć. Ksiądz Maksym truchłał, patrząc się na to, księdzowa pędząc na wszystkie strony seminarzystów, jeszcze ten adres bardziej zniszczyła, a zamieszanie coraz się większe stawało. Żal księdza Maksyma był tak doraźny i tak gwałtowny jak odgłos gromu; mniejby ksiądz Maksym żałował ziemię, gdyby się była z całym ogromem obszarów swoich w pyłek zmieniała. Ale nie było już rady! Poszedł na miejsce gdzie się kawałki tego adresu, trzęsąc w powietrzu, utrzymywały w polocie, zbicie-

rał rękami, całował, chował to do kieszeni, to w chustkę od nosa, łudząc się myślą, że je ułoży i skleci.

Goście to wszystko widzieli: jedni powodowani zazdrością, byli z wypadku uradowani, a zacierając ręce, sami bez proźby siedli za stołem, jedząc co było; drudzy baczniejsi chcąc gospodarzowi okazać współczucie, mieli twarz przestraszoną i w tym przestachu pili wódkę; inni spragnieni posiłku, jakby nic nigdzie nie zaszło, w największym jedli pośpiechu.

Tekla przy stole panińskim bawiła panny. Księżdowa bojąc się być razem z mężem w ogrodzie, wróciła do stołów, gdzie były same mężatki i w zamieszaniu suwała na wszystkie strony półmiski lub narzucała w talerze tyle mięsiwa, że same nawet talerze nie mogąc zmieścić, zrzucały mięso na stół z obrusem. — Proszę wziąć z tego półmiska lub z tego, lub z tego w środku, lub z tego z boku, lub z tego co stoi w rogu, mówiła do nich; kto lubi wątróbki? kto żołądeczki? komu dać nóżki, a komu krzyże z kuperkiem? — Nejda z Kowalskim w nieobecności księdza Maksyma bawili wszystkich parochów.

Zwykle się dzieje, że właśnie podczas obiadu niespodziewani, a często nawet najozdobniejsi zjeżdżają się goście. Tym razem pod gankiem domu wstrzymał się właśnie piękny powozik, z którego z okazałością znaczniejszych ludzi zchodziło dwóch panów. Ksiądz Maksym krążąc swojemi nawet zapłakanemi stopami około miejsca, na którem adres zmienił się w nicość, spostrzegł powozik i pobiegł, z nóg otrząsając łyzy swoje, by witać gości. Jakże był on zdziwiony, gdy dobiegając do sieni, spotkał osobę, dla której największą cześć mieć powinien. Był to pierwszy kanonik konsystoryjatu z Przemyśla, referent, władca, słowem najwyższa może w przemyskiej cerkwi osoba! Kanonik ten najgorliwiej popierał sprawę księdza Maksyma na posiedzeniu konsystoryjalnem i obaj znali się dawno. Ksiądz Maksym pomimo smutków twarz rozweselił,

ukłękł przed kanonikiem, całował w kolano, a potem wstawszy, młodemu panu, który wraz z kanonikiem przyjechał, nisko się skłonił. — No, cóż kochany, spytał kanonik, obiad na stole? dużo masz gości? prowadź nas teraz do stołu. — Ksiądz Maksym w wielkiem i uroczystem milczeniu, nie ważył się nawet, mając w swym domu takiego gościa, mówić do kanonika; wskazawszy tylko ruchem rąk swoich po kilka razy miejsce przechodu, siedł razem z nim na cmentarz cerkiewny, to jest tam, gdzie się obiad odbywał. Kanonik wszedłszy w zagrodę, przechodząc około stołu przeznaczonego dla panien, zbliżył się najprzód do Tekli: — a! jak się miewasz moja rybeczko? — rzekł do niej, potem ją pocałował w bieluchne, gładkie i równe czoło, a czując na niem niewysłowiony, lecz tak ponętny i świeży zapach samej dziewiczej natury, zapach wrodzony każdej dziewczynie, znowu całował. Tekla schyliwszy główkę, pocałowała go w ramię. Kanonik widząc jej główkę, dotykającą piersi su-tanny, całował znowu w szyjkę schylonej głowy; ale dotknąwszy ustami tych miejsc uroczych około szyjki dziewczęcej, gdzie obok ciepła śnieżnej skóreczki, kwitną wokoło maleńkie włoski, wijąc się żartem na różne strony, znowu całował w to samo miejsce raz drugi i trzeci. Po tych pieszczotach ocknął się trochę, pomimo woli w głos powiedziawszy: — dosyć już, dosyć, bo widzą ludzie! — Potem przedstawił Tekli młodego pana, mówiąc dwa razy: — to jest mój krewny, pan Grzegorz!

Kanonik skończywszy z Teklą, patrzył się dalej, rzucił swym okiem po różnych stołach, mówiąc do wszystkich: — witajcie księża wschodnich obrzędów! — Nim jeszcze wyrzekł te słowa, nim spojrzał, już wszyscy księża, jakby na hasło, z miejsc się zerwali, nie tylko księża lecz i księdzowe, a nawet panny księdzówne; a w tejże chwili wszyscy obecni po pas schyliwszy głowy, z niewysłowioną uroczystością odpowie-

dzieli: — ruś i rusini! — To wymówienie wyrazów było tak piękne, tak uroczyste i tyle miało nadziemskich wdzięków, że wszystkie serca jakby się rozpływały w rozkoszach wrażeń. Zdało się, że przy tych wyrazach nawet otaczające martwe przedmioty uczuły również wraz z ludźmi, tak obudzone wyższe istnienie, że się zatrzęsły; a wszystkie stoły, stoliki czy to prawdziwe, czy sporządzone ludzkim geniuszem z łóżek i koryt, przy wymówionych tych dwóch wyrazach, zda się, pragnęły powstać do góry zarazem z ludźmi.

Ksiądz Maksym prosił następnie kanonika i pana Grzegorza do stołu. Wówczas właściwie zaczął się obiad. Kury, indyki, kaczki, pieczenie znikwały ze stołów tak szybko, jak pływające okręty w otchłani morza. Po każdej niemal potrawie wódka, miód, piwo i wino wnet polewały w żołądkach ludzi, pokłady jedzeń. Gwar był ogromny: każdy ksiądz coś opowiadał sąsiadom swoim; księdzowe jedząc przy stole różne potrawy, karmiły razem piersiami swe niemowlęta, mówiąc coś do nich gdy zawrzeszczały; panny, przy których siedli wszyscy seminarzyści, bardzo się tylko cicho trzymały, sztywnie i prosto patrząc na siebie i mało jedząc. Diak i palamarz bardzo przystojnie ubrani, z włosami namaszczone oliwą, ciągle się tylko na kanonika patrzyli, czekając czy nie zażąda usługi.

Kanonik po pierwszym daniu ujął z pośpiechem kielich do ręki, spojrzał wokoło i rzekł donośnie: — za zdrowie wielkiej ojczyzny, która na wschodzie nas czeka! — Księża powstawszy, upadli wnet na kolana; na stołach, które się nagle ogołocone z ludzi odkryły, leżały mięsa, kielbasy, kury i gęsi porozcinane i rozszarpane... przy brzegach stołów na dnie białego obrusa długim szeregiem same się tylko głowy parochów i nieco szyi, jakby wyrosłe z białych obrusów pokazywały. Koniec szyj ludzkich aż do nóg były zakryte stołami z powodu samej postawy klęczących. Kanonik spojrzał, zachmurzył

czoło i znowu mówił: — to nie jest godne i należyte uczczenie... urra! nam krzyknąć wypada — i krzyk się rozszedł w najcudowniejszym, prawie niebieskim rozgłosie! Potem stanęła cisza; wszyscy czekali w tem przekonaniu, że same echa idąc w krainę, gdzie słońce wschodzi, zanoszą rozgłos wiwatu i zabrzmią w uszach albo zadzwonią w tej samej sile i mocy dla wszystkich ludzi! — A teraz, bracia, mówił kanonik, wychylmy czarę już *na pohybel Mazurów!* niech zginą marnie winni, niewinni, byle zginęli! — Potem z kolei pan Grzegorz jeszcze od siebie tworzył wiwaty podobnej treści, nawet silniejsze, a wino, wódka i piwo wchodziły w usta jak na obłoki idą z rzek, oceanów wodniste strugi, przypominając epokę stworzenia świata... epokę, gdy na tem miejscu, na tej przestrzeni, gdzie była uczta duchowna, wiły się tylko silnie wzburzone fale, albo bałwany wód morskich, a ziemi jeszcze nie było!

Kanonik całą uroczystością w Złotówce był zachwycony, był jakby w raju, to siadał, to znowu wstawał, a układając w myśli wychylić toast ostatni za zdrowie wielkiego władcy i potężnego mocarza, przy ruchach zdawał się ciągle coś wahać! — Coś tu takiego, w końcu nadmienił, w nos mię uderza... — i nie skończywszy wyrazów, oglądał buty i ziemię, a potem znowu podjąwszy obrus od stołu, patrzył pod stołem... Patrzył i patrzył i ze wzruszeniem najwyższych natchnień: — cóż to, zapytał, pod stołem stoją koryta? w jakimże miejscu my odbywamy tak wielką ucztę?...

Ksiądz Maksym widząc wzruszenie, podbiegł, schwycił za obrus, spuścił go na dół i zagadując sprawami, jakie mógł tylko wymyśleć najciekawszemi, tak kanonika obalamucił, że ten już nie powtórzył pytania.

Gdy się już obiad powolną, przeładowaną swoją figurą sunąc do końca, w znużeniu wstrzymał się i zaczął w siłach

ustawać, a ludzie tak się objedli, że się im nawet nie chciało mówić; wtedy kanonik siedząc przy księdzu Maksymie i nadto piastując myśl ważną, jeszcze powiedział: — no księżu! pomóż-no teraz memu krewnemu, by został prędzej kapłanem! Zdaje się... mam władzę?... mam może trochę znaczenia... i w cerkwi i nawet u ludzi? a jednak nie znajdę rady. Pan Grzegorz, którego widzisz, pięknie ukończył nauki, jest moim krewnym, dość nawet blizkim... Kocham go, lubię, bo prócz urody młodzieńczej, którą sam księżu Maksymie ocenić możesz, patrząc na niego... ma wielki rozum! Otóż ja dzisiaj będąc w twym domu, chcę zostać swatem... ty masz tu córkę, a ja chcę dla niej zostawić męża. Gdy się pan Grzegorz ożeni z Teklą, ja sam go na księdza wyświęcę i dam probostwo pewnie niechude. Wiem o tem, że młodzi... Grzegorz i Tekla nie znają się z sobą... ale wiem także sam z doświadczenia, że młodym nie trzeba na to długiego czasu: jedno spojrzenie, jedno westchnienie i dosyć! Co tam odwlekać? co tam odkładać z jutra na jutro, z tego miesiące a potem lata powstają! Los ludzki bywa najczęściej z kamienia, nic go nie skruszy, nic nie odmieni; jeżeli młodzi przylgną do siebie, jeśli ich łączy upodobanie, to rzecz skończona! Spytaj się Tekli, idź ją zawołaj tu do mnie, jeżeli powie, że się pan Grzegorz podo- bał, to mojem zdaniem, zrobi się koniec.

Ksiądz Maksym powstał od stołu, nisko się skłonił, po pas nachyliwszy swą głowę i mówił kanonikowi: — każde słowo przewielebnego pasterza jest dla mnie świętem, ostatnie jednak Jego słowa są i rozkazem i razem skutecznieniem; — to powiedziawszy ksiądz Maksym, cmoknął go w rękę, poszedł od stołu, szukając okiem swoją księdzowę.

Pan Grzegorz był bardzo pięknym młodzieńcem, twarz jego biała i czerstwa okryta wąsikiem i młodą, czystą wokoło brodą na obraz wschodnich kapłanów, dla których pan Grzegorz

miał nadzwyczajne przylgnięcie z przekonań i myśli, czyniła wyraz uderzającym. Cała powierzchnia jego postawy mogła natychmiast albo zatrzymać na własność sobie oczy i serce każdej kobiety, albo je wstrząsnąć, że z nichby opadł zarumieniony owoc skłonności! Czysty wzrok pana Grzegorza, wypukłe oko, zadarty nosek i wszystkie zmysły mężczyzny były tak silne i pałające, jakby czekały tylko przybycia zmysłów niewieścich, aby się z nimi pobrać i złączyć. Pan Grzegorz miał głos i dźwięczny i czysty, mówił dość prędko, a zawsze bardzo praktycznie; chociaż był młodym, miał jednak dużo różnych ze wschodem stosunków, a przez to czekała go przyszłość najkorzystniejsza może na świecie. Wiedział on o tem i z tego względu miał wielką pewność swojego losu, swojego życia: był wesół i bardzo swobodny. Młodość dawała mu dużo nadziei, nie przewidywał, że są na świecie tak trudne i niemożliwe przejścia, że inni ludzie na nich stanawszy, grzęzną i płaczą, że na nich nikną jak ścierń na polu, nie mając za to pożałowania; owszem pan Grzegorz mniemał, że nie ma żadnej na całym świecie drożyny, któraby mogła go wstrzymać i z tego względu czuł się szczęśliwym i pewnym siebie. Z całym spokojem czekał więc końca swej sprawy.

Ksiądz Maksym po dłuższej z księdzową rozmowie i po naradach, o których jednak nikt z gości, ani pan Nejda ani Kowalski nie wiedział; poszli po Teklę, wzięli ją z sobą, przywiodłszy do kanonika, rzekli oboje: — oto jest ona.

Gdy się zbliżyli, kanonik wziął Teklę za rękę, objął dłoń jej dość ciasno, by mu się wymknąć nie mogła, mówiąc: — słuchaj dziewczyno! wiedz o tem, moja kochana, że cię znam dawno, gdy byłaś jeszcze małą... rodzice twoi byli podówczas w ubóstwie, w troskach... nic wam nie mogłem wtedy uczynić, bo byłem sam bez znaczenia! Teraz wszedłszy na stanowisko jak dla mnie bardzo dostojne, dzięki porywom serca

mojego do wschodnich krajów... do wielkiej wschodniej ojczyzny... która chociaż z ubocza wiele nam dzisiaj pomaga i nas, rzec mogę, karmi, okrywa, do tego stopnia, że jak w kolebce najdroższe dzieci kołysze, chwije, zmienia pieluchy, nowe podściela, suszy, zgartuje nasze potrzeby... szepcząc nam przytem na ucho, z cicha najulubieńsze piosenki!! Wszedłszy więc, mówię, teraz na stanowisko znaczenia i mocy; wpływami swemi to uczynilem w konsystoryjacie przemysłskim, że dziś twój ojciec otrzymał jedną z najkorzystniejszych parochij... Gdy jednak do was już szczęście nawet z orszakiem przybyło, toć trzeba dalej razem z niem dążyć! Jesteś już w latkach, w których myśl męża może się łatwo nasunąć... nie chciej zbyt wiele czasu marnować na znajomości z młodzieżą, bo to jest na nic! owszém bywa dla panien szkodliwe!... ty mię nie znałaś uprzednio... dziś znasz mię i nie uczuwasz zawodu?... tak będzie i z mężem dla ciebie! mało go znałaś, krótko widziałaś, ale z nim długo pożyczysz. Zdaj się więc na mnie, ja ci go wskażę... ja twoim swatem, czy dobrze?

Ksiądz, księżdżowa i Tekla słuchając mowy, w wielkiem się czuli wzruszeniu. Księżdżowa podniosła rękę, wzięła swą córkę to za policzki, to znowu biorąc pod bródkę, jakby pragnęła albo nakłonić córkę do szczerej rozmowy, lub ją ośmielić do wynurzenia kanonikowi woli i chęci; ale tak słodko głaskała ręką jej, twarz i szyjkę, że samo nawet dotknięcie było wymowne. Ksiądz Maksym patrząc na córkę, przemawiał spojrzeniem ojca, łzami na oczach. Była to mowa ukryta, bez głosu, tylko oczami i sercem; lecz w całej jego postaci było tak silnie narysowane błaganie, że Tekla patrząc na ojca, wszystko przeczuła, w tej samej chwili wzrok swój przeniosła na kanonika, mówiąc mu: — dobrze!

Kanonik uradowany tem słowem, pogłaskał najprzód własną swą dumę, potem spojrzawszy na Tekle, rzekł jej stanow-

czo: — Pan Grzegorz chce być twym mężem... przez moje usta prosi o twą rękę.

Tekla trzymając ciągle schyloną głowę, podniosła ją trochę; potem z szybkością powiewu wiatru spojrzała w oczy pana Grzegorza, patrząc nań długo i długo w tem naturalnem usposobieniu, które nie czując winy ani obawy, ma pewien wdzięk czysty i skromny. Tekla pierwszy raz w życiu znalazła w sercu niewysłowione uczucie upodobania w pięknym mężczyźnie, który jej może zostać własnością! Patrząc nań Tekla, tak swoim okiem silnie go zewsząd objęła, jak to powietrze, co obejmując do siebie krąg ziemi, w słodkim i życiodajnem ściska dotknięciu każdą część jego.

Kanonik, człek doświadczony, przeczuł to, mówiąc do siebie po cichu: — młodość ma swoje prawa! — A potem powstał z szybkością, wziął Teklę za rękę, zgiął je we dwoje, sam stanął z tyłu, Teklę cokolwiek naprzód potracił i rzekł donośnie: — mój drogi krewny... panie Grzegorzu... rzecz już skończona: „*no pocałujcieś!*“ całuj swą narzeczoną... ja ci potrzymam! — Ksiądz Maksym w uśmiechach nieco, trzymając za plecy pana Grzegorza, popychał do Tekli; kanonik ująwszy Teklę za rękę, potracał jej kibić do pocałunku z Grzegorzem... a czy był całus ze strony panny? nie można twierdzić na pewno; pan Grzegorz jednak jak wulkan całował Teklę wobec zebranych i zdziwionych tem gości.

Kanonik potem puścił już Teklę, ksiądz Maksym puścił pana Grzegorza i w tejże chwili wszyscy krzyknęli: — są zaręczeni!

Wstyd, który się zwykle z wielką uwagą i bardzo czujnie trzymał na oku Tekli, zmienił się w ogień, przybrał płomienie, rzucił się najprzód na czoło, policzki, chciał nawet garnać jej usta w największy ogień! Tekla w przestachu myśląc, że cała spłonie, chcąc ogień zgasić, schwyciła chustkę, zakryła

nią głowę i w tej zasłonie biegła pędem młodziutkiej łani do domu schować się w izbie.

Kanonik powstał, po raz ostatni ujął kieliszek: — niech żyje, krzyknął, ta młoda para już zaręczona! — Ten głos obudził nowe okrzyki, a tłum powtarzał toast tak głośno, że na cerkiewnem obok poddaszu siedzące ptaki zatrzepotały skrzydłami i poleciały do góry. Nejda z Kowalskim nie przewidując tego następstwa, w wielkiem milczeniu patrzyli się na siebie; lecz mając pewne poszanowanie dla kanonika, który tę sprawę zawiązał, żadnej nie mieli śmiałości okazać niechęć albo przeszkodę.

W tym samym czasie była w Złotówce na innem miejscu pod wielką karczmą, wielka ale osobna uczta dla włościan; rej tam wodzili ci sami chłopci, którzy uprzednio w czasie przyjazdu księdza Maksyma byli zebrani pod płotem i wtedy już zażądali od niego wódki dla ludzi. Niewielka była ich liczba, lecz wiele pili w stanie uroczystego milczenia. Przy samych stołach też rozstawionych pod karczmą, chodzili żydzi ci sami właśnie, których ksiądz Maksym poznał na dziedzińcu hrabiego, a obok żydów szwędał się ciągle kogut z kurami; był on tym samym właśnie, co miał siedzibę w temże domostwie, w którym i Pryśka dawniej mieszkała. O tym kogucie było już pierwej: ten ptak był znany powszechnie, wiedział gdzie okruszyny spadają, więc i tam przybył na ucztę.

Wszakże ciekawsze działy się sprawy w samej plebanii. Goście już nasyceni obiadem, zaczynali się nieco rozchodzić, szukając spoczynku po różnych wiejskich domostwach, to po stodółach, to znowu na toku, myśląc zarazem i o nodlegu. Przed cerkwią został się tylko kanonik, ksiądz Maksym i jego żona; chodząc wokoło, rozmyśliali o ślubie i o wyprawie. Po różnych długich naradach, kanonik mówił: — nic nie potrzeba odwlekać! ja sam napiszę, prosząc biskupa o indult;

jejmość natychmiast jedź do Przemyśla i kup naprędce co potrzebniejsze dla panny, a ja zostanę do chwili ślubu i młodych stulą związę. — Ostatnia wola i rada były w całości przyjęte. Kanonik wyprawił zaraz list do biskupa. Księdzowa poszła do izby, wzięła na miarę suknię swej córki, trzewik, pończochy, a potem miarę na czepek ślubny i temiż końmi, tymże powozem, w którym kanonik przyjechał, wnet się udała do poblizkiego Przemyśla.

Kanonik poszedł zadrzémac; za jego przykładem inni to samo zrobili, przespawszy wieczór a potem noc całą na tychże miejscach, bez przebudzenia, pamięci, nie wiedząc nawet, gdzie i u kogo zasnęli.

VIII.

Nazajutrz bardzo raniutko ksiądz Maksym spotkawszy Teklę, powiedział: — przypominam sobie... że mam po zmarłym księdzu pasiekę... tam się zapewne miód już uzbierał?... idź Teklo, zobacz co tam się dzieje? a jeśli miód będzie, to każ przy sobie uzbierać, bo nam miód bardzo potrzebny! idź, a ja po czasie przyślę po ciebie wóz z końmi.

Tekla wzięwszy koszyczek w rękę, wyszła z plebanii, nie wiedząc nawet gdzie jest pasieka. Zrazu chciała iść w prawo, a potem znowu na lewo, bo nawet Pryśki nie było w domu i u nikogo nie można się było dowiedzieć, gdzie jest pasieka. Za płotem siedział dziad z lirą, bardzo jak widać zmęczony; całą noc nie spał w oczekiwaniu, że albo może coś ciekawego zobaczy w nocy, albo go zawołają zagrać do tańca, lub w końcu każą mu śpiewać. Tekla spostrzegłszy dziada: — gdzie jest pasieka? — spytała. Dziad odpowiedział, że nie wie, bo nie jest tutejszy.

Tekla trzymając w ręku koszyczek, szła dalej; idąc, po drodze mówiła sobie z uśmiechem: — zamrużę oczy i pójde gdzie nogi zechcą... — i tak zrobiła.

W drodze spotkała kilka drożynek i ścieżek mniejszych i większych, po nich miejscami porosła trawa, lecz z ludzi nikt wówczas nie szedł. Tekla wzięwszy koszyczek do innej ręki, mówiła sobie: — jestem w tej chwili żebraczką ślepą, mam koszyk z sobą, a jeśli ludzie dadzą mi kawałek chleba, to podziękuję i schowam. — Idąc z zamrużonemi oczyma coraz to dalej, już się cieszyła, że ktoś ją weźmie za ślepą, rzuci jej chleba, dając jej różne nauki, nagany lub pocieszenia, tak jak się dzieje na świecie. Myśli snując się w głowie jedne po drugich, tak ją bawiły, że idąc zwolna, czekała tylko niespodziewanej przygody. W tem ożywieniu swej wyobraźni już się jej zdało, że ktoś zawołał a obudzony litością, dawał jałmużnę; to znowu chciał leczyć oczy, radząc lekarstwo; ale po pewnym czasie, gdy się nic w drodze nadzwyczajnego nie stało, przez zapomnienie otworła oczy i obejrzała się wkoło. Ranek na niebie posunął słońce już trochę dalej jak na odległość z cerkwi do domu plebanii; niebo się zdało z tej i z tej strony tak zasypane liśćmi z bławatków, że Tekla patrząc się w górę, sama się siebie pytała: — gdzież nabierali tyle bławatków? któż to narzucał? gdzież się podziały inne z tych oderwanych kwiatów cząsteczki, listki, łodygi? gdzie wyrzucono?

Przestrzeń, na której stała, była pokryta łanami, gdzie-niegdzie żółte wiły się pasy, gdzie-niegdzie szare, a ta równina kończyła się w dali na widokręgu wielkim i gęstym lasem. Tekla na wszystkie spojrzała strony, a wiodąc wzrok swój po ziemi, wstrzymała go nagle nad lasem. — Może tam będą, mówiła sobie, zrzucone z nieba wszystkie łodygi i liście, co się zostały z bławatków, bo las wygląda jak gdyby ogromna kupa zieleni? — i poszła w stronę do lasu.

Po pewnym czasie, gdy dochodziła już blisko, spostrzegła babę, która zbierała gałęzie suche między drzewami buków, jedliny i sosen. Uradowana, krzyknęła do niej: — babu-siu serce, czy wy nie wiecie, gdzie jest pasieka księżowska? — Baba zdziwiona, zrazu milczała, potem usiadłszy, zaczęła ruszać rękami, mówiąc do Tekli: — proszę iść tędy, a potem tędy, na prawo pójdzie strumyk maleńki, na nim most będzie, a z mostku wnet się zaczyna pasieka. — Tekla klasnęła w dłonie złożone, zaczęła śmiać się i skakać; potem schyliwszy się nieco do ziemi, zebrała kilka gałązek, podała babie dla powiększenia jej zbiorów i pożegnawszy ją, pobięła według wskazówek.

Przeszedłszy mostek, stała nad brzegiem strumyka, wzięła do dłoni kilka kroć razy wody czyściutkiej i napiła pragnienie. Za mostkiem widać już było płot z oczeretu, to jest ze trzciny przymocowanej pośrodku do długich dylów; płot by już dawny, żółty, pokryty mchem, pyłem, lecz gęsty i jeszcze równo się trzymał. Uradowana, że jest u celu podróży, Tekla udała się prosto do płotu, znalazła miejsce, nad którem stał krzyżyk drewniany, a pod nim drzwiczki i otworzywszy je, weszła.

Stojące ule miłe dla oka robią wrażenie: roje tych muszek ciągle ruchomych a pracujących z wysileniem skrzydeł i nóżek, takie głębokie ale spokojne dają uczucie, że się przenosi umysł i serce w pierwotne lata raju na ziemi. Przy jednym z końców pasieki stał nachylony nieco do ziemi, w białej koszuli dziad z brodą. Dziad był już stary, siwy zupełnie, a broda z włosów spadając na dół na pierś koszuli, tak okrywała ją gęsto, jakby dziad był w pancerzu rycerskim. Tekla zdaleka spostrzegłszy go, idąc powoli i w zamyśleniu do miejsca, na którem stanął, co chwila prawie głowę schylała, kłaniając się jemu. Dziad milczał, stojąc jak posąg biały. Tekla podchodząc

blisko, spytała go: — wy pasiecznikiem jesteście? — Tak, pani, — dziad odpowiedział. Mowa, twarz, usta, broda i bosc nogi... słowem ta cała jego postać dziadowska, dziwne lecz pełne poszanowania w niej obudziły uczucia, do tyła, że zapomniawszy o miodzie i celu swego przybycia, wypytywała się go, czy dawno mieszka na tem ustroniu, zkąd rodem i czy mu dobrze jest tutaj?

Dziad dosyć chętnie z młodą dziewczyną zaczął rozmowę, zrazu jak zwykle o dawnych czasach i dawnych ludziach, którzy najwięcej dziada obchodzą; potem tłumaczył znaczenie jakiejś pieczary czy groty, która pod ziemią tuż przy pasiece, leżała, a była taka głęboka, że przez nią możnaby było przejść w inne światy, tylko się ludzie boją tam wchodzić. Wspomniał, że według podania najstarszych ludzi, których on widział będąc pacholem, jakieś w pół dzikie kozactwo przybywszy z Moskwy, spaliło cerkwie, kościoły, wycięło włościan, ich żony i dzieci, porabowało świątynie i tu się kryło czas jakiś. Że ztąd czyniło napady na Przemyśl i że schwyciwszy w cerkwi w Przemyślu jakiegoś biskupa wschodnich obrzędów, w tej go pieczarze trzymało w głodzie póki nie skonał i że od dawnych już wieków na wiosnę, albo w jesieni pokazuje się duch jego. Potem dziad mówił o właścicielach pasieki, dawnych parochach, potem o sobie. Z rozmowy jego poznała Tekla, że dziad był rodem z Mazurów, a z tem się wcale nie tał, owszem na dowód wyjął z kieszeni nawet różaniec, by jej pokazać, że mówi prawdę.

Długo dziad by rozmawiał z nowo przybyłą panienką i byłby się może z nią zagawędził aż do wieczora, gdyby nie wspomniał, że mu należy nanosić wody z strumyka, wlać do naczynia i koło ulów postawić. Podczas rozmowy wziął więc do ręki naczynie, a w drugą rękę wziął laskę i opierając się na niej, chodził wraz z Teklą około ulów, a potem gwarząc

z nią, wyszedł z pasieki nad brzeg strumyka. Tekla stała około mostku, a dziad powoli wstąpił bosemi nogami do wody i w samym środku strumienia zanurzył miskę, by napłynęła tam woda; potem z kolei zanurzał drugą i trzecią, to wchodząc w wodę, to z niej wychodząc. Tekla zaciekawiona, czy ten strumyczek jest długi, odeszła aby zobaczyć bieg jego, ale przechodząc około drzewek, rwała gałązki. Po chwili jednak tyle zebrała, że się z nich nie mały pęk już ułożył; nie wiedząc co z niemi robić, wracała do pasiecznika, mówiąc zdaleka: — patrzcie się, dziadku, jakie to śliczne są listki! to wy zapewne mając nożyczki w pasiece, chodzicie zrana i wycinacie na listkach najcudowniejsze kształty i rozmiary? Jakie w tych listkach są ząbki śliczne! jak naokoło wycięte! albo w tych znowu? Jedne są równe, powycinane starannie jakby do miary, inne z pośpiechem w różnych przedziałach bez wykończenia, bo brakło czasu zapewne, a taka ilość nieprzeliczona! — Dziad nic nie mówił. Tekla złożywszy gałązki na ziemię, siadła nad brzegiem strumyka. — Czyj to jest lasek, mój dziadku? — spytała Tekla, siedząc na trawie. — Czyj ten las? spytał; ten las jest własność hrabiego. Teraz tu żydzi gospodarują, a hrabia przychodzi tu tylko po to, aby zobaczyć ile ma szkody w tym lesie? a ot... i sam hrabia jest tutaj, ot niedaleko za drzewem! — To mówiąc, wskazał go ręką.

Ledwie dziad skończył rozmowę, hrabia dochodził. Poznawszy Teklę, tak się zadziwił, że własnym oczom nie wierzył. Przecierał oczy i z najśpieszniejszą wymową kilka kroci razy powtórzył do niej z coraz to innym odgłosem: — co pani tu robi? dobry dzień! — Tekla tak się zmięszała, że siedząc na ziemi, ledwie się tylko skłoniła głową. Potem jak gdyby z pewną niespokojnością, rzekła do dziada: — proszę was bardzo, gdy zaniesiecie tę wodę, to wnet się bierzcie do wybijania miodu z pasieki. Mój ojciec przysłał mię właśnie po

miód dla gości. — Dziad się obejrzał, popatrzył z pewnem zdziwieniem na Teklę, a potem w myśli robiąc sam sobie uwagę, że tak zapewne trzeba uczynić, wylał z tych misek wodę zebraną i szemrzając zcicha, poszedł do ulów miód zbierać.

Tekla się nagle została sam na sam z hrabią, obok małego strumyka w lesie.

Siedząc na ziemi, spuściła oczy i wyciągnawszy rączkę bieluchną, zrywała trawę listek po listku w wielkiem milczeniu.

— Czy nie żałuje pani tej trawki? rzekł do niej hrabia. — Nie, panie, odpowiedziała, skubiąc ją znowu. — A ja żałuję może dla tego, że jest kobietą. — Zkądże? — spytała się Tekla, a przypomniawszy, że wyraz „trawa“ jest w żeńskim rodzaju, tak się zaśmiała raptownie, że sam pasiecznik idący drogą, wstrzymał się nieco, obrócił głowę, mówiąc do siebie: — trzeba doprawdy ją słuchać, trzeba miód wybrać, bo chociaż nie znam tej panny, to jednak hrabia zna ją z pewnością i będzie wiedział kto ona.

Tekla żartując, zaczęła mocniej rwać trawę, jakby umyślnie chcąc mu dać poznać, że nie żałuje. — Choćby uszczknięta trawa, rzekła hrabiemu, miała przedemną zmienić się zaraz w żyjącą postać kobiety, choćby klękawszy przedemną, sama błagała, bym dała jej spokój, to zrywać będę! — To mówiąc, śmiała się ciągle, a potem urwawszy więcej, wrzuciła w strumień. — Bo pani nie wie, jaka jest cena dobrej i pięknej kobiety, rzekł do niej hrabia, bo pani nie zna uczuć... — i nie dokończył.

Hrabia żyjąc samotnie, bez towarzystwa, o które po wsiach bardzo jest trudno, nie miał z kim mówić, a jednak tak pragnął tego! więc się zbliżywszy do Tekli, usiadł w oddali i jakby rwany niepowstrzymanym pędem pragnienia rozmowy, zapytał śmiało: — prawda, że pani nie zna czem jest uczucie przyjaźni w sercu, lub czem jest miłość?

— Prawda, panie! myślałam o tem, lecz mi się zdaje, że nie odgadłam, odpowiedziała wesoło. A pan je poznał? — rzekła z uśmiechem, a potem jakby się bojąc rozmowy o tem, zwróciła główkę tam, gdzie w strumyku niektóre fale krążąc koło kamyka, chciały go zwalić albo pokonać, ale nie mogąc, pieniały się w gniewie. Ten widok niedługo ją bawił; wspomniawszy, że jest bezczynną, że w próżnowaniu czas traci, wzięła do ręki obok leżące gałęzie z drzewa, a oberwawszy liść z onych, robiła wianek.

Hrabia drażniony w serce niespodziewanem pytaniem, nie wiedział zrazu czy jej powiedzieć z szczerością o tem? czy milczeć? Rozmowa jego z księdzem Maksymem, któremu zwierzył uprzednio tak niepotrzebnie, tak lekkomyślnie wewnątrz swej duszy, stała mu w myśli jak ciężar jaki, najdobrowolniej przyjęty. Żałował tego, lecz po niewczasie. Nie robiąc jednak żadnych w tej mierze namysłów, tak jak to czynił zwyczajnie, mówił do Tekli: — należę do tych, którzy przebyli w życiu wielkie już burze, znałem już przyjaźń, miłość dla kobiet, byłem już nawet żonaty.

— Nie znam ja uczuć, mówiła Tekla, które są ślubem związane, lecz mi się zdaje, iż te uczucia są jak ten wianek, który mi z liści tak się ładniutko układa, że nie dostrzegam jak rośnie. Widzi pan jak ja to robię? biorę liść jeden i koniec jego zakładam na drugi, potem ten koniec zaginam trochę, przymocowuję; a potem nowy listeczek biorę, znowu go zginam do uprzedniego i po kolei... widzi pan, widzi? to bardzo łatwo się robi, potrzeba tylko uwagi i cierpliwości! — Mówiąc to Tekla, nie przewidziała dokładnie, że wizerunek wianka jest najprawdziwszem ślubnego życia wspomnieniem. Gawędząc o tem, jej się wydało, że powie prawdę; robota wianka bardzo ją zajmowała, a wyobrażnia w myśli dziewczęcej prawie bezwiednie wysnuła zasadę. Hrabia zatrzymał

w sobie dwa jej wyrazy: „cierpliwość oraz uwaga“, a siedząc nieruchomie, podniósł swe oczy raz, drugi i trzeci, jakby czekając przybycia kogoś.

Gdzieś z wodą strumienia, z odgłosem fal jego, lub może ze samych najwyższych wierzchołków ponurych drzew lasu, zwolna, pocichu wystąpił smutek! Zrazu jak gdyby w jakiejś przejrzystej i latającej co chwila postaci, wszedł w oczy hrabiego, leżał na przestrzeni źrenicy, a potem jakby pływając, rósł znacznie i w niej się zatopił. Hrabia puścił go potem w swe serce, nie broniąc się wcale i w mgnieniu polysku światła tak się w niem rozszedł, że je zagarnął i ścisnął. Hrabia uczuwszy ból, chciał już się bronić, nie lubił smutku; chciał go odsunąć, ale już nie mógł: dziewczę robiące wianek, na które patrzył, przeszkadzało mu do tego.

— Pani wspomniałaś o cierpliwości i o uwadze, przemówił do niej, a jeśli już jest zapóźno? jeżeli duma i własna godność nie pozwalają schylać się, kłaniać... — lecz nie dokończył, bo mu zanadto żywo poprzychodziły wspomnienia swoich stosunków z żoną, z którą się rozwiódł, dla której silne, nawet gwałtowne miał przywiązanie, lecz z którą zarazem nie miał nadziei ani porozumienia się, ani złączenia kiedybydźkolwiek na świecie.

Tekla wzruszywszy wianek, który coraz się dłuższym wydawał, spuściła go na kolana i coraz prędzej składając listki, nie patrząc się nawet na twarz hrabiego, odpowiedziała: — ja nie wiem, panie, co do mnie, ja tak nie lubię ukłonów, bo one mnie nudzą: można się obejść i coś innego obmyśleć.

— Nie ma co myśleć innego, odrzekł stanowczo i zamilkł.

Hrabia mając w swem życiu najrozmaitsze wypadki, mając prócz tego i gospodarskie kłopoty, które przyczyniały mu wiele zabiegów, starał do tyła, iż długo on nie raz bił się

z myślami, męczył się, najrozmaitszych używał środków, lecz bardzo często napróżno i bez korzyści; owszem użyte lub nie stosownie, lub nieco zawczasu, albo zapóźno, nowe przyniosły mu jeszcze trudności, był więc w tem położeniu, że się bał nowych zabiegów.

Gdy jednak w rozmowach z Teklą uczuwał zdrowe, proste, a tak pocziwe uwagi, zastanowił się w duszy, myśląc, że w każdym razie muszą być w życiu jakieś ratunki na wszystko, że tylko trzeba poszukać. Im więcej rozmawiał z Teklą, tem bardziej był uderzony nie tylko treścią, lecz nawet dźwiękiem, słodyczą, naturalnością jej mowy. Przypomnienie dawniejszych z własną swą żoną przejść i wypadków, tak mu zasnuło myśl i przytomność, że zrazu ledwie półsłówkiem i niewyraźnie, potem dobitniej, a potem ze szczegółami wszystko powiedział Tekli, co przeszedł, czuł i co go potem popchnęło w taką otchłań cierpienia. Rozmowa jego była podobną do opowiadań uprzednich, które jej ojcu powierzył, z tą jednak różnicą, że czując przy sobie szlachetne serce dziewczyny, mówił jej więcej i szczegółowiej. To wyczerpanie gdzieś z głębi serca wszystkich najboleśniejszych a tak ciężących obrazów życia własnego, dało mu ulgę, czuł się wolniejszym.

Tekla znowu słuchając wszystko z wrodzoną ciekawością każdej kobiety, widząc go w smutku, kilkoma słowy od czasu do czasu dawała mu pociechę, czując że może, że powinna; tem bardziej, że młodość tak skłonna do tego. To dało powód do różnych porównań i zwrotów mowy, które raz miały piętno otuchy, potem nadziei, a potem coś podobnego jak rady. Krótkie lecz pełne życia, świeżości i serca słowa dziewczyny więcej robiły wrażenia, niż wszystkie najmędrze rady, a chociaż mówiły się one dorywczo, jak polot gwiazdy spadającej z nieba na zmrok wieczorny, by rozweselić mu ciemność, toć jednak wchodziły one w serce hrabiego tak silnie i z taką okazałością,

jak gdyby przybycie rozpoczynało największą w niem zmianę. Młoda i piękna dziewczyna z taką słodyczą jak Tekla, już samą tylko swą obecnością wywiera prawie cudowne wpływy na wszystkie najbardziej nawet bolesne rany.

Hrabia będąc przed chwilą już swobodniejszym na sercu z powodu wynurzeń bied swoich, myśl swoją i całą uwagę zwracał jedynie do Tekli; czuł dla niej wiele wdzięczności, tem bardziej, że żył samotnie i od nikogo nie doznał jeszcze tej przychylności czystej, niby dziecinnej, a jednak pełnej rozumu i serca. Ta jednak wdzięczność w duszy hrabiego nie zostawała w niemocy; owszem po niej przybyło nagle nowe uczucie, które zowiąc się tylko przyjaźnią, zwiększa uprzednie, dając od siebie moc, słodycz i przywiązania do tego stopnia, że się już pragnie rozmawiać, być razem i śledzić za poruszeniem najlżejszych zwrotów.

Tekla zajęta ciągle robotą, chcąc go rozerwać po wysileniach rozmowy, spytała się nagle: — czemu pan dotąd nie spojrział jeszcze na mój prześliczny wianeczek? chce pan? ja go ukończę i oddam panu, by rozweselić mu życie... wprawdzie boję się trochę...

Hrabia wzruszony jej uprzejmością, bardzo się z tego ucieszył, ale nie wiedząc znaczenia słów jej ostatnich, zapytał śpiesznie: — czegoż się pani obawia? może ma pani jakąś myśl przytem związaną, a którą trudno wynurzyć? proszę być szczerą!

— Może nie można powiedzieć, bo to nieładnie, mówiła Tekla.

— Ja błagam panią, powiedział hrabia.

— Patrząc na liście, mówiła Tekla, nie mogłam poznać na razie, że tyle po nich snuje się czasem niedostrzeżonych muszek, białych, zielonych, w kapelusikach na główce i innych, że się już boję panu ten wianek oddać! Pan by pomyślał na-

stępnie o mnie: „miała co dawać?“ I konik polny, rzekła po chwili, przyskoczył do mnie, ot drugi, trzeci? wie pan? ja do pasieki przybyłam pieszo, złapię koniki i ich poproszę, by mię zawiozły do domu. — Potem zaczęła śmiać się, żartować, że te koniki nie wrócą tutaj, nie znajdą drogi; że jej się dziwnie wydaje dla czego zwą się koniki a skaczą? i tym podobnie. Potem dostrzegłszy, że kilka pszczołek z pasieki siadło nad strumyk napić się wody, mówiła mu o szczęściu i pracy pszczołek; że kto pracuje nie myśląc o tem kto plon zabierze, ten się podnosi na stanowisko takie wysokie, że trudno tę przestrzeń odmierzyć w górze. — Ja panu powiem, rzekła po chwili, oglądając się wkoło, szkoda że nie ma kamyczka przy mnie... jabym kamyczka tak nie rzuciła wysoko... ale spróbuję wziąć garstkę trawy, może nią w górę podrzucę... — i rwała trawę.

Hrabia wszystkie te żarty nagle wysnute z myśli dziewczęcej przyjmował z wielkim uśmiechem, lecz widząc że zrywa trawę, rzekł do niej: — znowu więc pani rwie trawę? ja tak prosiłem dawniej już o to! proszę nie zrywać! — Cóż to, odrzekła Tekla, pan nie pozwala zrywać mi nawet trawę w tym lasku? A to jest grzecznie, rzekła śmiejąc się, a pan przecież, mówią mi ludzie, cały las prawie, największe drzewa pozwala żydom zrąbywać! Szkoda tych lasów! ja jestem sama, jestem ubogą dziewczyną, lecz bym się nigdy nie odważyła wycinać lasy. Wiem o tem, iż mówią ludzie: cóż robić? trzeba pieniędzy na gospodarkę, trzeba żyć z czego! lecz przecie można jako się obejść! Wie pan, w pasiece naszej mieszka pasiecznik bardzo już stary... jak mu niewiele trzeba do życia! przeżył lat tyle, a jest szczęśliwy, więc i pan może. Chodźmy do naszej pasieki, ja go panu pokażę; proszę wziąć wianek na siebie, to nic że na nim są muszki, one niewinne — i razem oboje szli do pasieki.

Strumyk jak zwykle, jak z najdawniejszych już wieków, szeptał po cichu jakieś wyrazy i słowa, zdawał się śmiać i żartować z nagromadzonych kamyczków, które nie mogąc wstrzymać go w biegu, siadły na dnie jego. Strumyk z uśmiechem ciągle rozdawał kropelki swoje muszkom i ptakom, które z oddali znając go dobrze, chętnie śpieszyły do brzegów; pryskał czasami, aby przestraszyć te same wody kropelki, tym samym wiecznie sposobem, na takie same od wieków ptaszki, jako rozpustnik i psotnik od wieków nieprzemieniony... Stojące drzewa w pełni milczenia, z nieruchomością królewską myślały o tem, by rosnąć w górę, coraz to wyżej i wyżej, dotknąć obłoku; a cała wkoło natura, jak zwykle latem, okryła wszystko niedocieczoną ale tak śliczną, zalotną i uroczystą suknią promieni i ciepła, jakby pragnęła by nieśmiertelność i nieskończoność upadły przed nią, prosząc i zaklinając by nie zrzuciła szat swoich i nie zmieniała pozoru w imię nieśmiertelności.

Tekla wraz z hrabią wszedłszy w pasiekę, zamknęła drzwiczki za sobą, sznurkiem je przywiązawszy do kołka. Dziad miód wybierał i kurzył ule lekkim powiewem dymu ze siarki. — Niech pan zobaczy, mówiła Tekla, tu stoją ule jakby żołnierze przed królem, tam dziad pasiecznik; mógłby on śmiało każdy ul prawie obwiązać brodą, co to za postać! bosi, w białej koszuli, jak mu z tem ślicznie! A jakie kwiaty on ponasadał około ulów, chcąc aby pszczołki nie bardzo prędko dalej biegały, nie zbyt pośpiesznie szły po powietrzu, szukając innych. No, dziadku! dużo jest miodu? pokażcie przecie. — Dość się zebrało, dziad odpowiedział. — O! jak tu wiele! krzyknęło dziewczę, czy wy też wiecie, że ja go sobie zabiorę? — Nie wiem, — dziad odpowiedział, wzięwszy się ręką za brodę i końcem jej włosów ścierając sobie pot z czoła. — Dziadku, mówiła znowu, ja was znam doskonale, a wy mię kimże sądzicie? — Dziad ujął brodę, obtarł nią swoje kolano, na którem

miód został, poprawił trochę białą koszulę na piersiach i stojąc prosto jakby chciał uczcić po raz ostatni wdzięki młodości, w najcudowniejszej jaką spotykał dziewczynie, rzekł do niej: — ja jestem stary a pani młoda, więc się nie znamy!... ale twarz, oczy, usta i mowa są tak podobne do matki księdza zmarłego, jakbym ją widział z tamtego świata. Dawno już ona nie przeszła nogą po tutejszej ziemi, dawno pod cerkwią zasnęła!... — Gdzie i pod którą jest cerkwią? spytał się hrabia. — W Złotówce, rzekł dziadek, tam ona, jak tylko umarła, była złożoną, tam i dziś leży. Była to dobra, cnotliwa pani; w plebanii zaprowadziła ładny przy domu ogródek, to jej pasieka, to jest jej praca, ona ją własną swą ręką założyła i ona pielęgnowała; znałem ją dobrze!! Ród jej był z miasta Przemyśla, a sama była siostrą rodzoną księdza przeora z klasztoru Dominikanów; bo chociaż wyszła za księdza wschodnich obrządków, sama została jednak do końca życia przy swym obrzędzie! Lecz co ja mówię? niedawno jeszcze żadnej nie było zmiany w tych stronach, ani w Złotówce, ani w Przemyślu między kościołem a cerkwią: ludzie tak żyli, jak gdyby cerkiew była kościołem a kościół cerkwią, tylko czasami na dachu stała różnica, tam był zielony a tutaj ciemny. Księża wschodnich obrzędów żenili się często z polkami; albo polacy brali za żonę córki księżowskie, to wszystko jedno! Nie wiem, jak teraz? czy tak jak dawniej, czy może inaczej, nie mogę wiedzieć! Czyż to być może, abyś panienka nie знаła grobowca księdzowej w cerkwi? pytał dziad Teklę. Wchodząc do cerkwi, na prawo stoi, jest na nim nadpis po polsku. Nieboszczka matka zmarłego księdza była tak znaną, że jak umarła, nie było w chacie nikogo, ale się ludzie wnet zgromadzili jak na wielkanoc! zrobili składkę, sprawili pogrzeb uczciwy, a wszystkie rzeczy zmarłej nieboszczki w takim zostały poszanowaniu, że po jej śmierci tak rozstawione leżały w izbie długi czas

jeszcze, jak za jej życia. Nawet pończocha z drutami, własną jej ręką robiona, leżała na stole może dwa lata. Ta pani bardzo lubiła miłość i zgodę i tych lubiła co do kościoła przychodzą i tych co idą do cerkwi... nawet i mowa miała tak dla niej jedno znaczenie czy to rusińska czy polska, iż powtarzała, bywało, mówiąc rusinom: cóż z tego że indyk grubiej bełkocze? zawsze on tylko pochodzi z indyczki; wszyscy my tutaj mamy ród jeden, jedną ojczyznę i ziemię... a mowa czy to jest cieńsza, czy grubsza, nie wiele znaczy.

Dziad się zamyślał, podniósł swą rękę, zrównał koszulę, wziął za zapinkę kołnierza, chcąc ją przy szyi odpinać; ale gdy mu się ręce cokolwiek trzęsły, nie mógł namacać zapinki. Hrabia wraz z Teklą patrzyli na to z wielkiem zdziwieniem, myśląc co z tego będzie? Tekla chciała pomagać dziadowi, już się ruszyła, lecz dziadek zniecierpliwiony własną niemocą, opuścił ręce, odgarnął niemi pazuchę, a dotykając w gorze i w dole dziadowskie piersi, namacał krzyżyk. Ujął go w ręce, do ust go zbliżył i pocałował; potem trzymając sznurek, zwrócił się w stronę gdzie stała, według mniemania jego, cerkiew w Złotówce i gdzie zarazem był grób nieboszczki. Potem przeżegnał raz, drugi i trzeci tę samą przestrzeń w oddali, a obróciwszy się znowu do Tekli i jej tym krzyżem błogosławieństwo oddając, mówił po chwili: ten krzyżyk jest dla mnie najdroższą po tej nieboszce pamiątką, to ona mi darowała! mam jeszcze od niej różaniec, tam w budce.

Tekla pobladła, skryła w swych oczach wesołość, zamigotała powieką, ścisnęła usta jakby pragnęła we własnej piersi wstrzymać szmer jakiś wezbranych uczuć; ale uczuwszy potem na zewnątrz łona, około własnej swej piersi, że coś zastukało raptownie, w takim została złudzeniu, iż jej się zdało, że jest gdzieś w izbie samotnej, że był zmrok w izbie i że ktoś na-

gle stukał w okienko małe. Przejmował ją strach coraz większy i większy, dotykał twarzy i piersi, a nie wiedziała co robić?

Hrabia okryty wiankiem, który mu Tekla podarowała, patrząc na dziada także się uczuł zmieniony: jakieś odległe, dawno zamarte w oczach się jego mknęły postacie, sam nawet przed nim stanął „czas dawny“ w cudnym, poważnym odbłasku cnoty.

Dziadek po wymówieniu ostatnich słów swoich, cokolwiek odszedł na stronę; potem powoli wszedł między ule stojące trochę na uboczu i chodząc w kółko obok osobnej gromadki ulów, szeptał modlitwy. Nie mając dobrej pamięci, nie mogąc liczyć pacierzy, dziadek tem się jedynie często ratował, że mówiąc modlitwy, tak długo je powtarzał, aż póki chodząc wokoło gromadki ulów, nie ustał w trudzie. Był to dla niego niby zegarek, tem dogodniejszy, że nie wymagał uwagi; same już nogi były wahadłem dla niego, a gdy nie mogąc już chodzić, po wysileniach przechadzki osłabły i już się zwiesiły, wówczas było to jemu wskazówką, że się wahadło wstrzymało, zegar już stanął, modlitwa mu zastęgała na ustach i że czas spocząć.

To oddalenie się dziadka na stronę przyniosło Tekli opamiętanie jej myślom, a stojąc obok hrabiego, rzekła mu śmiało: — to mię cokolwiek teraz zadziwia! jestem księżdówną, a jednak nie mam przy sobie ducha modlitwy, nie potrzebuję jej wcale... poczułam teraz, że to niedobrze! to mię zasmuca! — potem spojrzawszy do góry, rzekła po cichu: — gdybym tam była na niebie, tobym się pewnie modliła! widzisz pan, widzisz?... mówiła potem gwałtownie, niech pan się patrzy na obłok w górze, jak się on dziwnie ułożył! ten cały obłok ma podobieństwo zupełne do księdza w ornacie... oto są nogi, a tam na górze wzniesione ręce, a w środku ornat pomalowany wstęgami... zupełnie stoi na podobieństwo polskiego

księdza w kościele... Cóż z tego będzie? trzeba się trochę zatrzymać, patrzmy się panie! — i znów oboje siadłszy na trawie w pasiece, patrzyli w górę w wielkim milczeniu.

Dziad zwolna chodził i chodził w kółko. Miejsce, które mu było przestrzenią modłów, miało owalne zarysy, mógł więc przynajmniej dwadzieścia razy obejść je, nie czując głowy zawrotu. Ale po czasie zaczął się zniżać do ziemi i jakby dygać co chwila; nogi coraz się gięły, zwieszały na dół, ledwie suwając po ziemi. Dziad miał zwyczaj aż póty chodzić około ulów, póki te nogi same nie spadną na ziemię, a ten ostatni uczynek zwał on „pokłonem Bogu“. Tym razem jednak nie dopuściwszy „pokłonu“, znowu wziął krzyżyk, znowu nim żegnął też miejsca i też osoby tak jak uprzednio i po skończonej modlitwie szukając w całej pasiece, gdzie się podziała młoda panienka, zdybał ją okiem i ku niej powolnym krokiem się zwrócił. Kiedy już blisko stał obok Tekli, szelestem nóg swoich zbudził ją z zamyślenia; uradowana przybyciem dziadka, rzekła z uśmiechem: — a! dziadek przecie nas nie zapomniał! siadajcie, proszę, obok na ziemi, będzie nas troje. Wyście się bardzo pewnie zmęczyli utrudzajacem chodzeniem, spocznijcie trochę! — Dziad znał hrabiego, bał się sięść przy nim; lecz gdy sam hrabia także go prosił po kilka razy, dziad zmęczony modlitwą, tak się pośpiesznie stoczył na trawę, że się aż zaśmiał z radości, dotknąwszy ziemi; a chociaż upadł i stłukł się mocno w goleni, radość mu jednak czuć przeszkadzała ból z tego.

— Siądźcie wygodnie, mówiła mu Tekla, miód uzbierany mybyśmy może razem tu siedząc go spróbowali, gdyby był przy nas kawałek chleba, ale bez chleba miód jest niesmaczny. Zapewne, powiedział hrabia, zanadto słodki, — a potem patrząc na dziada: — zkąd wy jesteście? — Dziad mając oczy ciągle utkwione na Teklę, nie dobrze słyszał o co go spytano, lecz na głośniejsze powtórne znowu pytanie Tekli: — jestem

z Mazurów, powiedział, bardzo już dawno żyję na świecie i wiem dokładnie, że tutaj wszędzie w całej przemyskiej dzielnicy mnóstwo mieszkało Mazurów, czy dziś są oni czy nie ma? nie wiem, bo już od śmierci nieboszczki księdzowej z pasieki nigdzie nie chodzę! ale od wieków mieszkali tutaj razem z innymi. — Te wszystkie wyrazy pasiecznik-dziad tak mówił powoli i słabo, a już ostatnie ledwie że można było dosłyszeć; bo gdy się mu nogi ocknęły w spoczynku, to leżąc na ziemi, przypominały trudy, chodzenia, a posyłając te swoje wspomnienia wraz z wymówkami całemu do wiadomości ciała, odbiły się w twarzy, stanęły w oczach, a w końcu przeszły na usta.

Tekla widząc trud dziadka, jego zmęczenie i niemoc w mowie, postanowiła już go nie nęcić do rozmów; owszem, okrywszy dziadka spojrzeniem ocz swoich jakby najspokojniejszym, lekkim muślinem po kilka razy: — wstańmy, rzekła hrabiemu, niech dziadek spocznie; mybyśmy siedząc około niego, przerwali ciszę rozmową lub ruchem; jemu potrzeba spokoju... chodźmy do miodu.

Powstawszy razem, szli między ule niosąc ze sobą wszystkie wyrazy i słowa, wszystkie wzruszenia dziadowskie. — Jak to się czasy znacznie zmieniły! mówiła Tekla, bardzo mi smutno robi się w duszy, gdy myślę, że ludzie teraz ni ztąd ni zowąd w taką nienawiść upadli. Czyż to podobna, aby dla tego, że jedni mówią, jak dziad wspominał, grubiej cokolwiek, a inni cienie, była nienawiść? Muszą być inne powody? ja nie wiem o nich, lecz mi się zdaje, że ta namiętna do siebie niechęć ma coś tak w sobie niskiego, że cała twarz moja pomimo woli od chwili opowiadania dziadka coraz inaczej się zmienia; pan tego we mnie nie widzi?

— I owszem, pani, przemówił hrabia, są pewne ślady odmiany; ale jeżeli mam pani prawdę powiedzieć i w tej odmianie zawsze jest pani cudowną.

— To być nie może, rzekła mu Tekla z niechęcią, to się tak panu wydaje; tam, gdzie myśl stoi stroskana o coś, tam nie ma piękna. Gdybyś pan wiedział, gdybyś pan spojrział w głąb moją, po co ja przyszedłam do tej pasieki, co u nas będzie w domu, w plebanii?... nim posłyszałam rozmowę dziadka starego, nim zrozumiałam jego uwagi i zdania, już mi w oddali czasem stawały najrozmaitsze myśli i zdania, lecz one były we mgle zawinięte i nieprzejrzane dokładnie. Słuchałam w domu o niegodziwych czynnościach, o jakichś lasach, pastwiskach i wiele takich najokropniejszych złorzeczeń, o których już nie pamiętam; myślałam sobie: starsi tak mówią, mają przy sobie i doświadczenie i rozum, więc tak być musi! Ale to jednak nie koniec... inne do tego przybyły troski, które dotyczą mnie samej... — potem uczuwszy w oczach łzy jeszcze, śpiesznie odeszła do dziadka, mówiąc hrabiemu, że zapomniała... że musi zliczyć ile jest miodu.

Chcąc ukryć łzy spadające i nie dać poznać hrabiemu trosk swoich, już się zbliżała do dziadka, gdy w tejsze chwili drzwi się pasieki otwały, weszło dwóch chłopów, a za zagrodą tejsze pasieki turkotał wózek. Przybyli ludzie mówili Tekli, że są od księdza przysłani po to, by zabrać pannę i miód z pasieki. Tekla, dziad i dwóch chłopów znieśli miód uzbierany na wózek. Chcąc już odjeżdżać, Tekla zdaleka kiwnęła główką hrabiemu na znak że jedzie; pasiecznikowi ścisnąwszy rękę, mówiła, że kiedyś przyjdzie odwiedzić i pojechała do domu. Hrabia czas jakiś chodził sam po pasiece, potem z niej wyszedł, snując w swej myśli różne zamiary, gdzieby się jeszcze i kiedy mógł spotkać z Teklą, zaciekawiony co ona może mieć w sercu? jakie cierpienia i bóle? Hrabia nic jeszcze zgoła nie wiedząc o jej ślubie, pomyślał tylko: że też na ziemi każda istota nosi i dźwiga cięższe i większe co do swej wagi stra-

pienia jak własne ciało, licząc w to nawet odzienie i futro na niem!

IX.

Droga, którą niedawno Tekla przebyła z zamrużonemi oczami, jako żebraczka oczekująca pomocy i wsparcia, wydała jej się tym razem inną. Jeżeli była w czemkolwiek wspólność lub podobieństwo, to chyba w wewnętrznem usposobieniu; bo i tym razem oczekiwała pomocy i wsparcia, ale z krainy już ducha. Przybywszy do bramy domu, kazała ludziom miód złożyć, a sama innym kierunkiem poszła do cerkwi, zaciękwiona tym grobem, w którym leżały prochy zacnej i świętobliwej księżowej, — matrony, która za życia była do Tekli tak bardzo podobną, że się pasiecznik nie tylko zdziwił, lecz nawet osłupiał. Znalazłszy pomnik, czytała imię i nazwisko, rok urodzenia i śmierci, a potem w końcu, że zmarła bardzo pokornie i litościwie błaga każdego przechodnia o pozdrowienie anielskie. Nadpis był umieszczony po polsku. Tekla, stojąc przy grobie, myślała sobie, na cóż jej biednej to pozdrowienie anielskie? wystarczy westchnąć lub czule o niej pomyśleć; ale patrząc na pomnik, ciągle się oczy jakby kleiły do tego miejsca, na którem leżała proźba nieboszczki. Cerkiew była pustą, w górze latały wróble, wszedłszy przez szybkę rozbitą, świergocząc razem coś bardzo żywego. Podniósłszy oczy do góry, Tekla spojrzała na wróble, potem na pomnik i znowu myślała odczytywała błaganie zmarłej o pozdrowienie anielskie. Tym razem nawet zdało się Tekli, że proźba nieboszczki była mocniejszą: stanął jej w myśli stary pasiecznik, krzyżyk na szyi, jego modlitwa około ulów, którą zapewne odmawiał, aby nieboszczce ta wiekuista na tamtym świecie światłość świeciła,

która jest w „pozdrowieniu!“ — Dziad się pomodlił bardzo gorąco, mówiła sobie, to już wystarczy, pójdę do domu — i poszła.

Wokoło cerkwi na cmentarniku odwiecznym stały jak wczoraj stoły, nowo zrobione stoliki dla nowych gości; tłumy spragnionych księży wschodnich obrządków pili i jedli jak wczoraj. Przepych jedzenia był i tym razem uderzający: tłuste i chude, jakie kto pragnął, były mięsiwa; z dworu, dziedzińca, ze stawów, z lasu, z bezgranicznego powietrza zebrały się twory najrozmaitszej zwierzyny; a obok ludzie rozszarpywali tułuby, nie wspominając wcale gdzie, które zwierzę, drób albo ptastwo mieszkło. Gwar jak zwyczajnie był towarzyszem jedzenia, ale tym razem trochę odmienny, niż wczoraj. Niektórzy z księży wschodnich obrzędów wspomniawszy o konsystoryjacie przemyskim, mówili innym, że sami będąc obecni na posiedzeniu uprzednim, na własne uszy słyszeli o tych najnowszych w konsystoryjacie pomysłach, a mianowicie: o zawieszeniu drutów pomiędzy jedną a drugą cerkwią, o rozlepieniu na drutach nieprzemakalnej ceraty; o ogłoszeniu w pismach publicznych w całej Europie ułożonego wezwania do wszystkich ludzi uczonych, by się starali znaleźć maszynę albo telegraf, któryby w sobie miał moc i zdolność zrobienia w górze nad całą ziemią przemyską, na czarnych albo na białych obłokach: „ruś i rusini“.

Te wszystkie opowiadania tak poruszyły myśl, wyobraźnię wszystkich słuchaczy wschodnich obrzędów, iż między nimi gorliwsi robili zakład, że rzecz się uda i że w pół roku będzie to wszystko uskutecznione! W tym gronie był i pan Grzegorz, który podobnież był tego zdania. Gdy jednak ktoś temu nieco zaprzeczył, wówczas niektórzy w szale twierdzenia usiłowali przekonać, że ten kto przeczy, nie wart być nawet „rusinem“, że daje dowód obojętności, chłodu, przystaje na

stronę lachów albo mazurów! Inni chcąc swojej prawdomowności nadać powagę, tak uroczyście wierzyli w telegraf, w druty, w ceratę i nadpis na chmurze, że gdy im zabrakło w słowach i w mowie dowodów, odpowiadali, że swe twierdzenia doświadczeniami okażą, że w tem nic nie ma niepodobnego! Zerwawszy ze wszystkich stołów obrusy, zaczęli znosić do kupy najprzód prawdziwe stoły, potem na stoły znosili łóżka, potem koryta, tak że się z tego góra zrobiła.

Śmielsi i młodszy parochy, zagrzani myślą swoich przekonań, powyłazili na stoły w górze, potem na wierzch koryta i stojąc na nich z wyciągniętymi w górę rękami, już próbowali czy jest daleko do nieba? czy będzie można i jak wysoko zawieszać nieprzemakalną ceratę i zrobić nadpis. W rzędzie tych ludzi był i pan Grzegorz; stojąc na wierzchu koryta, nagle zakrzyczał: — jadą już, jadą! — I rzeczywiście za kilka minut toczył się powóz z Przemyśla, w którym księdzowa ze sprawunkami, z kuframi i z koszykami różnemi, Rymanowskiego wyrobu, w których złożona była wyprawa Tekli, w tymże pówozie przybyła pod ganek. Nim te pakunki zdołano przenieść do izby i rozpakować sukienkę ślubną, codzienną, wieczorną, ranną i inne rzeczy, jak: pończochy, czepek dla Tekli, pierścionie i tym podobne, przyjechał również z Przemyśla poseł z indultem biskupa na ślub dla Tekli. Indult z podpisem biskupa nadawał prawo kanonikowi, bez zapowiedzi i bez spełnienia tych formalności, które zwyczajnie w tych razach są zachowane, dać ślub wschodniego obrządku, który miał być zawartym pomiędzy panem Grzegorzem i panną Teklą, córką księdza Maksyma.

Wiść o tem wnet się rozeszła pomiędzy ludźmi z wielką szybkością; ponieważ indult wymieniał jasno nazwisko kanonika, który ten ślub miał młodej parze udzielić; więc ksiądz kanonik goszcząc w Złotówce, nalegał ze swojej strony, aby

ślub zaraz się odbył, tłumacząc przytem, że do wieczora będzie dość czasu na różne przygotowania i że on jutro musi wyjechać nad rankiem gdzieś dalej, a nie wie kiedy powróci.

Po tych wyrazach wszyscy się wzięli natychmiast do ślubnej uroczystości. Księżowa to zdejmowała, to nakładała suknię na Teklę; panny przybyłe w gościnę wzięły się wianki i kwiaty składać; ksiądz Maksym całując Teklę, ze łzami w oczach winszował wielkiego szczęścia i pomyślności po ślubie; kanonik poszedł trochę się zdrzemać, mówiąc, że się ślub i wesele przeciągną w nocy za długo; słowem, że każdy miał coś ważnego lub do robienia lub do myślenia.

Pan Grzegorz również przejrawszy swoje ubrania, oczyścił je i przygotował do ślubu, złożywszy w osobnem miejscu. Potem zebrawszy znajomych seminarzystów i kilku parochów, poszedł wraz z nimi do cerkwi, by przygotować z największą okazałością miejsce do ślubu. Pan Grzegorz będąc sam wielkim stronnikiem wschodnich obrzędów, mówił z towarzyszami wchodząc do cerkwi, że pragnie ślub odbyć w najczystszej źródle, tak jak na Wschodzie się dzieje, bez tych dodatków z zachodnich krajów, które popsują, lub jak powiedział, zhańbiły cerkiew.

Wszedłszy więc razem z dobranem gronem przyjaciół swoich do cerkwi, z wielkiem zdziwieniem zobaczył, że w tejże cerkwi stoją nagrobki z polskim nadpisem. — Cóż to Rzym tutaj lub jakiś Kraków albo Warszawa? krzyknął ze złością. Mogęż w tej cerkwi, osądźcie sami, najmilsi sercu mojemu, ślub przyjąć? Za żadne skarby! wolę w bożnicy, na okopisku żydowskim, niż tutaj! — Już chciał się udać do kanonika, chciał go przebudzić, radzić się jego; ale mu ślina tak się toczyła ze złości, że zaczął spluwać, coraz się pieniąc i pieniąc! Wszyscy obecni w tem przekonaniu, że pan Grzegorz jest nie-szczęśliwy, że chory, tak go serdecznie żalowali, iż w tem

współczuciu jedni pobiegli po księdza Maksyma, drudzy po wodę, inni po wódkę i mydło, nie wiedząc co najprzód radzić. Ksiądz Maksym przybiegł tak zadyszany do cerkwi, że go aż boki zabolaly; blady i zrozpaczony, że przyszły zięć jego choruje, dotknął się twarzy, trzymał za głowę i w tem wpatrywaniu się ciąglem w twarz pana Grzegorza, uderzające znalazł w niej podobieństwo do twarzy pewnego kupca, którego widział przed kilku dniami na wielkim dziedzińcu, idąc do domu hrabiego, dziedzica Złotówki. Tak samo pan Grzegorz pieniał się, tak samo pluł, pałał ogniem na twarzy, pomimo, że u tamtego był inny powód, a inny u pana Grzegorza. Ksiądz Maksym sam był niekontent z tego wspomnienia, począł coś mówić, prosić, pocieszać pana Grzegorza i ledwie po długich usiłowaniach, dawszy mu prawo do urządzenia ołtarza w cerkwi jak mu się zechce, wrócił do domu.

Pan Grzegorz razem z towarzyszami przeistaczając ołtarz cerkiewny według swych myśli, z kolei przeszedł do uczynienia zmian dalszych po cerkwi, ale co kilka kroków spotykał się znowu z grobami i napisami po polsku. — Tak być nie może, powiedział gniewnie, panowie bracia, komu jest miłym Wschód, jego język i ziemia, ten ze mną razem zniszczy napisy! — Wszyscy się razem wzięli do dzieła, ścierali wszystkie wyrazy, a potem przy rozdrażnieniu coraz to większem i większem, burzyli nawet same pomniki. Stuk był ogromny po cerkwi: cegły, żelazo i drzewo spadały ciągle na ziemię, wydając tylko jakieś żałośnie, jakby grób grobu żałował, jęki i głosy. Podczas burzenia jednego pomnika, odłamy spadając z góry tak blisko przelatwały około głowy pana Grzegorza, że gdyby spadły o włoskę bliżej, jużby mu głowę rozgruchotały na drobne cząsteczki. Wszystko to jednak przy coraz większym natłoku i pracujących i pomocników, było zwalone, oczyszczone i wyniesione za cerkiew.

Dość dużo czasu przy tej robocie zapadło i znikło, rozproszywszy się w miazgi maleńkie! Słońce coraz to było trwożliwsze. Noc prowadziła na cmentarz dzień konający, a strasząc go śmierci wspomnieniem, chciała wywołać prędsze skonanie, ale dzień jeszcze z nią walczył, opierał i w wysileniach przedśmiertnych migotał to blaskiem, to znowu rwał się powstać na nogi, jakby był jeszcze tylko u brzasku życia! Noc malowała mu szkielet trupa przed okiem na przypomnienie nicości, a dzień osłabiony i wąty patrząc się na to, zaśpiewał do niej: „jeszcze jasność nie zginęła!“ Wspólne zatargi dnia z nocą były przeciągłe i długie, a jednak noc nie zwalczyła, bo chociaż przyszły wszystkie jej znaki rycerskie, wszystkie sztandary; ogromny księżyc, syn dnia i słońca, powstał na niebie, by nie dopuścić tryumfu! Po nim przybyły gwiazdy, a będąc jeszcze w zmowie uprzedniej z księżycem, puszczały z góry jakieś świecące łuki ze strzałą, a mierząc niemi do zmroku nocy, ciągle trafiały mu w czoło, chcąc zabić!

Cerkiew była w Złotówce już oświeconą do ślubu bardzo rześcicie. Ksiądzowa zamknawszy izbę, wkładała ślubną sukienkę na narzeczoną, swą córkę; pan Grzegorz czekał w ubraniu w osobnej izbie; ksiądz Maksym szedł do kanonika zbudzić go ze snu, by ślub już dawał; lecz idąc przez dwór plebanii, wstrzymał się, widząc że ktoś przyjeżdża. Przy ganku stanęły konie, z prostego wózka zsiadł ksiądz już stary, mówiąc do księdza Maksyma: — cóż, nie poznajesz mnie jeszcze? — Był to kanonik stary, pocciwy, ten sam, co pierw w Przemyślu, kiedy ksiądz Maksym dla uzyskania Złotówki posyłał dzieci, kobiety do niego, by go błagały o miejsce — i kiedy całe to grono padłszy na ziemię, zatamowało mu przechód, wówczas on je podnosił z ziemi, całował, dając im obietnicę, że żadnych przeszkód nie zrobi. Był to ksiądz Łazar, tak pospolicie go zwano; wielkiej zacności i świętobliwy, lecz na nie-

szczęście nie miał ani przyjaciół ani znaczenia w hierarchii. Ksiądz Łazar był na odpuscie w pobliżu, wracając, chciał się dowiedzieć, jak się powodzi w Złotówce i w tymże celu przyjechał.

Poznawszy go ksiądz Maksym, dość się ucieszył, ale będąc zmuszony iść dalej, poprosił tylko, by wszedł do domu, — a ja, mówił ksiądz Maksym, natychmiast powrócę.

Tekla była już wtedy ubraną: ślubna sukienka, biała jak kwiat narcyżu, kryła jej postać i wdzięki; jej myśli podobnież białe jak suknia, okryły duszę; a jednak przedślubna chwila bardzo poważna, bardzo dojrzała i pełna, ciągle rzucała na twarz i oczy Tekli coraz to nowe smugi posępne, pilnując, aby się na niej wstrzymały i równo przylgnęły do niej. Kiedy ksiądz Łazar wchodził do izby, Tekla żegnała się klęczkiem z swą matką, dziękując za wychowanie i życie w domu; potem żegnała się z wszystkimi rówieśnikami, z wszystkimi ludźmi, idąc do każdej z kolei osoby. Zebrani w koło patrzący ludzie czuli a nawet widzieli, że przy niej lub jakby z nią nawet krążyły razem: osobno smutek, osobno litość i proźba. Smutek dotykał całą, miejscami ślubną sukienkę; litość krążyła około wszystkich jej wdzięków dziewiczych; proźba to siadywała, to znowu jak ptaszek mały czasem pierzchała z jej oczu, lecąc do góry. Będąc u progu, Tekla spotkała księdza Łazara. — Cóż to się znaczy? mówił ksiądz Łazar, ani myślałem, że na ślub jadę? — Głos jego skierował oczy obecnych w stronę gdzie stanął: księdzowa wnet się zbliżyła, ucałowała go w rękę, Tekla toż samo, a potem klękawszy przed nim, prosiła o błogosławieństwo. — Nie wiem, mówił ksiądz Łazar, patrząc na jej głowę schyloną, czego ci życzyć dziewczyno? Pan Bóg wie lepiej, czego nam w życiu potrzeba; los każdej jednostki obchodzi go więcej, niż samych ludzi; niech więc On ciebie pobłogosławi, jeśli to Jego jest woła! — i żegnał Teklę. Te

wymówione wyrazy wstrząsnęły Teklę; wspomniała w tej samej chwili opowiadania hrabiego: jego gorącą niegdyś modlitwę w kościele, w której te same były myśli i słowa! — Hrabia zapewne musiał je słyszeć z ust księdza Łazara, mówiła sobie, albo w kazaniu, albo w rozmowie i je powtórzył! — Klęcząc przy księdzu, zwlekając chwilę powstania, tak nieruchomą się zdała, jak gdyby władze cielesne odbiegłszy od niej już niepowrotnie, przeszły w tej samej izbie na innych ludzi, którzy ciekawie do niej się ciągle zbliżając, wielkimi ruchami okazywali zdziwienie. Była to chwila, w której jej serce znalazło w sobie modlitwę, pierwszy raz w życiu silnie poczuła, pierwszy raz głębiej zanurzającą swe białe skrzydła w krwi serca. Tekla nie знаła dotąd, co to jest upojenie modlitwy; nie czuła wrażeń, które zostawia po sobie; ale raz się złączywszy z niemi, bała się nawet poruszyć z ziemi, by ich nie przestraszyć! Modlitwa rosnąc w jej sercu, przeszła do myśli, potem się w oczach, na czole a nawet w ustach ocknęła. Chciała już szeptać pacierze, lecz nie wiedziała które; wtem własne jej myśli przyniosły nagle wspomnienia „o pozdrowieniu anielskiem“, tej małej modlitwy, o której w tymże dniu samym, patrząc na pomnik zmarłej księżkowej w cerkwi, czytała w proźbie; już zamierzała odmawiać, lecz zapomniała początku.

Wtedy od drzwi wchodowych pokazał się kanonik, trzymając pod rękę księdza Maksyma i mówiąc głośno: — nie traćmy czasu, już późno! niech młoda para natychmiast idzie do cerkwi! — Tłum się rozstał, kanonik przeszedł po środku izby, pytając gdzie jest pan Grzegorz. Wnet sprowadzono pana Grzegorza, a drużki oraz drużbowie oczekiwali tylko poleceń, by iść do cerkwi. Tekla ciągle klęczała; ksiądz Łazarz schylił się do niej, podniósł za rękę i prosząc aby powstała: powiedział: — ja się za ciebie, dziewczyno, bardzo serdecznie

modliłem; wstań śmiało, idąc do cerkwi wnieś tylko duszę do Boga, niech się twe myśli zleją z myślami anioła-stróża twojego, twe serce niech tonie w Bogu; a natchnienia, które ci przyjdą, weź za wyrocznie i rozkaz; ja cię przeżegnam. — Za chwilę drużbowie wzięli Teklę pod rękę, a drużki pana Grzegorza prowadząc do cerkwi.

Cerkiew była tak oświeconą, że widać było każdą kruzynę i każdy pyłek na ziemi, ludu było w niej pełno; kanonik ubrany w szaty cerkiewne czekał przy ołtarzu na młodą parę, kazawszy tymczasem niektóre świece objaśnić, by zapłonęły ogniściej. Tłum ludzi w cerkwi tak się rozstąpił łamanym i krzywym szlakiem, że zamiast prostszą iść drogą, wypadło rozwartem miejscem przejść młodej parze obok grobu księżzowej. Tekla poznawszy miejsce, ukłękła, znowu uczuła wyrzut sumienia, lecz jeszcze większy, z tego powodu, iż będąc zrana w tej samej cerkwi, nie chciała spełnić proźby nieboszczki, która w grobowcu leżąc głęboko, prosiła o „pозdrowienie!“ W myśli jej stały opowiadania dziada i pasiecznika starego: zmarłej księżzowej cnoty, zdania, zasady... Pozagrobowe w jej oczach mignęły rysy, a myśląc o tem, że sama jest do niej rysami twarzy bardzo podobną (o czem pasiecznik jej mówił), schyliwszy czoło przed jej grobowcem, leciała duchem modlitwy w niebieskie świąty.

Głębsza modlitwa nadaje myślom ruchy do lotów w kraje nieskończoności; przy niej czują się lepiej wypadki życia. Tekla mając w swej duszy dwoisty obraz: siebie przy zdrowiu i życiu w świecie, oraz takąż jak ona całkiem istotę w pozagrobowym już świecie; tak połączyła dwa te odmienne na dzisiaj losy w jedną istotę, iż jej się zdało, że tamta w grobie bierze ślub teraz, a ona leży w tym grobie!

Drużbowie stojąc przy Tekli, zniecierpliwieni długiem czekaniem, zaczęli wołać, że czas już wstawać, kanonik czeka

chodźmy przed ołtarz! Tekla ocknąwszy oczy, patrząc na miejsce, obok którego klęczała, rzekła do družbów: — gdzież jest mój pomnik? cóż to się stało? zrana tu byłam... czytałam napis... teraz są tylko ruiny!

— Ten pomnik? rzekli družbowie; tu był grobowiec jakiejś księżdzowej, sam go pan Grzegorz zniszczył i zburzył niedawno.

— Pan Grzegorz? pytała Tekla, mój narzeczony?

— Tak, pani, odpowiedzieli družbowie, był on zawadą; napisy na nim wstręt obudzały, a przypomnienie... było zniewagą dla cerkwi... proszę wstać, chodźmy! Kanonik czeka i narzeczony przy ołtarzu... Wziąwszy pod rękę, wiedli ją prosto do stóp ołtarza.

Tekla, dla której pamięć zmarłej księżdzowej tem bardziej i coraz więcej stawiała się droższą, tak w swej pamięci mocno ujęła te dwa wyrazy: „wstręt i zniewaga“, że idąc coraz to wolniej i wolniej, zatrzymywała chód swój i kroki. Stojąc już obok ołtarza, zwróciła swą głowę, znowu się patrząc z najokropniejszem wstrząśnieniem na zgliszcze pomnika. Los tej nieboszczki księżdzowej zdawał się dla niej jej własnym losem; zburzone ślady jej grobu, jej się wydały własnem zniszczeniem! Twarz jej pobladła, usta straciły krasę, a biała suknia i twarz jej biała nie odbijały różnicy. Pan Grzegorz spojrzawszy na nią, mniemał że nie ma twarzy; jest tylko suknia kryjąca twarz, czoło i czarne włosy! Zdziwił się bardzo, przestraszył, pytając sam siebie z niespokojnością: — gdzież są jej wdzięki? — Też same wrażenia powziął kanonik; będąc w obawie czy nie jest chorą, lub czy nie ciśnie ją nowa suknia, jak mógł przyspieszał obrzędy ślubu. Gdy przyszło do zapytania: „masz wolę?“ Tekla zamilkła, ścisnęła usta, patrząc się wzrokiem konającego człowieka, co nie chce śmierci i jej się boi... Kanonik znowu powtórzył: — odpowiedz śmiało: mam wolę! —

Tekla odpowiedziała: — nie, nie mam! — Kanonik bardzo zdziwiony, z wielkim pośpiechem wziął ją za rękę, chciał związać stulą, mniemając, że jej wyrazów nikt nie posłyszał i że zwiąawszy jej ręce, ślub będzie ważny. Licząc prócz tego na swój wpływ i znaczenie w cerkwi, był najpewniejszy, że nikt na świecie go nie posądzi... i już postanowił kończyć obrzędy... gdy wtem stojący obok Nejda oraz Kowalski, słysząc dobitnie odpowiedź Tekli, krzyknęli tak głośnym dźwiękiem, że nie chcąc, iż cała cerkiew za nimi huknęła odrazu: „nie chce!“ Głos tego słowa był tak ogromny, iż sami ludzie stojący w cerkwi, szukali w sobie przyczyny, z kąd się krzyk dobył i w jakim celu?

Kanonik widząc, że się rzecz stała rozgłośną, nie miał odwagi kończyć obrzędów, z gniewem i z oburzeniem opuścił ołtarz, cisnął na ziemię ubiór kapłański i jak najspieszniej wyszedł z cerkwi.

Nejda z Kowalskim przybrawszy sobie kilku seminarzystów z czwartego kursu, wleźli na ołtarz i tak pośpiesznie gasili świece, że w mgnieniu oka po całej cerkwi chodziła ciemność grobowa. Tekla dostrzegłszy księdza Łazara, wybiegła z cerkwi. Został się tylko tłum dziewcząt, bab wiejskich, seminarzystów i młodych księży wschodnich obrzędów, czekając w cerkwi na wyjście. Wtem przy natłoku cisnących się do drzwi, w czasie największej ciemności w cerkwi, powstały krzyki, łajania, klęcia, hałasy najrozmaitszych głosów. Młodzi seminarzyści z czwartego kursu, stojąc tuż blisko przy samych wiejskich dziewczętach i babach, i korzystając z ciemności, zaczęli szczypać młodsze dziewczęta, całować w twarze, brać za spodnice i tym podobnie. Umiarkowańsi w całusach zdzierali chustki, korale z szyi, chowając w kieszeń. Powstały z tego takie zgorszenie, takie okrzyki, płacz i lamenty, że kto mógł tylko, uciekał nawet przez okna cerkwi.

Kanoniczek w tej samej chwili wzięwszy Grzegorza, odjechał nie pożegnawszy się z nikim; inni parochy z córkami swemi, z żonami także się rozjeżdżali z takim pośpiechem, że za godzinę w domu księdza Maksyma, prócz swoich i księdza Łazara, zostały się tylko po dawnych gościach najrozmaitsze małe i większe ostatki, kości po kaczkach, gęsiach, cielętach i różne małe kawałki mięsa ze zwierząt. Gdzieniedzie walały się również niedojedzone głowy tychże kur, gęsi, indyków, kaczek, oraz same koniuszki kielbasy, bez mięsa, przymocowane jak zwykle cienkim na węzeł szpagatem.

X.

Noc przeszła w domu księdza Maksyma w wielkiej niepokojności: nikt nie mógł usnąć, nikt nawet na chwilę nie mógł się w sobie doczekać spokoju i ciszy, które jak gdyby patryarchalne małżeństwo, gdzie tylko wejdzie, do kogo się zbliży, tego pociesza i koi. Nikt nic nie mówił do siebie, ani rodzice, ani ksiądz Łazarz, ani Tekla; a jednak bez głosu była rozmowa we wnętrzu ducha tak silna, jakby się postać każdej osoby zmieniała w słowo. Nad rankiem tylko sen przyszedł odjąć moc myślom i sercu, a potem zanurzył w drzemaniu, ledwie trzymając za twarz.

W dworze hrabiego już zrana były wieści o ślubie Tekli bardzo dokładne. Sam hrabia jeszcze nie wiedząc o niczem, był w duszy cały dzień prawie dość niespokojny: trapiła go jakaś niezrozumiała tęsknota, nie odgadując powodów. Ale gdy się dowiedział z najdrobniejszymi szczegółami o wszystkim co zaszło wczoraj, a nawet zawczoraj, sam sobie mówił: — czy już do tyła mam przywiązanie do Tekli, że odgaduję jej losy? — Wielkie zdziwienie prawie co chwila mu kołysało myśli i serce,

wspomniał o rozmowie z nią w pasiece; zrozumiał dla czego w końcu była już smutną, miała łzy w oczach i pragnął choćby na chwilę ją spotkać. Wyszedł na ganek, chodził dość długo po wielkim dziedzińcu, odpędzał gęsi, indyki, które co chwila lały mu do nóg; przeszedł w tył domu, chcąc być wolniejszym i tam się znowu przechadzał; ale spostrzegłszy, że jest bez czapki, wrócił do domu i wzięwszy czapkę, chustkę do nosa, znowu wyszedł. Ze strony cerkwi zaczął w powietrzu głos się rozchodzić małego dzwonu. Hrabia nastawiał ucho, mniemając, że to złudzenie; nigdy w tej porze nic nie dzwoniło, ale głos dzwonka raz głośniejszy, to znowu ciszej jakby westchnienie jęczącej piersi, ani na chwilę nie ustawał. — Kogoś on woła, pomyślał sobie, lecz na co? — i poszedł w stronę gdzie stała cerkiew.

Krok jego był tak pośpieszny, że własne oczy nie poznawały, jak stanął u drzwi cerkiewnych. Wszedł, spojrzał po cerkwi, która mu prawie pustą się wydała; tylko na prawo około chorągwi ktoś klęczał, a przy ołtarzu ksiądz mówił zcichą mszę świętą i klęcząc także pochylał głowę. Był to ksiądz Łazar. Hrabia żadnych nie lubił modlitw, ani cerkiewnych, ani kościelnych i ledwie spojrzał na księdza; potem nie chcąc się nawet przypatrzeć kto mszę odmawiał, oglądał szczątki pomników.

Rozgruchotane grobowce przerażające robią wrażenie nawet na sercu nieczulem i zimnem! Hrabia w ostatnich czasach długi czas żyjąc w obojętności i w opuszczeniu moralnem z powodu ciągłych nieprzerwanych zawodów, trudności, które go w życiu czy gospodarskiem czy wszelkiem innem napotykały, na widok zgłiszcz jednak wstrząsnął się, zadrzął! — Na naszej ziemi, w naszej ojczyźnie, powiedział sobie, nawet umarli nie doznawają spokoju! Widać, że losy jednako cenią tak ludzi żywych, jak i umarłych! widać, że zmarli ludzie nie są nicością,

owszem chociaż dla oka są niewidomi, toć przecie muszą mieć jakieś istnienie, gdy los trzyma ich w ręku i prawie tak samo dotyka, tak samo gnębi jak i żyjących. Byłbyż to dowód, że człek nie znika nawet po śmierci?... ot wisi ręka na tym grobowcu złamana w samej pachwinie, jak gdyby była tak nieszczęśliwą, że czego nie robi, czego nie dotknie, wszystko jej się nie wiedzie... to moja ręka, powiedział hrabia, mam takąż samą! a oto głowa tak roztrzaskana w grobowcu, jakby osoby, która w nieszczęściach, w najokropniejszych zawodach życia nie była zdolna czuć życia, nie mogła myśleć, rozważać, radzić... jakby puściwszy samopas wszystko i wszystkich, w swem odrętwieniu, stygła... ta głowa, wskazując hrabia palcem na głowę, jest moja!

Chodząc powoli pod ścianą cerkwi, z ożywionem sercem i myślą, hrabia przypominał, że wśród grobowców powinien być jeden, pod którym prochy według miejscowych tradycji, miały z przodkami jego pokrewny węzeł i spójnię; gdzie był grobowiec, nie wiedział, bo prawie dotąd nigdy mu na myśl nie przyszło rozważać o tem... — Pewnie zburzony, powiedział sobie, znikł, jakby go nigdy nie było! szkoda! wspomniałem o nim już po niewczasie!

Cerkiew, jak była w chwili przybycia do niej hrabiego, tak również i teraz jeszcze się pustszą stała; ksiądz skończył służbę i odszedł. Hrabia usłyszawszy ciche westchnienie, spojrział po cerkwi; na prawo, koło chorągwi, gdzie był sznur niegdyś, a na nim wisała bielizna; w ukrytem miejscu klęczała Tekla. Hrabia przy wejściu zrazu się na nią nie patrzył, lecz teraz nieco uważniej rzuciwszy okiem na wszystkie strony, dostrzegł ją. Jakże znalazł ją inną! w tem samem miejscu po raz pierwszy on ją zobaczył i po raz pierwszy ją poznał; w tem samem miejscu chciał na jej twarzy dawniej obudzić rumieniec, chciał ją zawstydzić zapytaniami, których się dzisiaj sam wsty-

dził. Patrząc się na nią, wszystko to sobie teraz przypominał i milczał.

Tekla widząc niepokój hrabiego, wstała, mówiąc do niego: — dzień dobry panu! — W twarzy i mowie miała jak zwykle rozlaną słodycz, ale nie było już wesołości. — Zawsze witałam pana z uśmiechem, rzekła hrabiemu, dziś już nie mogę... jestem znękaną! przybyły do mnie nieznane dotąd strapienia.

— Nigdy tak jeszcze nie pragnął zobaczyć panią, rzekł hrabia, jak teraz; wczoraj nie wiedząc o niczem, miałem przecucie, że w losach pani coś się smutnego zdarzyło. A jednak jestem zdziwiony, że dobre przecucia nie powiedziały mi dotąd, że pani tu jesteś! — Może dla tego, rzekła mu Tekla, żem w cerkwi?... chcę naśladować dziadka w pasiece, a jak on chodząc około ulów, może w tej chwili modli się, tak ja pragnęłam... przynajmniej myślą krążyć wokoło. Wie pan, mam tu pokrewną lub jak ja również taką osobę... która i w dzień i w nocy, nigdy nie schodząc, zawsze na jednym przebywa miejscu, w tym grobie. Dopóki zdrowie jest we mnie, dopóki żyję, postanowiłam duchem tu zostać, jak ona cała zostaje się tutaj postacią! To mi cokolwiek przyczynia trudu, muszę się zmuszać, naginać wolę i chęci, które się nie chcą poddawać, ale cóż robić? Niech pan zobaczy... możeby nawet ta, która leży w tym grobie, chciała podobnie opuścić swój domek, zwiedzić te miejsca, które na ziemi były jej miłe... lecz już nie może! A potem mam smutek bardzo posępny i tę zgryzotę maluczką lecz ustawiczną, która mi towarzyszy we wszystkich poruszeniach, gospodaruje w umyśle, rozsiada się w sercu i bardzo zniechęca do świata.

Wyrazy Tekli idąc do uszu hrabiego, mocno go dotknęły: wypowiedziane w nich myśli tak uczyniły wszystkie przedmioty bez względu na czas i miejsce mu obecnymi, że w tejże chwili wiązał go jakiś stosunek z niemi. Uczuł przy sobie jakies

dawniejsze wypadki, a brzmienia słów Tekli rozchodząc się w powietrzu, ocknęły mu w oczach i powołały do życia takie zdarzenia, o których rzadko już myślał.

Słowo ma w sobie taką potęgę, iż zdolnem jest nawet natchnąć do życia i wskresić przedmioty tam, gdzie ich nigdy nie było; wywołać z grobu nadspodziewane wzruszenia, które w niepamięć poszły.

Hrabia widząc myśl Tekli przejętą wspomnieniem o zmarłych ludziach i dawnych czasach, przypuszczał, że w jej sercu jest jakieś poszanowanie naszej przeszłości, że może nawet w niej się obudza jakieś uczucie miłości naszego kraju i ziemi. Następnie przypuszczał nawet, że Tekla ma w pewnej mierze polskie usposobienie. — Ona nie robi różnicy, mówił do siebie, pomiędzy Rusią a Polską; dla niej istnieje tylko jeden kraj, jedna ojczyzna, która jest wspólną tak dla rusinów, jak dla polaków. Nie chce wyjść za mąż za pana Grzegorza, który zdaje się szukać ojczyzny sobie dla zysków i dla bogactwa, na dalekim Wschodzie; tem samem Tekla jakby dowiodła, że gardzi nim. — To przekonanie taką w nim wywołało życzliwość dla Tekli, a nawet wdzięczność, iż patrząc się na nią, prawie ją zaczął uwielbiać. — Smutek pani, rzekł do niej hrabia, związał nieustający mój własny smutek tak mocną wstęgą ze sobą, iż mi się zdaje, że to złączenie stało się dla mnie wieczystem! Niech pani wie o tem, iż moje serce jakibykolwiek nie był stan jego, dziś i na zawsze dla pani żyje! a jeśli były w niem już uczucia dla innej, to one tak się zatarły i tak pobladły, że nawet cienie z nich nie zostały. Niech pani wie o tem, że miłość dla niej bez dna i miary... — potem drżącymi rękami schwyciwszy za rękę Tekli, tak nagle i mocno do ust swych przyciskał, że Tekla ani się nawet spostrzegła, jak obie jej ręce były przy ustach hrabiego. — Panie, rzekła z bojaźnią, proszę mi tego nie robić! — Hrabia, któremu drżące

wyraży, bardzo stanowczą dały odpawę, puścił jej ręce; lecz widząc, że się nie bardzo tem rozgniewała: — proszę mię, pani, pocieszyć jednym wyrazem, proszę mi przyrzec, że wart przyjaźni, że pani serce nie jest mi obce, że w jej obecnym smutku najbliżej pani do swego serca mię przyjmie i w niem umieści jak powiernika, czciciela, sługę. Mogę-ż być pewnym tej łaski pani? proszę mi wyznać... błagam, zaklinam!

— Dziękuję panu, rzekła mu Tekla, za to współczucie... jestem osamotnioną... mój ojciec chociaż mi dotąd nic nie powiedział, jest pełen gniewu dla mnie... widzę to z ócz jego i odgaduję... gniew jego może jest słusznym... wczoraj tak mię odwaga odeszła, iż sama nawet, gdy o tem myślę... w tej samej cerkwi zerwałam związek, na którym mój ojciec opierał szczęście nie tylko moje, lecz całej naszej rodziny... Pan nawet nie wie, że w chwilach trosk i cierpienia każda życzliwość przynosi ulgę... obalamuca ciężary smutku... ale stokroć bym więcej wołała doświadczyć grzeczności pana na innem miejscu... bo cerkiew...

— Widzę, mówił jej hrabia, że od niedawna stała się jakaś odmiana w pani, że gdy uprzednio pani widziałaś, jak wielu innych, w cerkwi albo w kościele pewien przybytek, rzekłbym wyższej natury... — i zająknąwszy się nieco, zakończył: — kościół jest wszędzie na świecie naokoło ziemi... ja gdy stanę na kamieniu obok zgliszcz odwiecznych w starodawnym zamku, to się lepiej niż w kościele unoszę myślami i duchem.

— Ja nie wiem, panie, rzekła mu Tekla, co inni myślą, ja jednak tak potrzebuję Boga spokoju i Boga dobroci, że czuję, szukam, że mi się zdaje, że On jest w świecie.

Hrabia nic na to nie odpowiedział, drzwi się cerkiewne otwarły i wszedł ksiądz Łazar. — Czegóż tak długo tu siedzisz, dziecko? — rzekł ksiądz do Tekli, a zobaczywszy hrabiego: — nie wiem, powiedział zcicha, czy mię pan hrabia

poznaje? wszak to już mija lat kilka jak miałem zaszczyt ostatnim razem widzieć się z panem. — Hrabia spostrzegłszy księdza Łazarą, poznał go, ale tak był zmięszany niespodziewanem wejściem, że się o kilka kroków oddalił. — Kogóż ja widzę, mówił do księdza, czyż to podobna, aby w tem miejscu... przyszło mi teraz spotkać się z księdzem Łazarem, o którym nawet nie miałem wieści, czy żyje?

— Tak, panie hrabio, wiem o tem, że mi już dawno potrzeba było spoczywać w ziemi, starzy nie są potrzebni; lecz dobroć Boża trzymając nas jeszcze starych na ziemi, mnoży dla siebie kłopoty, bo potrzebuje troskliwiej czuwać, niżli nad dziećmi, a jak to pewnie ciężko, dla Niego trzymać takiego jak ja grzesznika... Niech Jego święta dzieje się wola, jako na niebie tak i na ziemi!

Tekla nie wiedząc wcale, że między księdzem Łazarem a hrabią była dawniejsza znajomość, z wielkiem zdziwieniem patrzyła to na jednego to na drugiego. Zdziwienie jednak było dla Tekli tak miłym, iż jej się zdało, że Bóg pokoju i Bóg dobroci, o którym niedawno mówiła, przysłał jej teraz najpożądańszą chwilę. Ksiądz Łazar był zawsze dla Tekli serdecznie usposobionym; jako staruszek wywierał on na nią głębokie uczucia czci i szacunku; spokojna, słodka i pełna poważnej uroczystości mowa jego wchodziła do serca Tekli z taką pewnością i ciszą, jak do wiosennych posiewów, pełnych zieleni, młodości i kraszy, przychodzą kłosa owoców i ziarna w późniejszym lecie, powoli zmieniając zielony ich pozór i wdzięki na inne nieco poważne, lecz również wdzięczne i miłe. Hrabia, chociaż mniej znany, także się Tekli zdawał bardzo przychylnym; ostatnia zwłaszcza jego rozmowa nie tylko w tem upewniła ją mocno, lecz nadto ją przekonała, że się w niej kocha. Lecz gdy ksiądz Łazar, jak również hrabia, zszedłszy się, nie znajdowali na razie treści do rozmów, wtedy i Tekla pragnąc

im nadać więcej swobody: — ja pójdę, ojcze, mówiła księdzu, do domu, pewnie rodzice już powstawali i ukłoniwszy się wdzięcznie, odeszła.

Hrabia długo się za nią obzierał i jakby okiem jej towarzyszył do wyjścia, zostawszy sam na sam, ujął za rękę księdza Łazara i cisnąc ją mocno: — dawno już, dawno, rzekł jemu, nie dotykałem tej ręki, która mi niegdyś okazywała tyle przyjaźni; zkądże kanonik powraca, zkąd jedzie? — Ksiądz Łazarz także go ścisnął bardzo serdecznie i chcąc zawiązać dłuższą rozmowę: — chodźmy ztąd panie, powiedział jemu, boję się w cerkwi mówić o rzeczach ziemskich kolei; będzie nam trochę swobodniej, kiedy staniemy pod niebem — i wyszli z cerkwi. — Może kanonik do mnie zawita, rzekł hrabia, chodźmy do dworu, dawno już bardzo ksiądz w nim przebywał, dawno już gościł!

— Prawda że dawno, ale czas jednak pomimo siły i swej potęgi nie mógł w pamięci wykosić o tem wspomnienia; gdyby posiadał najlepszą nawet żniwiarkę, to i z nią nawet nicby nie zrobił.

— To mię pociesza, rzekł hrabia, tem będę szczerzy w rozmowie z księdzem, tem będzie dla mnie korzystniejszem każde poufne i przyjacielskie z nim słowo. Jeżeli doprawdy mamy być szczerzy a jako dawni znajomi mamy odsłonić nawzajem serce dla siebie, jak było kiedyś, rzekł ksiądz, to powiem zaraz nie odwracając nowiny, że teraz jadę z domu hrabiny, żony pana hrabiego. Bardzo ją znalazłem zmienioną... wprawdzie twarz się została dawniejsza, ta sama piękność, którą Bóg daje niewiastom próbując zasad, w całej swej pełni została; ale w nastroju myśli, w usposobieniu, w rozmowie przybyły do niej nowe ewangeliczne ozdoby: słodycz i skromność, pokora i ciągła nieustająca w domowem życiu obowiązkowa praca. To ją w mych oczach bardzo podnosi wysoko i jestem

pewny, że ją Bóg także ocenia, tem bardziej, że nie ma w niej smutku, ani szemrania na los swój, ani pragnienia zmian lepszych, ani pragnienia pociechy; jest takie ciche poddanie się Bogu, jest zgodność serca z wyrokiem Boga tak doskonała, jakby jej życie przedło się zawsze ruchami z nieba i wiążywało Jego skinieniem! Byłem tam właśnie dni kilka; odpust, który corocznie ściąga do tej wsi wiele pobożnych i mnie staremu przypomniiał, że się należy stawić na służbę Bogu. Ponieważ dawno już w tamtych stronach nie byłem, więc usłuchołem natchnienia i pojechałem. Nie dziw się, panie, że o tem mówię; wiem o tem, że to są rzeczy, które trzeba poruszać z taką ostrożną uwagą, jakby się dotknąć pragnęło własnej źrenicy, ale mam jeszcze do tego inne pobudki. Świat lubi się bawić innymi ludźmi. Otóż wieści o panu chodząc po świecie, najrozmaitsze wzięły pozory: dość często mówią o panu hrabim w bliższem lub dalszem sąsiedztwie w ten sposób i zawsze z taką pewnością, jakbyś pan samotnikiem zostawszy, stworzył osobny i niebywały świat sobie. To już jest dosyć dla ludzi; z tego powstały coraz to inne i inne wnioski i posądzania tak dziwaczne, że je słuchając, pomimo woli nieraz w gniew wpadłem.

— Nie mając jednak zręczności widzieć się z panem, sam u przybyłem, najprzód by się przekonać, czy ludzkie mowy mają podstawę, a potem by go pocieszyć wiadomościami, które największej dla pana są wagi. Bo rzeczywiście, pani hrabina nosząc nazwisko i godność pana, związana życiem, wolą i sercem z osobą jego, pomimo czasu i oddalenia swojego, na tak wysokim zostaje szczycie, iż nie dziw, jak mówią ludzie, że pan ją teraz coraz to więcej ocenia i w niewymownej tęsknocie pragnąłby może na każdym miejscu i w każdej chwili dać jej dowody uwielbień swoich... nie prawda-ż, panie?

— Nie, kanoniku, powiedział hrabia, teraz za późno! był czas... gdy mnie ją uwielbiał... były dni takie, a może więcej były miesiące, w których chodziłem jak obłąkany... chciałem jej upaść do nóg, schylić głowę i pierś... dusza się moja rwała w kawałki, a dobywając na zewnątrz, walczyła z twarzą, chcąc ją rozszarpać!... Gdyby naówczas kto zażądał odemnie naj-ogromniejszej ofiary, byłbym szczęśliwy i zdolny nawet własne serce wyrwać z głębin piersi! Wiesz, księżu, że jestem trochę za dumny, nie łatwo głowę skłaniam przed ludźmi i nie potrafię im przynieść prośbę o litość... a jednak byłbym i to pokonał! Dziś już za późno, nie chcę ni myśleć ni mówić o pojednaniu, jam się już z tego wyleczył, czas wszystko leczy!

Ksiądz Łazarz nie przewidując takiej odmownej i tak stanowczej odpawy, nic już nie mówił; hrabia też zamknął i obaj po pewnym czasie uroczystego milczenia przeszli dziedziniec dworu hrabiego i potem weszli do domu.

Dom hrabiego bardzo głębokie i ciężkie zrobił na księdzu wrażenie, siadłszy na krześle ksiądz Łazarz, rzucił okiem na bezład, a potem pomyślał sobie, że to jest obraz nie tylko całego społeczeństwa, wszystkich warstw kraju naszego, lecz nawet całej ojczyzny! Porujnowane sprzęty domowe zdały się jemu tą utraconą ozdobą i blaskiem kraju, które w przeszłości zbudzając podziw ościennych władców, dziś stały się tylko nicością! albo je mole pojadyły, albo czas zniszczył lub płomień; albo co było pięknego, to wywieziono do innych krajów i tam sprzedano za bezcen żydom, lub zrabowali opiekunowie. Szttychy i malowidła porozwieszane na ścianach domu hrabiego, przypominały tak żywo dzisiejsze zasady i przekonania o moralności i cnocie synów naszej ojczyzny, obywateli krajowych; że nawet wiszące w domu hrabiego w nieskromnych kształtach obrazy niewiast niemieckich, tureckich i innych z wystawionymi

wdziękami, były jakby wspomnieniem tych niskich zmysłowych a zawsze tylko zwierzęcych porywów, które głęboko wkradłszy się w życie nie tylko młodzieży, lecz nawet często i w życie ojców rodziny z pobielonemi głowami, w coraz to głębsze, w coraz zawilsze pchając zasadzki, krwawemi słowy powyciskały najokropniejszy w ich czole nadpis: „*tu bezwstyd!*“ Sam zresztą dom nawet hrabiego pomimo pocziwych z swojej przeszłości pozorów, skurczył się, schylił i zbiedniał tak jak i kraj cały!

Wszystkie te razem wspomnienia tak żywo stały w myśli księdza Łazara, iż zapomniawszy o chwili obecnej, krzyknął ze smutkiem: „czyż to wina?“

Hrabia mniemając, że te wyrazy są powiedziane jakby w stosunku do dawnej rozmowy: — ja nie wiem, księżę... to przeszłość winna! — Nie, panie, mówił ksiądz Łazar, nie wcale! podnieśmy oczy w górę do Boga, zrzućmy ze siebie tę samolubną płachtę, która nam z życia i może z własnego ciała grubo narasta na czole, piersiach i w oku... osądźmy siebie! Mam przekonanie bardzo głębokie, że najbieglejszy sędzia na świecie z taką słusnością i cnotą nie da wyroku na innych, jak każdy człowiek nad samym sobą! tylko nie każda chwila bywa do tego stosowną! Ja będąc księdzem i spowiednikiem, najlepiej może znam świat dzisiejszy, bo w mojem uchu jak na dnie wody zbiera się osad ludzkich czynności w najrozmaitszych odcieniach! Każda jednostka, każda rodzina jest obciążoną wagą rdzy i zepsucia: jakaś pleśń gruba tak okrążyła koło społeczne, że się nie widzi czystego ciała. Gdzież są rodziny, gdzie owe gniazda czystości, ładu i cnoty? gdzie jest powaga, spokój domowy, praca, oszczędność; gdzie jest wewnętrzne zadowolenie siebie i innych; gdzie się podziały ewangeliczne przymioty?

Zadowolenie ze siebie jest często bardzo szkodliwe, ale zadowolenie z innych i dobrowolna w tym celu ofiara z siebie jest tylko jedyną podstawą życia ludzkiego! gdzie tego nie ma, tam tworzą się zaraz pomiędzy ludźmi potworne kółka jadu, trucizny i kału! Jestem kapłanem wschodnich obrzędów i wschodniej cerkwi, ale ze zgrozą spoglądam na tych współbraci moich, co się przewali ruskimi w tym tylko jedynym celu, by wicherzyć krajem i naszą wspólną, jedną od wieków ojczyznę i ziemię! Zkądże powstały te polityczne wichrzeńia, zkąd jest przedajność? bo nie ma ducha dobrowolnej ofiary; bo nie ma podstaw w życiu rodziny! Jest-li mąż który, co nie ma winy wobec swej żony? jest-li gdzie w kraju naszym uczciwa żona, któraby mogła zwać się niewinną wobec małżonka? A jednak życie rodzinne jest podwaliną całego kraju, bo czemu kraj jest? oto rodziną, która się tyle a tyle milionów razy powtarza na pewnej większej lub mniejszej kraju przestrzeni? Ztąd gdy w rodzinach są wady, to one w tem powtórzeniu po całym kraju rosną w miliony! ztąd zło wyrasta.

— Nasz czas jest boleściami przetkany, a kiedy wspomnę, że w moich oczach jeden zawiązek rodziny został star-gany, to mię ogarnia zadowolenie i radość. Myśl tę stosuję do ślubu, który miał się ułożyć pomiędzy panną Teklą a panem Grzegorzem. — Ostatni zwrot mowy do przedmiotu, który obchodził zanadto blisko hrabiego, wywołał dłuższe milczenie. Sam nawet ksiądz Łazar, znawca dusz ludzkich, nie chciał czas jakiś coś mówić, jak gdyby ważył w umyśle, czy to wspomnienie nie wydobędzie jakichś pozorów w twarzy hrabiego, tem bardziej, że Tekla będąc tak piękną, mogłaby łatwo olśnić, pociągnąć ku sobie każdego mężczyznę: a ich sam na sam rozmowa w cerkwi naprowadzała na domysł.

Hrabia przy wymówieniu imienia Tekli odwrócił twarz swoją, jakby się bojąc czy się nie zdradzi wyrazem oczu ;

a jednak ciekawość jego była tak zaostrzoną, że kilka razy zamierzał coś w tym przedmiocie zapytać się księdza, zwlekając tylko chwilę i zręczność po temu. — Zkąd-że pan hrabia, mówił ksiądz Łazar, poznał się z Teklą? — Hrabia zrazu półgłosem, niby z niechcenia, potem stanowczo zaczął już mówić, opowiadając kanonikowi jak, kiedy i gdzie się poznał. W tej jednak mowie były wyrazy tak wielkich pochwał dla Tekli, że się ksiądz zdziwił. Po wysłuchaniu hrabiego rzekł jemu: — widzę, że w nas obydwóch jest dla panienki głębsza życzliwość, z tą tylko różnicą, że mnie starego obchodzi dusza dziewczyny i jej kierunek moralny, a pana coś jeszcze więcej...

— Nie przeczę tego, mówił mu hrabia, wszystkie jej wdzięki są tak cudowne... że mówiąc prawdę, byłbym bez serca, ócz, ciała, gdybym nie powziął dla panny Tekli bardzo głębokie... — i nie dokończył.

Ostatnie słowa przyjął ksiądz Łazar z ogromnym smutkiem, nachylił głowę, zawiesił na czole jakieś uczucia boleści... ale wspomniawszy, że to pogorszy stan rzeczy, że w zawikłaniach podobnych nawet najdobitniejsze często dowody nic nie pomogą, z weselszem usposobieniem a nawet trochę z uśmiechem pytał swej roztropności i doświadczenia, co robić?

Hrabia spostrzegłszy uśmiech na twarzy księdza, dość się obraził, nawet rozgniewał, podejrzewając natychmiast, że ksiądz zapewne śmieje się z uczuć, które w uśmiechu cenić nie wolno, rzekł więc stanowczo: — proszę mi wierzyć, kochany księżu, że jego bytność jest dla mnie miłą... ale odwykły od towarzystwa, jestem drażliwy... a wszelki uśmiech trochę nie w porę przybyły, dość mię uraża.

Ksiądz Łazar trzymając głowę ciągle schyloną, podniósł swą rękę i dotykając do włosów, mówił hrabiemu: — te bielejące od smutków życia włosy na głowie mogą poświadczyć panu hrabiemu, że uśmiech twarzy był i jest dla mnie tak

mało znanym, że go zaledwie z imienia słyszę... Ja nie znajduję w tym świecie powodów do wesołości... owszem prawica Boża tak się nad nami już przeciążyła sprawiedliwością i sądem, że musi gwałt zadać swojej dla ludzi miłości, że musi karać; a gdzie jest kara, tam przebłaganie w najuroczystszym nastroju ducha może nas tylko wybawić. — Wiem o tem, mówił ksiądz Łazar, że hrabia byłeś dość nieszczęśliwym w małżeńskim życiu...

— To też dla tego, z pośpiechem powiedział hrabia, chciałbym raz jeszcze spróbować życia ślubnego... rozumiem także, że w tych zamiarach i w moim wieku należy najprzód być szczerym, a potem szukać u innych pomocy. Panna Tekla będąc dziś wolną, nie łatwo znajdzie i nie tak prędko czciela; zbyt osławioną jest dzisiaj, zbyt może wiele zyskała sobie niechętnych na świecie. Krok, na który się ona zdobyła w cerkwi, musi być bardzo rozgłośnym, wielu przerazi; prawda, jest piękną, godna być nawet boginią ziemi... wiem, że jest dla mnie bardzo przychylną... a chociaż jest ona bez stanowiska, znaczenia w świecie... to jednak jeżeli zważę, że dziś w Paryżu i w Wiedniu tyle jest osób najznakomitszych, które się żenią, nie oglądając się na ród i znaczenie... bardzo mi wielka bierze ochota żenić się z Teklą. Pomóż mi, księżu... wiem, że jej sprzyjasz i że jej losy bardzo cię, księżu, blisko obchodzą; pogadaj o tem... nie teraz jeszcze, lecz kiedyś potem.

— Nigdy nie byłem, odrzekł ksiądz Łazar, niczym swatem... a potem, czyż dla mnie księdza, który zasadza czynności ludzkie na Bożych prawach, przystoi teraz powiększać grzechy; bo rozdział z żoną pana hrabiego jest pogwałceniem sakramentalnej przysięgi! Bardzo mi smutno robi się w duszy kiedy pomyślę, że cała moja przedtem rozmowa o stanowisku rodziny i o zawiązkach małżeńskich na nic się nie zdała!

— To już minęło, to już minęło, wykrzyknął hrabia, tego poprawić nie można... dziś idzie o to, aby dziewczynie nie dać zmarnować życia i wdzięków, by ją ocalić z niepowodzenia! — Hrabia chcąc ująć księdza, długo tłumaczył, że jego myśli, jego zamiary zmierzają tylko do utrwalenia szczęścia dziewczyny, że on jedynie z pewnej litości lub ze współczucia dla panny powziął myśl ślubu; że w innym razie ani by o tem pomyślał; że w końcu, ponieważ zwierzył zamiary swoje z całem otwartem wylaniem serca, to prosi księdza o tajemnicę najbar dziej głuchą.

Ksiądz Łazarz słuchając hrabiego, nic mu już więcej nie odpowiadał, z ściśnionem sercem polecał Bogu i jego i razem tych wszystkich, co jak on również w lekkomyślności prowadzą życie na ziemi, w tym naszym biednym i nieszczęśliwym zazwyczaj kraju; a pomyślawszy na razie, że według zasady pisma Bożego: „jest czas milczenia i czas mówienia“, z najserdeczniejszym ukłonem i pożegnaniem opuścił dom jego i jakby nic nigdy złego nie zaszło, poszedł, szepcząc pacierze za siebie i grzesznych ludzi.

XI.

W domu plebańskim księdza Maksyma był tak powszechny niesmak i odrętwienie moralne, że nikt nie wiedział co myśleć, robić lub mówić. Nigdy ksiądz Maksym nie był tak bardzo posepny, niezrozumiały, gniewliwy jak teraz. W każdym spojrzeniu na Teklę, przy każdym z nią się spotkaniu jej okazywał tyle niechęci i rozdrażnienia, jakby jej nie chciał ni znać, ni widzieć. Żadnej z nią dłuższej nie miał rozmowy i żadnych zwierzeń; ksiądzowa tylko spotkawszy córkę z powrotem z cerkwi, rzekła jej ostro: — oto jest wdzięczność za wychowanie,

oto zapłata! cóż ty dobrego zyskałaś sobie? któż cię poślubi? zwiedniesz w panieństwie najstarszą panną na całym świecie! — To powiedziawszy, rzuciła na Teklę kością z talerza, która wielką i tłustą zrobiła jej plamę na sukni. Ciężko dla Tekli szło życie w domu: co chwila prawie widząc niechętnie dla siebie twarze, co chwila czując upośledzenie, wyrzuty; tak się jej zdało smutnem własne istnienie, że nie wiedziała czy lepiej skryć się, lecz gdzie i kiedy? czy w posagowem znosić milczeniu wszystkie wrażenia? Gdyby przynajmniej miała przy sobie powierniczkę uczuć i myśli i gdyby mogła wydobyć z serca co jej ciążyło? Chodząc cały dzień prawie w grobowej ciszy i zamyśleniu, jak gdyby pomnik anioła po nad mogiłą zmarłej osoby, coraz się więcej skupiało wewnątrz coraz to cięższych dla niej utrapień.

Praca, którą tak zwykle lubiła, nie przynosiła jej ulgi; owszem, ponieważ jej wykonanie zawiązywało większy lub mniejszy stosunek i mowę z matką, która dla Tekli była w każdym zbliżeniu nadzwyczaj ostrą, to sama praca stała się dla niej nieznośną. Jeżeli miała chwilami nieco swobody, to albo wtedy, gdy wyszła do cerkwi lub do ogródka; ale ogródek opustoszony nie miał powabu, a cerkiew również z poniszczonymi grobami przypominała najboleśniejże wspomnienia. Dusza jej odtąd szukała nadnaturalnych, nadziemskich wpływów, serce czuło potrzebę modlitwy; po kilka razy więc na dzień Tekla lejąc łzy z oczu, prawie bezwiednie brała natchnienia, by z nich wydobyć modlitwę i złożyć w niebie.

Ksiądz Maksym widząc, że w domu na każdym miejscu są jeszcze ślady tej uczyty, która go kosztowała tak drogo, a z której jednak pomimo świetnej nadziei, nie było zysków, starał się ciągle wychodzić z domu. Wszystkie rachuby księdza Maksyma tak go zawiodły, że unikając wspomnień, szukał rozrywki za domem. Wspomniawszy sobie, że jesień przyjdzie

i że należy myśleć o orce, posiewach; rzucił się z wielkim zapalem do gospodarstwa, na którym znał się, lubił je i w którym wzrósł i wychował się. Mając dość znaczne pieniądze, posłał diaka i palamarza po kupno różnych przyrządów, a sam zostawszy na miejscu, znowu się krzątał około nabycia i kupna gnoju do roli. — Nie chcę z żydami się wiązać, powiedział sobie, mam środki, pójdę do dworu hrabiego, dam mu pieniądze, niech on rozkaże wydać mi tyle a tyle gnoju do roli — i tak uczynił.

Hrabia przyjął księdza Maksyma z wielką radością; witał się, ścisnął go ciągle za rękę i prawie takie mu okazywał uczczenie, jakiego doznali diak i palamarz w konsystoryjacie przemyskim. — Niechże ksiądz siada, sam nie wiem gdziebym mógł księdza trochę wygodniej posadzić... przybycie księdza jest dla mnie taką radością, że mi słów braknie!... Zyskałem na wsi tak mi drogiego sąsiada, żebym się wstydził lada jak przyjąć. W mym domu ciągły jest bezład i nieporządek... jestem zakłopotany myślami, które mię blisko obchodzą... przygotowuję papiery... chciałbym już ostatecznie wziąć rozwód z żoną!

— O! to robota będzie nielada, mówił ksiądz Maksym, jest to korzystny interes, lecz na to potrzeba długiego czasu! rozwód małżeński! to jest kosztowne!

— Gdzie tam długiego? powiedział hrabia; w naszym obecnym bezwyznaniowym zarządzie rozwód tak się załatwia pośpiesznie jak nigdzie! proszę mi wierzyć, kochany księże, ja rzecz załatwię w trzy migi!

— Czy to poprawi domowe sprawy pana hrabiego? pytał ksiądz Maksym, ja nie rozumiem... w tym tylko razie...

— Nic nie wiem jeszcze, lecz mi się zdaje, że nawet bardzo poprawi, rzekł hrabia; bo cóż mężczyzna zrobić potrafi bez żony w domu? — Wpadłszy na przedmiot, który mu

dawał obfite pole do różnych rozmów, różnych dowodów, czem jest kobieta przy gospodarstwie i kuchni; czem jej wpływ w życiu praktycznem; co chwila czynił zwrot mowy do siebie, twierdząc że on się na to tylko rozwodzi, aby się zaraz z inną ożenić. — Ja zresztą, powiedział hrabia, nie mam przesądów, nie mam uprzedzeń, gotówem nawet z tą się ożenić, która ma piękność bez stanowiska, posagu.

— O! takich bardzo jest wiele na świecie, mówił ksiądz Maksym, o to nie trudno!

Hrabia mniemając, że może ksiądz Maksym ostatni wyraz stosował do swojej córki, tem bardziej, że nawet westchnął po cichu, układał w myśli, jakby to księdzu lepiej powiedzieć, jakby upewnić się zdala, czy po rozwodzie będzie mógł liczyć na córkę jego pannę Teklę, którą chciałby natychmiast poślubić. Ksiądz Maksym znowu zabrnawszy trochę w mowę o żonach, rozmyślał nad tem, jakby to zwrócić gawędkę do gospodarstwa i kupić gnoju do roli. Zakłopotani czas jakiś patrząc na siebie, to uśmiechali się potrochę, chcąc ukryć zamiar i swoje myśli; to znowu w nowych natchnieniach, które im przyszły, chcąc szczerzej mówić i szczerzej działać, już otwierali usta by coś powiedzieć, lecz język nie chciał być czynnym.

— Wie ksiądz co? w końcu przemówił hrabia, cóż to ja chciałem nadmienić? może ksiądz trochę pozwoli wódki? — O nie! dziękuję, mówił ksiądz Maksym, ja dosyć piłem. — To może wina dobrego, to się przy winie łatwiej pogada? — — O nie! dziękuję, ksiądz odpowiedział i począł kaszleć. — To może śledzia ksiądz nie odmówi? księża śledzie lubią. — I za to bardzo dziękuję.

Widząc że ucztą, na którą chciał zdobyć się, przeszła bez skutków, hrabia zaczął tak mówić: — bardzo kochany księżuniu! od pierwszej chwili poznania się naszego już miałem dla jegomości nie tylko pewne uczczenia jego kapłańskiej osoby

i cnót cerkiewnych, lecz nawet jego przezornej mądrości i wychowania! Od pierwszej chwili, idąc za serca wzruszeniem, odkryłem mu moje najboleśniejsze sprawy domowe i powiedziałem to, o czem ze samym sobą rzadko mówiłem... niech to zostanie niezbitym dla jegomości dowodem, że już od pierwszej chwili powziąłem najpochlebniejsze o jegomości zasady i przekonania.

— Bardzo dziękuję, odrzekł ksiądz Maksym, bardzo dziękuję, gdyby tak wszyscy mniemali o mnie, byłbym rad z tego.

— Ja tylko mówię, dalej rzekł hrabia, co serce czuje...

— I ja podobnież z całego serca czynię wyznanie, mówił ksiądz Maksym; bo na tym świecie rzadko kto innych ocenia!

Hrabia wspomniawszy sobie naukę księdza Łazara „o czci dla innych“ w zastosowaniu do społeczeństwa w Galicyi, mniemał, że się nastrocza mu chwila spełnienia wielkiego zadania, które na każdym obywatelu dotychczas marnie i bez użytku zalega; począł więc bardzo wychwalać księdza Maksyma i tyle czci okazywać nie tylko osobie księdza, lecz kapłańskiemu jego życiu i zawodowi, że ksiądz słuchając, już prawie myślał, że został świętym!

— Ja nie mam nic sobie do wyrzucenia, odrzekł spokojnie hrabiemu, a potem z dumą mówił podobnież: — niczem nie grzeszę, pracuję, a jeśli nie modłę się tyle jak inni, po całych dniach prawie marnując życie i zdrowie, to jeszcze lepiej! ja w mojem życiu nie czuję grzechów.

— I ja nie czuję! powiedział hrabia. Wie ksiądz dobrodziej, że w wielu rzeczach nasze zasady są tak podobne...

— Właśnie chciałem to samo powiedzieć, rzekł ksiądz hrabiemu, bardzo podobne! — Już ksiądz zamierzał napomknąć przy tem o kupnie gnoju, gdy hrabia nie dając księdzu przyjść do słowa, znowu powtarzał najprzód pochwały, potem wyrażał

swoją cześć dla księdza bez granic, a w końcu dodał, że to uczucie rozciąga się dalej, do jego całej rodziny, nawet do córki.

Ksiądz Maksym wstał, podziękował hrabiemu po kilka razy, potem się kłaniał ręką i nogą, a potem głową. Hrabia widząc ukłony, także się uczuł do obowiązku grzeczności; wstał więc i również kilka razy się skłonił. Potem nastąpiła cisza i obaj siedli. — Wie ksiądz dobrodziej, po chwili rzekł hrabia, że moje uczucia są tej natury, tego rozmiaru i położenia, tego powiedziałbym nawet koloru albo żywności... to jest właściwie tej wagi... że potrzebują uznania... Gdyby ksiądz tedy chciał wyrozumieć, przyjąć je, a potem gdyby ksiądz zechciał utrwalić wieczystym związkiem małżeństwa mego ze swoją córką... byłyby one wielkie jak niebo!... korzystne jak chmury w czas letni, nie tylko dla panny, lecz nawet dla całej księdza rodziny! — Ostatni wyraz powiedział hrabia z takim naciskiem, jakby dał poznać, że z tego wynikną nawet zyski dla księdza.

Twarz księdza natychmiast poczerwieniała, oczy przeszły płomieniem; powstał, skłonił się jemu, mówiąc że w swoim życiu nigdy nie spotkał tyle prawości i cnoty, tyle obywatelskich przymiotów; że cała przemyska ziemia wzbić się powinna do góry, w dumę, mając w swem kole hrabiego! Mówiąc z kolei o różnych zasługach hrabiego dla gospodarstwa i kraju, dla społeczeństwa całego, przypomniawszy o moralności, która go po nad wszystko odznacza. — Co się zaś tyczy mej córki, mówił ksiądz Maksym, to jeszcze teraz nie mogę dać odpowiedzi stanowczej... był pewien wypadek w jej losie, pewne zdarzenie... miała już kogoś bardzo wielkiego znaczenia i stanu, lecz odmówiła. Ponieważ jednak to się zdarzyło niedawno, więc trzeba czekać! Nim pan otrzyma rozwód ze żoną, mówił ksiądz Maksym, o który proszę się pilnie postarać; nim przyjdzie uchwała, to jestem zdania, że się ten związek ułoży.

Hrabia, bardzo uważny na obowiązki grzeczności, powstał raz jeszcze i znowu zaczął się kłaniać, dziękując księdzu za dobre serce, które nad wszystko w nim ceni. Ksiądz Maksym także powstawszy, upewniał, że dla hrabiego ma tyle czci i szacunku jak dla nikogo na świecie i że zmuszony odejść do domu, chciałby naprędce poprosić tylko o odstąpienie mu gnoju, że mu zapłaci według cen dziennych, byleby tylko miał pewność, że nie otrzyma odmowy. Hrabia bardzo się chętnie mu zobowiązał, dodając przytem, że wszelkie księdza potrzeby nim wymówione zostaną, z najżywszą spełni radością; to powiedziawszy, obaj się w końcu rozstali w najserdeczniejszym uścisku.

Gdy się tak działo w domu hrabiego, w plebanii księdza Maksyma szły rzeczy uprzednim torem. Zakłopotana księdzowa zajęta pracą przy kuchni, kończyła porządki, Tekla jak zwykle to tu, to ówdzie chodząc bez celu, nosiła smutki na sercu; ksiądz Łazarz zmówiwszy kapłański pacierz, który mu rzucił wiele utrapień i niepokojów i pokrzepiwszy długą modlitwą swój umysł, chodził około cerkwi patrząc na niebo. Spotkawszy Teklę idącą furtką z ogrodu, rzekł do niej: — czego ty dziecko jesteś zmienioną? to jest nie dobrze! Bóg często przysyła smutki jako dar łaski i jako błogosławieństwo niebieskie; im chętniej, im nawet weselej przyjmiesz je w sercu, tem więcej się Bogu podobasz! Uczucia smutku, które Bóg zsyła, należy przyjąć z takim weselem, jak gdyby najpożądańszą osobę; bo przez nie stajemy się Bogu podobni, a jak On w smutku powstał na ziemi i żył wśród ludzi, tak i my również nosząc spokojnie go w sercu, wchodzimy w stan ducha podobny Jemu. Nic nie ma zresztą trwałego: przeminą one! a są i tacy, którzy gdy smutki przechodzą i miną, to ich żałują, pragnąc dla Boga do nieskończonej cierpieć granicy. Nie myśl, że smutek przynębia ludzi, lub bezwładnymi ich czyni; owszem

on ma ukrytą potęgę w sobie, ducha podnosi, sił mu nadaje, odmyka oczy, dając im blaski jasnowiedzenia. Aby to wszystko pozyskać, potrzeba się tylko w nim rozmiłować i z taką przyjąć go wesołością, uradowaniem, pociechą, jakby dla duszy nic nigdzie w świecie ponętniejszego nie było! Każdy ma wiele cierpień na ziemi: one są ludziom tak nieodzowne jak to powietrze, woda i niebo! Szkoda że nie znasz panią hrabinę... już znasz hrabiego, lecz jeszcze nie znasz przezacnej jego małżonki!... nie żyją razem... jakieś nieszczęście... któremu imię „zawzięty szatan“ tak rozłączyło ich losy... z bardzo małej, bardzo nieznaczej przyczyny... że trudno im się zrozumieć... Powiedz mi jednak, lecz szczerą prawdę, co myślisz o hrabim? czy ty go kochasz? wiem o tem, że księdzu o to się pytać nie trzeba, to jest nie jego zakres... ale w tym razie, w tym wyjątkowym wypadku... hardzobym pragnął o tem coś wiedzieć! możesz mi szczerze powiedzieć... dokąd iść chciałaś?

— Ja chciałam spojrzeć, czy nie ma... hrabiego, mówiła Tekla; chciałam z nim mówić, jego rozmowa bardzo mi wiele coś niesie miłego i wyznać muszę, że przy nim czuję się trochę pewniejszą. — Jeżeli panna ma pewne upodobanie w stosunkach, odrzekł ksiądz Łazar, i w mowie z mężczyzną, to znaczy że albo go lubi albo już kocha. — Ja sama nie wiem, rzekła mu Tekla, nie mogę twierdzić żebym go bardzo kochała; ale ponieważ on się oświadczył z przyjaźnią dla mnie, więc ja z kolei chciałabym także... — Dziękuję tobie, rzekł jej ksiądz Łazar, za to wyznanie... wiem już o wszystkim... posłuchaj jednak... nie masz bynajmniej potrzeby za przyjaźń albo za miłość wnet się wywzajemniać! to dobre być taką z towarzyszkami, z pannami, ale z mężczyzną nigdy! Z tych zwierzeń poufnych, z tego wylania się serca mogą następnie się stworzyć takie wzruszenia serca i myśli, że tylko ślub i życie małżeńskie je uspokoją. Hrabia jest jednak żonaty,

sakramentalny ślub jego aż do samego grobu jest ważny: on się ożenić z tobą nie może i nie powinien... Czuwaj nad sobą, strzeż świętość cnoty, bądź tak uważną na swoją godność dziewczęcą, jak gdybyś kąpiąc się w rzece lub w stawie, ciągle z obawą na wszystkie strony patrzyła, czy kto nie widzi, czy nie podgląda cię czasem w kąpiele? Gdybyś ty знаła żonę hrabiego, gdybyś wiedziała ile w jej duszy zalega cierpienie, że się jej życie małżeńskie sponiewierało; że ta przysięga, przy której się łączą dwie naraz osoby, w niwecz obraca; pewniebyś sama ile sił stanie; ich skierowała do tego, by się napowrót złączyli! Ona nie winna, onaby nawet i teraz pragnęła dalej nieść brzemię życia ślubnego i dziśby z nim się złączyła, ale on nie chce! Nie stawaj zawadą!... owszem jeśli masz chwilę sposobną, to w krótkich słowach daj poznać, że go o tyle tylko oceniasz, o ile on spełni swój obowiązek dla żony. Staraj się jego myśl, serce kierować dla niej; bądź mu aniołem życia wyższego, szepcz mu do ucha o obowiązkach człowieka, o powinnościach męża, obywatela; ale to wszystko czyni w taki sposób, by on się wstydził, by bał się z tobą potem rozmawiać, bał się ci w oczy spojrzeć! Ja ci nie mogę wskazać dokładnie jak, kiedy i w jaki sposób masz mówić! Bóg dał kobietom tyle roztropnej uwagi, tyle tajemniczego pocucia, które się w głębi ich serca co chwila snuje, co chwila tworzy, że one same wystarczą. Spytaj się tylko twojej godności i twego serca, a one dadzą ci zaraz najdokładniejszą odpowiedź. Staw często siebie na stanowisku hrabiny, żyjącej zdala w osamotnieniu, we łzach, w boleści, że się rozerwał ten świętobliwy związek, który Bóg ustanowił dla ulgi życia i tak postępuj jakbyś pragnęła tej nieszczęśliwej kobiecie przysłużyć oddać!

Tekla z wielkiem wzruszeniem słuchała uwag księdza Łazara: młoda, niewinna jej dusza nie przewidywała, że ma już

teraz pewne na sobie wyrzutów znamię. Sumienie mocniej zaczęło trząść wszystkie gałązki i wszystkie listki uczuć sercowych, a raz zachwiane i kołyszące się serce gdzieś zdala przyprowadziło obawę. — Ja nie wiedziałam, rzekła do księdza, że żona hrabiego jest taką; teraz mię objął żal jakiś, szukając w głębi miejsca nowego, by się obrócić do tej, która gdzieś cierpi niewinnie!

— Bardzo się cieszę, mówił ksiądz Łazar, że od pierwszego razu poznałaś prawdę! czuję, że bardzo wiele jest w tobie tych przenikliwych i pięknych uczuć kobiecych, które są waszą prawdziwą ozdobą, kierunkiem w życiu i chronią was często od wielkich nieszczęść. Ale jeśli poznałaś błąd swój, to miejże głębokie zastanowienie, czuwaj nad każdym spojrzeniem i słowem twoim, nad każdym wyrazem twojej rozmowy!

Kiedy ksiądz Łazar kończył te słowa, a Tekla zebrawszy wszystkie swego postępowania z hrabim wspomnienia, patrzyła w przeszłość, myśląc co, kiedy, gdzie, o czem mówiła z hrabią; nadszedł ksiądz Maksym, wracając z dworu. — Dobrze, że was tu widzę, rzekł do nich, ciekawe stały się rzeczy! Ani myślałem, że Tekla tak zawróciła głowę hrabiemu, że chciałby z nią się ożenić! Mówił mi długo o jej przymiotach, a potem mnie jako ojcu bardzo wyraźnie oświadczył, że się chce z Tekłą połączyć! To rzecz szczególna! nigdy się hrabia tak mi nie wydał uprzejmym, nigdy tak nie był wylanym, dobrym, jak teraz... Gdym go poprosił o odstąpienie mi gnoju do roli, natychmiast z największą chęcią mi odpowiedział, że każe wydać ile mi będzie potrzeba! Sam nie wiem jednak, co teraz robić; lecz w każdym razie bardzobym prosił, by ksiądz kanonik do czasu jeszcze nic o tem nikomu nie mówił... są to wypadki potrzebujące namysłu... trzeba się najprzód dobrze rozwieść o interesach hrabiego... wiem, że ma długi, że jego wioska jest obciążona najtrudniejszymi sprawami... że nawet

żydzi więcej w niej teraz gospodarują niż hrabia, ale może się jeszcze da radę! Proszę cię, księżu Łazarze, o ile możesz, zbieraj wiadomość, pomóż w tej sprawie, bo ja tak głowę straciłem, że nie wiem co począć. — To rzekłszy, ksiądz Maksym uchwycił za rękę Tekli, pociągnął ją w furtkę, mówiąc że pójdą razem, by się naradzić z jejmością.

Tekla szarpnięta ręką ojcowską, przebiegła ogród, weszła wraz z ojcem do domu i wnet się skryła z przed oczu księdza Łazara.

— Cóż oni robią? — pytał ksiądz Łazar, czyż to podobna, bym ja przykładął rękę do tych zawikłań, które się coraz trudniej zgmatwały? — Mając uwagę na stanowisko kapłana, na swój wiek zresztą sędziwy, na położenie, z którego nawet mogłyby powstać zarzuty i posądzenia tak wielkie, że się z nich nawet by wytworzyły pozory intryg, wicherzenia i bałamuctwa; ksiądz Łazar rozmyślał nad tem, jakby się cofnąć i w uroczystem milczeniu polecić sprawę Bożej opiece i łasce; ale mając uprzednio od samej hrabiny pewne zlecenie, z którego nie mógł się dotąd wywiązać, poszedł aby takowe w dworze hrabiego załatwić, a potem powrócić do Przemyśla.

Przybywszy do dworu, ksiądz Łazar zastał hrabiego w bardzo wesołym usposobieniu. — O! jak to dobrze, mówił mu hrabia, że teraz księża częściej mię nawiedzają! Długi czas u mnie nikt z gości nawet przez próg nie przeszedł, teraz co chwila ktoś przyjdzie i samotnika rozerwie. — Nie mam właściwie, rzekł mu ksiądz Łazar, ani rozumu, ani przymiotów, któremi zdołałbym pana rozerwać; sprowadza mię tylko po raz ostatni chęć pożegnania pana hrabiego; chciałbym powrócić do domu. — To być nie może! tak prędko? niechże kanonik nas nie opuszcza, proszę się zostać, zabawić z nami; po tylu latach nieobecności warto dni parę poświęcić dla nas. — W mych latach, rzekł mu ksiądz Łazar, parę dni stanowią

wiele, mógłbym w tym czasie na innem miejscu coś zrobić pożytecznego ludziom i sobie; czeka mię wieczność, rachunek życia, a im kto bliżej jest grobu, tem śpieszniej musi załatwiać służbę na ziemi. — Potem ksiądz Łazar chcąc wznowić przedmiot rozmowy o żonie hrabiego, począł mu opowiadać o cerkwi, odpuszcie, z którego wracał, i wnet wyjąwszy z kieszeni dość gruby zwitek papieru, oddał takowy do rąk hrabiego, mówiąc nieśmiało, że mu był dany przez samą panią hrabinę w tym celu, by osobiście mu je wręczył. — Hrabia ujawszy zwitek, rozwiązał go i z wielkiem zdziwieniem dostrzegł pieniądze. — Cóż to oznacza? zapytał księdza. — To są pieniądze, które podobno pani hrabina żyjąc oszczędnie, miała uzbierać... mówiła przytem, że słuchy bardzo rozgłosne ze strony ludzi jej doszły... o smutnych pana hrabiego, zakłopotanych i trochę może nie zbyt udatnych sprawach tak w gospodarstwie jak i w majątku... więc... prosi, by ten zasilek mógł być przyjęty jako czasowy ratunek do wiejskich trudów...

Hrabia trzymając zwitek pieniędzy, rozważał jaka być może ich ilość? Rozłożył wszystkie pieniądze, bardzo starannie przeliczył, a widząc że się zebrało do kilku tysięcy, zgarnął je prędko, złożył jak były i położywszy na stole, po chwili oczekiwania znowu wziął w rękę.

— Niech pan nie gardzi, rzekł mu ksiądz Łazar, niech pan to przyjmie jako pożyczkę albo depozyt; w dzisiejszych czasach pieniądze jest wielką rzadkością na wsi. — Hrabia nic na to nie mówił.

Któżby w Galicyi nie wziął pieniędzy? któżby się wahał choćby na chwilę ujawszy w ręce, nazad je zwrócić? Są one tak wielką siłą galicyjskiego istnienia, iż łatwiej splamić to życie lub nawet stracić, niżeli się zdobyć na dobrowolne zrzeczenie pieniędzy. Hrabia dawno nie mając w ręku znaczniejszej kwoty, patrzył to na pieniądze, to na dłoń swoją, która ich się

dotknęła, jak gdyby jakiś świat nowy z nowem powietrzem i słońcem przybył do niego, zmieniając prawa ciężkości, ruch i wrażenia zmysłów. Odzwyczajony od piastowania w swej dłoni bankowych listów z kolorowaną obwódką, herbami, numerem i rysunkami, przezierał każdy papierek, nie domyślając się nawet, ile kosztował on trudów, ofiary, ile prac, usiłowań przy każdym życia oddechu zmarniało, nim go hrabina zaoszczędziła, ujmując sobie we wszystkim. Ciesząc się ciągle pieniędzmi, tak się zapomniiał z kądem one przyszły, od kogo, na co, że w tejże chwili układał w myśli, ile z nich pójdzie: na rozwód, ile na ślubne przygotowania, co kupi Tekli na upominek przedślubny i inne rzeczy.

Ksiądz Łazar myśląc, że się hrabiemu otwarły oczy, że uczcił pamięć najszlachetniejszej osoby, która mieszkając w ustroju i sama mając niezbędne do załatwienia potrzeby życia, wyrzekła się siebie, byleby tylko przyjść w pomoc skołataniem w zawodach mężowi; wziął czapkę i pożegnawszy hrabiego, odszedł do domu księdza Maksyma z zamiarem by się gotować do zupełnego wyjazdu. Dopiero w drodze przypomniał sobie, że należało mu jeszcze przy oddawaniu pieniędzy po raz ostatni wspomnieć hrabiemu o obowiązkach małżeńskich, ale się wracać już nie mógł; westchnął więc tylko, a poleciwszy Bogu dalsze zabiegi, stanął w plebanii księdza Maksyma.

Jakie były narady i jakie postanowienia w plebanii, ksiądz Łazar nie chciał się pytać. Idąc do łóżka, przy którym były jego kapłańskie ubrania i rzeczy, ksiądz Łazar spotkał się z Teklą, która tak miała oczy splekane jakby już była w najokropniejszym nieszczęściu. — Co tobie, dziecko? spytał się Tekli, czego ty płaczesz? — Łzy rosną mi w oczach, mówiła Tekla, do wysokości nieznanej; wszystkie ócz brzegi już są w powodzi, leją się one na twarz i piersi... bo od dni kilku, za co i na co, coraz to nowe prawie stadami zlatują do mnie

różne powody umartwień! Ojciec chcąc mię wybadać, czy przyjmę jego w wyborze ślubów postanowienia, chciał mię nakłonić do przyrzeczenia, że w razie rozwodu hrabiego, ślub z nim wykonam, zostanę jego żoną! Jam się oparła, odpowiadając że nie chcę! mogę-ż się zgodzić na ślub z człowiekiem, któremu sprzyjam... z którym rozmowa idzie mi może weselej niż z każdym innym... którego może... ja nawet kocham... bo mi tak było zawsze przyjemnie z nim coś rozmawiać... patrzeć na niego, być obok przy nim; ale on moim mężem być już nie może, ma inną... i z tego płaczę! — To mówiąc, Tekla takim gwałtownym wybuchła łkaniem, tak się jej szyja ścisnęła przechodem burzliwych uczuć, iż się zdawało, że nawet niebo rozkołysane najpopędliwszem powietrzem i błyskawicą, ciszej się trzyma!

Z tego wyznania ksiądz Łazarz spostrzegł, że Tekla ma dla hrabiego silne uczucia, że go gwałtownie już kocha; że jeśli zresztą odpowiedziała, że za mąż za niego nie wyjdzie, to tylko ją powstrzymały te przyrodzone dobre skłonności i te natchnienia, które przy młodych latach same powstają, same się tworzą bez usiłowań i pracy. Być może jeszcze, że oprócz tego przeszkody ślubu w niej jeszcze więcej wzbudziły uczuć i przywiązania, a bez nich możeby nawet nie przyszła do nich. Jest coś albowiem wyjątkowego w dziejach dusz ludzkich; im więcej przeszkód, niemożebności się złączy, tem bardziej ludzka istota dąży do przełamania takowych, a chociaż nieraz w zapasach losów zmarnieje, zniszczy się, utraci zdrowie i życie; toć jednak walka nie słabnie i nie ostyga zupełnie. Zdaje się nawet, że ten kierunek, tó tajemnicze a naturalne piętno i cecha człowieka może najbliżej go łączyć ze światem roślin, nawet ze światem zwierzęcym, gdzie się podobnież te same objawy, taż sama skłonność do przełamania niedoścignionych trudności rozwija i tworzy.

Ksiądz Łazar patrząc na Teklę, żałował bardzo jej uczuć i jej skłonności tak nieprzydatnie zastosowanych; lecz w takich razach nic nie pomogą ani uspokojenia, ani namowy! Trzeba dać czas łkaniom i płaczowi; niech wyjdą z piersi, niech przy wychodzie wstrząsną naturę, twarz, oczy, byleby wyszły! Ich każde przejście z wewnątrz na zewnątrz musi być bólem; one w cierpieniach rosną, powstają, a potem w tychże cierpieniach wydobywają lot swój i ruchy, wskazując ludziom swoje istnienie.

Gdy jednak Tekla, kryjąc swe oczy białą chusteczką, w nieruchomości jak gdyby stygnąć poczęła, a żaden odgłos, żadne westchnienie nie przerywały spokoju; przybyła cisza z nadzwyczajną zręcznością, ale zarazem z pośpiechem, lekką i przeźroczystą zapuszczała z góry zasłone, nie chwiejąc i nie kołysząc pogrążonego nawet we śnie powietrza! Wówczas w tym uroczystym nastroju ksiądz Łazar westchnął i wzięwszy słów kilka z Bożego pisma, powoli wkładał do serca Tekli, prosząc by je przyjęła. — Są one, mówił półgłosem, z tak cudownego tryśnięte źródła, że gdy się dótkną i zbliżą, wnet cała postać człowieka przy najburzliwszych wstrząśnieniach, okrywa spokojem, ciesząc się niemi! Najpożądańszem dla nich ustroniem jest właśnie serce kobiety; w niem rozkoszują, do niego wchodzi, w niem się blaskami zdobią, rzucając potem najcudowniejsze promyki swoje na myśl i sumienie! Powiedz mi teraz, pytał się głośniejszym głosem ksiądz Tekli, czy je przyjęłaś, czy przyłożyłaś do serca? — Przyjęłam, odpowiedziała mu Tekla. — Cóż teraz czujesz? powiedz otwarcie. — Czuję to samo, co ksiądz powiedział, rzekła mu Tekla, bardzo mi z niemi spokojnie, cicho, bardzo łagodnie! dawno tak było! — Widzisz, dziewczyno! chowajże słowa Bożego pisma, noś je przy sobie, pielęgnuj!... zapewne one jak wszystko, starań czekają, posługi woli, gościnnych oznak; ale natomiast tak odwdzięczają się rychło skarbami swemi nieocenionych podarków, że się świat

prawie cały zyskuje i nowe życie! będziesz je chować? — Będę, mówiła Tekla, proszę być pewnym!

Boże wyrazy z niebieskich krajów zszedłszy na ziemię, utkwily w myśli dziewczęcej, wzmocniły duszę, uspokoiły wrażenia; a Tekla czując je w sobie, coraz to większe miała uznanie dla natchnień z nieba i dla modlitwy.

XII.

Przybycie księdza Maksyma do Złotówki było wszystkich jego zamiarów nieprzerwanym zawodem, który się w końcu zmienił w nieszczęścia. To, co kiedyś wyrzekli wieśniacy, wychodząc z karczmy, przy powitaniu z księdzem Maksymem, albo właściwie co wyrzekł dziad z lirą, „że się nieszczęście zdarzyło“, patrząc na księdza Maksyma, który zaledwie i po raz pierwszy po uderzeniu piorunu przyjechał do wsi; to się zaczęło coraz to sprawdzać. Zaręczyny Tekli na cerkiewnym cmentarzu, a potem ślub rozerwany z panem Grzegorzem, nie przeszły bez następstw; owszem sprowadziły one nieprzewidziane przykrości. Ksiądz Maksym otrzymał właśnie dość gruby przed chwilą zwitek papierów z konsystoryjalną pieczęcią, z numerem; a do pieczętki na laku, według zwyczajów na Wschodzie, dostrzegł kilka niewielkich włosów z gęsiego pióra zlepionych razem. Było to uprzedzającą oznaką, że papier bardzo jest pilny.

Ksiądz Maksym z bojaźnią odpieczętował papiery, czytając następujące wyrazy. Dnia i miesiąca takiego to konsystoryjat w Przemyślu na podstawie zeznań wiarogodnych i wysoko położonych wschodniej cerkwi hierarchicznych osób, następujące otrzymał doniesienie: 1) Że podczas ślubu we wsi Złotówce, który miał się odbywać w cerkwi wschodnich ob-

rzędów, dnia tego a tego, o tej godzinie, podczas uroczystego nastroju dusz ludzkich i nabożeństwa przy zapalonych świecach i konastasa, powstały tak niegodziwe, najokropniejsze zgorzenia, oraz zniewagi świątyni Bożej, że tylko szatan, ten wróg zacięty nieba i ziemi, byłby w możności to uskutecznić!

2) Miejscowy paroch (imię oraz nazwisko jego, lat takich, żonaty, mający córkę i t. d.) nie tylko nie dążył do poskromienia zgorzeń oraz zniewagi dla cerkwi, lecz będąc pijanym z powodu nałogowego usposobienia swego, takowe z rozmysłu i podtrzymywał i zwiększał.

3) Gdy powstawały najrozpuśtniejsze w cerkwi wschodnich obrzędów i rozpasane w swych namietnościach ludzkie czynności i zbrodnie, których opisać zarząd konsystoryjatu ze względu tak na powagę, jak również na świętość swego urzędu nie może i nie powinien; a obok zbrodni gdy się zaczęła w cerkwi rozwijać wrzawa; wówczas nastąpiła pomiędzy ludźmi największa bitwa; krew się połała od ran i ciosów, plamiąc świątynię wschodnich obrzędów i znieważając jej ściany widokiem, któryby nawet zhańbił każdą siedzibę pospolitego człowieka....

Punktów tych było kilka arkuszy, a w końcu postanowienie konsystoryjalne brzmiało w następujących wyrazach: Baczac to wszystko przemysłski konsystorz uchwalił: 1) zapieczętować cerkiew we wsi Złotówce do czasu jej oczyszczenia i poświęcenia, które nastąpi osobnem rozporządzeniem konsystoryjatu. 2) Zawiesić wszystkie kapłańskie księdza Maksyma wschodnich obrzędów czynności, odjąwszy mu prawo spełniania posług sakramentalnych. 3) Niniejszy wyrok posłać natychmiast do wiadomości dotyczącego parocha i wręczyć stronie za własnoręczną rozpiską, z tem nadmienieniem, że się wytacza prócz tego jeszcze osobna sprawa według kodeksu kryminalnego i paragrafów takich a takich.

Otrzymałszy ten papier, który na głowę księdza Maksyma tak spadł nieznacznie, jak ciężki obuch, czytał go znowu i sam nie wierząc ani własnym swym oczom, ani umiejętności czytania, zawołał księdzowę, której polecił także ten papier przeczytać. Lecz gdy księdzowa dosłownie to samo odczytywała, a doszedłszy do słów wyroku i uchwały, zaczęła się jąkać w czytaniu, lub nie domawiać wyrazów... wtedy oboje rzuciwszy papier na ziemię, zaczęli przeklinać świat, ludzi, biskupa i wszystkich członków konsystoryjatu w Przemyśle, a potem i samą sprawę rusińską!

Ksiądz Maksym twierdził, że to ów pierwszy referent, kanonik, lub może pan Grzegorz przez zemstę zrobił; że może oba tak podmówili konsystorz, że ten ogłosił wyrok! Księdzowa znowu z taką pewnością opowiadała, twierdziła i przysięgami najrozmaitszych i najtrudniejszych zaklęć udowadniała, że to szatani z samych czeluści piekielnych, dobywszy z rogów albo z diabelskich swoich ogonów jakąś nieznaną i niesłyszaną dotąd *sprawę rusińską*, porozrzucali w Przemyśle wieść o niej wszystkim parochom wschodnich obrzędów, by ich poniszczyć i pchnąć do zguby! Że całe piekło siedząc przy stole z zielonym suknem, przez kilka wieków rozmyślało, radziło, coby wyszukać... że naznaczało przez wiele wieków nagrodę temu, ktoby wynalazł coś skutecznego dla powichrzenia i podburzenia wszystkich parochów wschodnich obrzędów w przemyskiej ziemi... że wygrzebawszy *rusińską sprawę*, w samych czeluściach wielkiego piekła grzniały wiwaty z tego powodu w takim rozgłosie, że aż w powietrzu powstała burza... i że na końcu uszczęśliwieni z tych wynalazków wszyscy szatani nuca podobno dodziśnia jeszcze *Mnohaja lita* po całym piekle!

Ksiądz Maksym słuchając żonę, bardzo się mocno zamyślał, stały mu w oczach wszystkie wypadki pierwszego jego przyjazdu... karczma i żydzi, nagły grzmot z nieba w czasie

samego przyjazdu, a nawet przestraszyć wieśniaków! a rozmyślawszy po chwili, krzyknął z rozpaczą: — niech djabli wezmą wszystkich rusinów, wszystkie rusińskie uroczystości, słupy, nadpisy na słupach i cały konsystorz! — To powiedziawszy, kazał swej żonie postawić wódkę, przynieść ostatki piwa i wina, i zaszczerpnawszy drzwi izby, razem z księdzową w małżeńskim kółku pocieszały się wzajem częstunkiem zawsze wesołych napojów.

Ksiądz Maksym pijąc wraz żoną dla poskromienia albo zabicia smutków, z początku nic prawie nie mówił, zalewał gardło i usta coraz to nowym strumieniem, jak gdyby pożar wewnętrzny; lecz potem kiedy następstwa wyroku coraz mu żywiej do oczu zaglądały, zaczął się gniewać, kłaść najokropniej wszystkich znajomych i nieznajomych parochów. Księdzowa mu pomagała, tak że oboje po wymówieniu coraz to innych przekleństw, popryskiwali je winem z kieliszka, by w tej wilgoci leciały w górę do najwyższych szczytów.

Ani ksiądz Łazarz, ani Tekla nic nie wiedzieli jeszcze o tym zabójczym dla księdza Maksyma wyroku. Wyszedszy z domu, wstąpili w ogród i tam nosząc w swem sercu jak gdyby świeżo rozkwitłe z własnych oddechów kwiatki z lazuru, mniemali, że czują w sobie, we własnych piersiach, widząc na górze w niebie, a nawet w dole na ziemi, niezapominajki z błękitu. Tekla pragnąc być szczerą, mówiła księdzu, jak jej szczególnie stoi w pamięci pobyt w pasiece, rozmowa z hrabim, las, strumyk, lecz przedewszystkiem opowiadała o pasieczniku. Wspomnienie o tem wywoływało coraz to nowe wrażenia, a dziad-pasiecznik, jego modlitwy około ulów, opowiadania o zmarłej niegdyś księdzowej, której nagrobek był w cerkwi, zajęły księdza Łazara tak mocno, że obudziwszy wszystkie dawniejsze przejścia i dzieje, zaczął sam Tekli bardzo dokładnie tłumaczyć, że tę księdzową znał bardzo dobrze i że obecnie patrząc na

"Teklę, najuroczyściej potwierdza, że jej twarz, oczy, że cały pozór dziewczyny tak są podobne do zacnej nieboszczki, iż go to wprawia w wielkie zdumienie! — Gdyby doprawdy, mówił ksiądz Łazar, chciałaś nie tylko z twarzy, ale i z serca i z charakteru, a co najwięcej z jej moralności, z przekonań być do niej podobną, chwaliłbym Boga osobno przez wszystkie wieki za tę pociechę! Ty nie wiesz, dziecko, jakie to dla mnie jest szczęście, kiedy się cnota rozszerza, gdy widzę, że ktoś na ziemi żyje po Bogu; a nie zważając na złe przykłady, odwraca oczy, wznosząc je w niebo! Ty nie wiesz czym jest dla księdza chociażby jedna zyskana dusza dla celów Boga? Nie wiem czy się raduje, czy się weseli kiedy tak ojciec wydając syna, lub córkę za mąż w najpomyślniejszych jakie są tylko warunkach świata, przy najobfitszych dostatkach bogactw, klejnotów! Bo czym są one? marnością tylko! Ileż to bogactw, przepychu było już w rękach człowieka, ile godności czy senatorskich, czy to królewskich zmarniało w świecie, nie zostawiający wspomnień o sobie!

— Wszakże nie twierdę by ślub małżeński był niepotrzebny albo niedobry dla ludzi; owszem, kto w nim już został, niech dźwiga trudy! Ślub i zamęście bardzo się ładnie wydają, gdy je zdaleka, nie dotykając się sami, lecz tylko myślą, albo uczuciem cenimy; on jest podobnie jak każdy inny stan, obowiązek lub praca, nadzwyczaj trudny! Jest to ofiara upodobania, zwyczajów, woli i chęci, a nieraz nawet własnych przekonań, własnych najbardziej drogiej zachceń, przyzwyczajenia. Całe się życie w nim ofiaruje do tego stopnia, że je naginać co chwila trzeba dopóty, póki nie schyli się ono jak gałąź drzewa po nad jeziorem lub rzeką. Widziałaś czasem, jak gałąź drzewa rosnąc nad wodą, zastosowuje do niej kształty i pozór, jak ze wszystkimi liśćmi swoimi skurczy się, skręci wisząc nad wodą?... to obraz życia w małżeństwie!... słońce

je nieraz przez całe lato do góry nęci, niebo chce je pociągnąć do siebie, ale napróżno! one się muszą pomimo woli naginać na dół i w pokrzywionej postaci jakby opadać! Kto w śluby wstąpił, niech dźwiga trudy... ale cóż mam powiedzieć o tych osobach, które jak hrabia, nie pełniąc zobowiązania i mając żonę, chcą tylko igrać z zasadą! Nie chcę obmawiać hrabiego, lubię go dosyć, znam go oddawna, lecz mam mu za złe, że raz wstąpiwszy w zakon małżeństwa, nie chce się poddać warunkom jego!

— Nie śpiesz się dziewczce, nie śpiesz bynajmniej w ślubne podwoje, bo nowe prace i powinności, które w dzisiejszych czasach w nich stoją, mogą cię zachwiać i w bezsilności zatrzymać. Co do mnie, chciałbym cię w tem życiu widzieć szczęśliwą, lecz ślub, jeśli do niego przywiązujemy radość, pomyślność, ma tyle w sobie nieprzewidzianych zawodów, trosk, smutków, rozczarowania; że tylko samo im się poddanie i dobrowolne zniesienie przynoszą ulgę. Taką przez całe życie była nieboszczka księdzowa, o której ci wiele dziad opowiedział, taką być trzeba i tobie na każdym miejscu i w każdym stanie.

Wspomnienie nieboszczki księdzowej robiło na Tekli niewysłowione wrażenie. — Wie ksiądz dobrodziej, mówiła Tekla, że jej grób w cerkwi jest już zniszczony? ostatnia po niej pamiątka runęła całkiem; jeśli się dowie pasiecznik o tem, pewnie zapłacze. — Wiem o tem, ksiądz odpowiedział, to są oznaki dzisiejszych czasów, zasad, przekonań! Chcą przeszłość zniszczyć, chcieliby nawet ją zgładzić z dziejów narodu i kraju; ale mam wiarę w Boga, że to są tylko chwilowe bryzgi kałuży! ludzie się muszą i opamiętać i być lepszymi, ale nim to nastąpi, chcą się wykąpać w cuchnącem źródle, otrzeć nos, oczy, twarz całą pleśnią i brudem, by się przekonać, że one plamią i zaraźliwym wyziewem cuchną okropnie! Takimi nasi są dziś rusini!

Gdy się staruszek dłużej rozgadał, znosząc co chwila coraz to nowe jak zawiniątka przeszłości, z których dobywał dawne zwyczaje, życie domowe, publiczne, rycerskie; ludzki stosunek w cerkwi, w kościele, w całym kraju; Tekla poznała najdokładniejsze dzieje przeszłości z żywych wyrazów. Nie miała ona środków dotychczas, ani możliwości znać losy ziemi, na której wzrosła; jej się zdawało, że graniczące wielkie obszary państwa na Wschodzie są rajem, zbrukany tylko przez zazdrość, lub przez złą wolę pewnego stronnictwa w Galicyi. Ale gdy jej ksiądz Łazar, biorąc sam udział w kilku powstaniach w zabranych krajach i znając wschodnie osobliwości w najbliższych szczegółach, wierny dał obraz tak stanu kraju, jak również i społeczeństwa; ten ucisk oraz najdziwsze prześladowania narodowości, języka, wiary; gdy mówił o wyniszczeniu w samej podstawie tam domowego ogniska, zwał po imieniu osoby, miejsca; wówczas wzruszone serce młodej dziewczyny, tak się burzyło tą nikczemnością, że w głos krzyknęła: — Wschód to jest piekło!

Któż w młodych latach nie roił sobie o szczęściu życia, któż w wyobraźni nie snuł obrazy sprawiedliwości, zadowolenia, spokoju, cnoty; któż nie miał o ludziach najpowabniejszych przekonań? gdy one jednak zawiodą, kiedy się słyszy o zbrodni i gdy się widzi ich najbrudniejszą postawą; wówczas powoli przychodzą rozczarowania tak wielkie, że cała ziemia powierzchnia straszy, oburza! Tekla w ostatnich czasach dość miała własnych przejść i wzruszeń! Nie mogąc się nawet zbliżyć do serca rodziców i cieszyć ich obecnością, uczuła się obcą na ziemi. Widok gniewnych twarzy najbliższych dla siebie osób, które przy każdej sposobności okazywały jej, że jest im ciężarem, że ich zawiodła oczekiwania, był powodem, że Tekla ocknęła się nagle na krańcu dwóch światów, nie wiedząc, do którego przystąpić, w którym z nich jej należało ustalić się.

Ten stan jej tem się bardziej pogorszył, gdy ksiądz Maksym otrzymawszy z konsystoryjatu zabójczy wyrok, odsądzający go od cerkwi, szukał rozrywki w napojach; a tak często był nieprzytomny, że trudno mu było nie tylko coś zwięźle powiedzieć, lecz nawet przejść koło ludzi, nie uderzywszy ręką lub nogą. Z tego nałogu powstały rozdrażnienia mózgowe tak silne, że biedny ksiądz Maksym rzucał się, podnosił pięście, bił niemi po stole, kłął i złorzeczył całemu światu, wołając że wszystkich podusi i wrzuci w studnię.

Tak przeszło dni kilka. Ksiądz Łazar prawie się codziennie wybierał i prawie się ciągle pakował, aby powrócić do Przemysła, lecz każdym razem coraz to nowe przeszkody, lub sama litość powstrzymywała go od wyjazdu. Widząc że coraz to nowe ciosy biją w dom księdza Maksyma, staruszek nie chciał opuszczać miejsca, w którym od czasu do czasu mógł to słowem, to samą już obecnością albo opamiętywać stroskanych ludzi, albo przynajmniej chronić ich od ostatecznych upadków.

Ksiądz Łazar największe jednak wpływy wywierał na Teklę, unosząc jej myśli do Boga i wskazując w niebie jedyne źródło pragnienia i otuchy, doszedł do tego, że Tekla nie znajdując w niczem na ziemi uspokojenia, szukała życia w krainie własnego ducha podniesionego do nieskończonych granic wieczności. Ten zwrot był tem gwałtowniejszy i tem więcej budził porywów w natchnieniach, im bardziej ciążyła jej obecność. Zatopiona w najponętniejszych obrazach, oświeconych blaskami nigdy niezmiennej pogody i niczem nieprzerwanej uroczystości i ciszy, młoda jej dusza tak się topiła w otchłani niebieskich smug, iż jej się zdało, że tam przebywa jej własna rodzina, jej ślubne łoże, jej upojenie ócz, twarzy i wszystkich zmysłów niewieścich.

Tymczasem hrabia otrzymawszy z rąk księdza Łazara dość znaczny zasilek pieniężny, na innem polu rozwijał czyn-

ność w zamiarach swoich. Twarz miał ożywioną, wesolą, myśli coraz to nowe snuły mu nadzieje lepszego życia; a tworząc różne obrazy swojej przyszłości, ciągle się łudził, a nawet więcej i pewniej niż kiedy, że się ułoży i uskuteczni jego ślub z Teklą. Wprawdzie część z tych pieniędzy poszła na zapłacenie ważniejszych i gwałtowniejszych długów żydowskich; lecz pozostałe użył na kupno najrozmaitszych drobiazgów, które o tyle mu były potrzebne, o ile je oczy dostrzegły. Wróciwszy z miasta, w naładowanym przywiózł je wózku i dopiero w domu przy rozpakowaniu przekonał się, że niektóre z nich były pobite i poniszczone, niektóre widocznie w samym sklepie żydowskim były zmienione na inne gorsze, ale tak wprawnie i z taką zręcznością, że pomimo wielkiej uwagi i pilności hrabiego, rzecz się udała żydowi jak najpomyślniej. Zdziwił się bardzo, że w liczbie sprawunków, które do domu przywiózł, znalazła się nawet jakaś lalka dla dzieci, której nigdy nie kupował, a którą żyd jednak wpakował, wyjąwszy cichaczem jakiś inny natomiast i cenniejszy przedmiot, już zapłacony uprzednio. Hrabia ująwszy w ręce lalkę, przewracał ją na wszystkie strony, opatrywał nogi i ręce, a zdarłszy z niej suknię, हुआ ją w górze, w powietrzu i zamiast śpiewów, zlorzeczył żydowskiej przebiegliwości, oszustwu, potem postawił na stole, mniemając że jeszcze może na coś się przyda. W liczbie zakupionych sprawunków były osobno dla Tekli, tak cukierki jak również inne upominki, które natychmiast zawinąwszy w osobny i ładniejszy papier, wziął z sobą, aby takowe osobiście jej wręczyć.

Wyszedłszy z domu, z wielkim pośpiechem udał się do plebanii księdza Maksyma, układając w myśli co przy tem on powie, co ona albo rodzice, nie spodziewając się pewnie ani przybycia, ani podarków jego. Gdy przyszedł, nie zastał w domu nikogo prócz Tekli, bardzo zmienionej i smutnej nie tylko

w twarzy, ale i w całym pozorze. Znalazł ją właśnie stojącą w tem samem miejscu, na którym niegdyś za pierwszym spotkaniem okryta kwiatami, opowiadała mu swoje wesołe i ruchliwe życie, a chwielejąc rękami, tak silnie niemi wstrząsnęła, że wszystkie warkocze i kosy włosów opadłszy z głowy, wiły się po niej jak bluszcz zalotny w najradośniejszych płasach i skokach. Cała postać Tekli była tak wówczas pociągającą i tak ponętną, że męskie oko wszystkie swe dobywało z głębi najgorętsze płomienie, by ją pochłonąć i spalić w sobie. Jeżeli w myślach hrabiego zakolysały się kiedy wspomnienia o niej, to wnet zarazem stawały mu w oczach wszystkie piękności wdzięków dziewczyny, jej cała kibić zasiana taką rozkoszą kształtów, koloru i ruchów, że wszystkie zmysły hrabiego najzawziętą toczyły walkę ze sobą, w czem i któremu one się zdały cenniejsze!?

Przy takich marzeniach i w takim usposobieniu przy rozpalonym ognisku wzroku, hrabia stanął przed Teklą, już się zawczasu przygotowując, że ją okryje pieśczośliwymi słowami swych najgorętszych do niej popędów. Trzymając w ręku różne pudelka, które miał oddać, hrabia dotknął jej rękę, by ucałować; ale jakże się zdziwił, gdy Tekla nieporuszenie jak biały obłok w śnieżnej koszulce leżąc na tle szafiru, ledwie dostrzega wijący się w dole na polach z ziemi pył lub kurzawę, które chcą się doń zbliżyć! Nie dowierzając samemu sobie, hrabia znowu próbował, lecz wszystkie straże jej wdzięków, całej godności dziewczęcej z taką powagą i siłą zatamowały mu przejście, że stanął w nieruchomości, jakby okryty obawą. — Czyżbym w tej chwili nie miał już prawa przywitać panią, rzekł do niej zcicha, patrząc się w oczy, tak jak witałem uprzednio? Uczucia serca jak rozwieszzone żagle pędziły stopy, bym rychlej ujrzał twarz pani, spoczął w jej cudnym wzroku, skrywszy do głębi jego promieni, moją twarz, usta i moje serce!

Czemuż wzrok pani zamiast mię przyjąć, bym w nim utonął rozkołysany powabem życia, ledwie mię trzyma w powierzchni swojej, nie dopuszczając do wnętrza? — Tekla słuchając mowy hrabiego, czas jakiś milczała; spokój kryjąc jej oczy, usta i czoło, w niezmiennym ją zatrzymywał pozorze, chroniąc twarz całą od najniewinniejszych wzruszeń. Patrząc się tylko ledwie półwzrokiem na stojącego obok hrabiego, zdała się nawet własny blask oczu wstrzymywać w locie, by się rozproszył w przestrzeni nie doścignawszy do niego; potem westchnawszy zcichą, rzekła do niego: — nie wiem doprawdy w jakim pan celu do mnie przemawia? jestem ubogą księżdówną, bez wychowania, o głady, przyzwyczajona do grubej pracy; od lat dziewczęcych spędziłam życie w takim ukryciu, że tylko drzewa lub kwiaty polne знаły się ze mną. Mój los tak bywał zawsze skromnie, nawet ubogo dla mnie odziany, że widząc go ciągle zbliżka przy sobie i nie wiem i nie rozumiem jaka jest cena bogatszych. Wiem zresztą o tem, że ludzie się bardzo o te bogactwa upominają, że radziłyby może je znaleźć ofiarą życia własnego, że wielu nawet chętnie poświęca swoje zasady i przekonania, spokój domowy, własną rodzinę, lecz ja się nie znam na ich wartości! Przyzwyczajona od lat dziecinnych do prostych strojów, dla mnie konopie albo len uzbierany z niewielkiej grzędy dość wystarczają na pożądane okrycie; a wełna z owcy chowanej jagniem od urodzenia w własnem podwórzu i w szopie, tyle przynosi ubrania, że się nie zedrze przez długie czasy. Nigdy więc bardziej nie podziwiała skłonności pana lub pańskiej chęci do prowadzenia ze mną dłuższej rozmowy. Im głębiej myślę, rozważam o tem, tem się nad wyraz przestraszam, bo znając tak niską cenę własnej osoby, gubię się prawie w domysłach, co pana skłania do tego? Pan przecie mniemać nie może i nie powinien, że ja mam posag?

Dawno już hrabia nie miał tak głębokiego zdziwienia, dawno nie doznał tyle w swych myślach opamiętania jak teraz. Wyrazy Tekli coraz to nowe mu przynosiły i przypuszczenia i sądy o niej; wstyd go ogarnął, uczuwszy zawód tem boleśniejszy, że go dotyczył z drażliwej strony. Gdy jednak przedmiot dawał dość wiele treści do rozmów, więc hrabia wobec natłoku najrozmaitszych poglądów, pragnął przynajmniej przekonać Teklę, że mu bogactwa niewiele znaczą. Już chciał w tej mierze rozwinąć przed nią swoje poglądy, gdy nagle wspomniął, że on sam właśnie zniszczywszy mienie, wieś, gospodarzę, nie mógł o sobie powiedzieć, że do bogactwa nie przywiązuje znaczenia. To go wprawiło w nowe kłopoty, w nowy wstyd, a nawet w nowe upośledzenie; tak, że po chwili namysłu rzekł tylko do niej: — bogactwa są to przymioty nabyte i przechodowe... powstają i nikną... zapewne, są one niezbędne... ale nikt jednak mię nie posądzał, by one były jedynym celem zabiegów moich! Jeśli powziąłem do pani pewne uczucia głębszej kolei i przywiązania, to mię ciągnęły do tego, upewniam panią, przymioty piękna, jej śliczne lice i niewymowne ozdoby całej kibici...

— Proszę mi tego nie mówić, rzekła mu Tekla, te przechodowe wrażenia są jakby wiatry w ogródku... wiem sama lepiej czem jestem, znam bliżej siebie niżli kto inny... są to uludy tak wielkie, że nieraz własne się oko zadziwia patrząc w lusterko, czemu ta sama twarz, oczy zrana w łnie się odbijają dosyć przystojnie, a potem znowu w temże lusterku tak się pokażą nieładnie, krzywo, że się w nie patrzeć nie można. Ja jestem teraz dość obojętną na wszystko... widzę i czuję, że wtedy tylko zadowolenie przychodzi, kiedy się oczy nie patrzą wcale ani na siebie, ani na ludzi, ale wraz z myślą zaprowadzone do góry, czekają przyjścia westchnień do nieba, zapominając o ziemi! Zbyt wiele trudów byłoby dla mnie stroić

twarz swoją jakąś radością, oczekiwaniem, że ją ktoś dojrzy albo oceni, powziąwszy chęci zamięłowania w jej wdziękach! To jest trud dokuczliwy, nieznośny, tyle ma w sobie zniecierpliwienia, przykrości, żebym wołała okryć się raczej jakąś najgrubszą i nieprzejrzaną powłoką, wdziac na się wszystkie mgły nocy, wszystkie jej cienie, aby mię nawet błyszczące gwiazdy nie doleciały jasnością...

— Czy się pan nigdy nie zastanawiał nad życiem? czy pan nie uczuł, że w chwilach właśnie kiedy gonimy za pozorami albo pociechą dla oka, tuż obok suną się przy nas najboleśniejże nieraz, najnieszcześniejsze ofiary życia, na których może myśl nasza nie chce się wstrzymać, albo się nawet odwraca; lecz one gonią, one się przy nas tak utrzymują w pobliżu, że niepodobna nie spojrzeć! — To mówiąc, Tekla wspomniała zaraz z tak ujmującym wyrazem głosu o opuszczonej i zaniebanej żonie hrabiego, którą dostrzega w swych oczach, wcale jej nawet nie znając, ile razy tylko rozmawia z hrabią, że po wysłuchaniu ostatnich Tekli wyrazów, hrabia się cofnął, wziął drżącą ręką pudełka i położywszy na innem miejscu, rzekł do niej: — miałem na myśli poprosić panią... o przyjęcie odemnie tych upominków,.. nie jestem pewny czy dopnę tego, tem bardziej, że jej obecne usposobienie jest skierowane po za granice wcale nie wiele mi znanych kresów!...

— Bardzo stosownie pan mię ocenił, mówiła Tekla, nie pan mnie jednak, ale ja panu powinnam złożyć na upominek błagania, abyś mię raczył uważać bardziej zdziwioną, niż wdzięczną za nie. — To powiedziawszy, Tekla zmieniła miejsce, na którem dość długo stała, a potem chodząc po izbie, wyszła z niej. Hrabia sam został. Nie wiedząc co począć z sobą, na każdy szelest, na każde lekkie stuknięcie z zewnątrz zwracał swą nateżoną uwagę, w tem przekonaniu że się doczeka powrotu Tekli. Ale kiedy nikt zgoła nie wchodził, hrabia czując

się trochę w niespokojności, podszedł do okna ważąc zamiary: czy wyjść czy zostać?

Wtem drzwi się otwarły i wbiegł ksiądz Maksym; nie przewidując, że w swoim domu zastanie hrabiego, ksiądz Maksym pod wpływem uprzednich wzruszeń: — gdzie jest ksiądz Łazar? — wykrzyknął głośno i zobaczywszy, że ktoś się trzyma przy oknie, rzucił się prosto na hrabiego i uderzywszy go mocno po plecach, powtórzył znowu: — księżu Łazarze! jedźmy do konsystorza, zburzmy tam ściany, dach, okna, rozwalmy jego podstawy!... wypędźmy z niego wszystkich i referentów i kanoników, wykurzmy cały rząd jego; wówczas zabłyśnie prawda na świecie, zginą oszustwa i podłość! — potem go wzięwszy dwoma rękami za pierś i plecy, ciągle nim kręcił po izbie to w tę to w drugą stronę, zmieniając miejsce i ruchy. Hrabia uczuwszy ból w krzyżach, wyrwał się, a przewidując w księdzu Maksymie stan nieprzytomny, oglądał twarz, oczy, nie wiedząc co z nim się stało. Twarz jego była obrzękła, czoło czerwone, na którym wiły się żyły jakby nadęte lazurkiem, nos buraczkowy, a oczy tak były posępne, iż się здаwały że są w żółtaczce. Mniemając że ksiądz jest chory albo w gorączce, hrabia tak się przestraszył, że ledwie mógł coś przemówić; ale gdy poznał, że i ksiądz Maksym także się nieco zadziwił widokiem hrabiego, wówczas zrozumiał, że wszystkie te ruchy i szamotania były następstwem pomyłki. Spoczawszy nieco, hrabia rzekł potem: — ksiądz mię nie poznał? — Ah prawda, przepraszam, ksiądz odpowiedział, ale wszystko to jedno, to wszystko jedno! niech cały świat się przekona, że w tej przemysłskiej dziurze lub norze gnieźdzą się lisy i wilki! Czy pan wie o tem, czem są na świecie lisy i wilcy? pan nie wie, pan o tem nie ma wyobrażenia, to nie jest rzecz pana, na to potrzeba być księdzem! Ja pana kręciłem i obracałem na wschód, czy prawda? a teraz ja pana jeszcze pokręcę na

zachód, by go przekonać, że nasz konsystoryjat tak duchowieństwem kręci na wszystkie strony.

— Nie, nie, dziękuję księdzu, powiedział hrabia, nie wątpię o tem, wiem z przekonania i wszyscy wiemy o tem dokładnie!

— Nie, panie, rzekł ksiądz poważnie, bardzo przepraszam! to co się dzieje u nich w skrytości, tego prócz zaufanych, zaprzysiężonych nikt nie wie! — Wpadłszy na ten tor rozmowy, ksiądz Maksym ciągle się tylko jakby na jednym sznurze kołyszając, obracał koło jednego przedmiotu, dowodząc te same zdania choć w innych słowach. Wszakże rozmowa była tak balamutna i tak zawiła, że chociaż przedmiot był zrozumiały, bo rzecz chodziła o nadużycia konsystoryjatu, jego intrygach we wschodnim kształcie; to jednak ksiądz Maksym będąc niedawno zalany napojem wódki, nie mógł pozbierać w swoim umyśle właściwych wyrażań.

Wszakże przyszedłszy do najdrażliwszej dla siebie skargi o zawieszeniu parochskich święceń, które nastąpiło z powodu zemsty prywatnej, ksiądz Maksym zrazu zapłakał przed hrabią, lecz potem jak gdyby dla pokrzepienia upadku ducha, dodał zarazem: — jestem już dzisiaj cywilnym, nie mam znaczenia w cerkiewnym stanie, wypijmy, hrabio, dla poruszenia męstwa, śmiałości, dla obudzenia w nas animuszu! — To mówiąc, pochwycił z szafy kielich, butelkę i nalewając dwa razy, sam wypił, a potem dawał hrabiemu. Gdy jednak hrabia miał już dość w głowie zawrotu, słuchając tyle skarg i narzekań, a co najwięcej będąc wrażliwym, dostał pewnego kręcenia myśli; więc już nie mając usposobienia ani zdolności do pojmowania dalszych skarg oraz sądów księdza Maksyma, nie chciał pić wódki. Ująwszy w ręce swoje pudełko, wymknął się, mówiąc że jak najspieszniej musi powracać do domu.

Gdy się już ocknął na wolnem powietrzu, rzekł sam do siebie: — nic nie wiedziałem że ten ksiądz pije; rad jestem, że już wyskoczył z rąk jego... mógłby mię znowu schwycić do tańca, mógłby ze mną się kręcić na wschód i zachód w walcowym wirze! To rzecz szczególna... ile razy przyjdzie zetknąć się tylko z ruskim żywiołem, wschodniego kształtu, ile razy chcę się zbliżyć i porozumieć z tymi ludźmi, to zawsze wódka musi być pośredniczką do tego! bez niej nie mamy zgody! — Potem trzymając w ręku pudełka, hrabia przekładał je z ręki do ręki, wspominał Teklę, gubiąc domysły i przypuszczenia, co też nią mogło kierować do takich rozmów i odpowiedzi? — W każdym wypadku to są pudełka, które dźwigają moje zawody, upośledzenia... w nich się zawiera cześć moich myśli... zostały one dla mnie samego upominkami niedoścignionych i niezdobytych zamiarów... w nich się zawiera próżnia najulubieńszych mych dążeń! A jednak Tekla jest piękną!... nawet w swym chłodzie, w obojętności, w postępowaniu, które tak zraża; ma jeszcze ona tyle powabu, że wszystkie razem te niekorzystne jej dla mnie objawy nie zacierają nadziei. Cóż zrobić? czyż to być może, aby te ręce, które przezwalałem nie-szczęśliwemi, nosiły ze mną jedynie tylko zawody? szczęśliwe myśli i wy szczęśliwe natchnienia spłyną do serca! gdzież jest wasz polot? czy tak bujacie w górnem przestworzu jak zwroty białych gołębi? czy przecinacie powietrze szybkością lotu jastrzębia, szukając tylko ofiar, zdobyczy na losach ludzkiego gniazda?

XIII.

Gdzie tylko ludzie mieszkają, tam muszą być chrzty, śluby i pogrzeby, to jednocześnie to znowu osobno, przeplatając

w duszy człowieka radość z boleścią i smutkiem; nieraz się zdarza, że zanim wstąpią ledwie najpierwsze pojawy wesołych cugów do serca z radosnym dźwiękiem przybycia, już zaraz ponury toczy się rydwan, wioząc ze sobą tłumnie nagromadzone różnego wzrostu najboleśniejse cierpienia. Z tego powodu ksiądz Łazar w zastępstwie księdza Maksyma musiał dość często to chodzić z trumną po wiosce, to znowu lejąc na główki nowonarodzonych niemowląt plusk wody, żegnać je krzyżem zbawienia na wieczność całą! Przy tej robocie myśl jego to się nurzała w nieśmiertelności, dokąd się dusze przenoszą puściwszy ciało w ziemskie otchłanie, na pył, zgniliznę i nicość; to znowu wiała się w pączek zielonym odziana liściem, by z niego wystrzelił kwiat nowych nadziei, przy odrodzeniu się ludzkim, w rodzinnych kołach na ziemi.

Wszakże ksiądz Łazar znajdował jeszcze dość czasu do składywania swych coraz większych wpływów na Teklę; chcąc w niej skierować myśl i uwagę do wyższych celów, ubierał młodą jej duszę w coraz to świeższe wianki i kwiaty, wskazując przytem, że kto je nosi i pielęgnuje, ten się sam zmienia w piękniejsze jeszcze zapachy dla nich. Spotkawszy Teklę natychmiast prawie po jej ostatniej rozmowie z hrabią, ksiądz Łazar z wielką radością dowiedział się, że nie przyjęła podarków i w nim ostatnie zerwała ślady ślubnych zamiarów. — Dobrześ zrobiła, mówił ksiądz Tekli, ale pamiętaj, im bardziej będziesz mu obojętną, tem on gwałtowniej będzie się zrywać do ciebie. Bądź mu przychylną, ale nie jako własność, by czuł się panem, lub właścicielem twoich ócz, twarzy; nawet niech on nie będzie twym przyjacielem, bo to uczucie pociąga inne silniejsze jeszcze; ale bądź wyższą jemu wskazówką, groźbą, przestrichem, niech wstydzi się ciebie, boi, unika, aby przy tobie wystrzegał się złego!

— Chciałam mu nawet nadmienić, mówiła Tekla, że od niedawna postanowiłam nie zmieniać stanu; gdyby mi nawet wypadek przysłał najponętniejszą osobę, gdybym widziała, że znajdę w związku niewysłowioną pomyślność, to za nikogo nie pójdę! Gdyby mię hrabia poznał uprzednio, w dawniejszych czasach, tobym zapewne mu powierzyła los mego serca, bardzo go lubię; lecz teraz kiedy mi w oczach coraz się ciemniej migoce życie na ziemi, stając nieprzemienioną własnością, kiedy mi radość bez trosk swobodna już się uchyla zowiąc nieznaną, obcą; kiedy dostrzegam wokoło siebie tak wielką ilość złudzenia, że to co było wczoraj w mych oczach jasnem, ledwie się chwieje; nie chcę należeć do ludzkiej chaty!... nie chcę rachować ze zgromadzoną czeladką zawody! Owszem, będąc spokojną, nic nie chcę pragnąć, nic oczekiwać, niczem się cieszyć... zagrzebnę w ziemi z nieruchomością małego słupka, czekając póki się pruchnem nie stanę.

Ksiądz Łazar słuchał jej zdania trochę z niechęcią, nie podobała się jemu ta obojętność dziewczyny na wszystko i wszystkich! Chcąc opamiętać jej sądy, rzekł do niej: — zapewne! za wiele może zbiera się w losach ludzkiej rodziny nieprzeblaganych kolei, za wiele niepoprawionych zewnątrz wypadków, ale nic to nie znaczy! wszakże i łąka raz bywa w swoim pozorze zieloną, to znowu zimną, grudą lub śniegiem tak się zawali, że ani poznać!... a jednak też sama łąka pomimo przeistoczenia i zmiany losu, jest pożyteczną i w tym i innym stanie. Jeżeli zlatują do duszy ludzkiej ciosy zawodów, jeśli przyplyną na łódce życia rozczarowania, to je przenosząc, należy zawsze spełniać swe obowiązki, być bardzo czynną i nie wstrzymywać tej działalności cnoty, z którą aż do samego grobu wejść trzeba.

Dziwnie wyglądał poważny siwy staruszek, dość już stary w kapłańskiej służbie, obok młodzietkiej jak zorza, świeżej,

niespracowanej ani uczuciem młodości, ani urokiem wdzięków niewieścich, a zawsze miłej jak połysk gwiazdy, dziewczyny. Ksiądz był podobny do wieczornego słońca w zachodzie, które po trudach nie zatrzymując się w ruchach, żegna dzień cały i wszystkie miejsca, po których przeszło, cichem spojrzeniem; dziewczę przy starcu było podobne do świeżej gwiazdy, zaciękawionej albo patrzącej z całą niewinną skromnością w niebie, co myśli słońce, co ono robi, kiedy powróci, lub kędy pójdzie?

Z tego powodu, pomimo różnicy płci, wieku i stanu, Tekla tak polubiła obecność księdza Łazara, iż jej się zdało że przy nim pełniejsze wyrasta w niej serce. — Ja czuję, księże, rzekła mu Tekla, że nic na świecie zrobić dobrego nie mogę, nie jestem w stanie... chciałabym tylko doczekać jeszcze, aby się hrabia połączył z żoną, żył z nią szczęśliwie... a potem gdy to nastąpi... ja dom opuszczę i na ustroniu będę żyć pustelniczką na ziemi. Ztąd niedaleko las rośnie, tam jest pasieka... jest to tak śliczne ustronie, iż mi się zdaje, że Bóg utworzył to miejsce umyślnie dla pustelniczek. Nawet opodal jest tam pieczara, przez którą można przejść w inne światy, tam byłby dla mnie najpożądany grób w świecie! Ja tak uczynię, prawda? to będzie najlepiej!

Chociaż ksiądz Łazarz dość lubił nie tylko myśleć, ale i mówić o śmierci; tym jednak razem miał głowę tak zaprzątniętą doczesnym losem jeszcze żyjących i w pełni siły znanych mu osób, że nic nie wyrzekł. Owszem kierując treść mowy na inny przedmiot: — powiedz mi, proszę, zapytał Teklę, dość mam trudności rozmawiać teraz z księdzem Maksymem; nie mogę się prawie z nim porozumieć dokładnie... a jednak ten biedny człowiek, powodowany niezrozumiałą dla mnie rozpaczą, szuka rozrywki w najnieszcześniejszym i w najgubniejszym nałogu... Z tego powodu cały wasz domek tak nieprzyjemnie wygląda jakby go Pan Bóg puścił z opieki i łaski...

wiesz dobrze, że mię wy wszyscy dość obchodzicie blisko... trzeba więc radzić! Ty jako córka, mimo wad ojca, nie możesz tracić dla niego ani miłości ani poszanowania... a jednak patrząc się zbliżka na jego stan nieszczęśliwy, pomimo woli możesz uczuwać bardzo niedobre wrażenia. Myślałbym przeto, że dla korzyści tak twojej jak twych rodziców, przy których zresztą ja będę czuwać z najserdeczniejszą przyjaźnią, należy tobie dom rodzicielski choćby czasowo opuścić. Trzeba obmyśleć, gdzie ciebie wysłać? już o tem dawno myślałem i mnie mam, że najwłaściwiej i najkorzystniej dla ciebie byłoby może, byś wyjechała do domu pani hrabiny. Jest to osoba bardzo mi dobrze i bardzo dawno już znana; wiem o tem, że gdy napiszę list do niej, to ciebie przyjmie jak własną siostrę. Mieszkając u niej, zdobędziesz nawet korzyści; bo w towarzystwie tak wykształconej i tak cnotliwej niewiasty wróci tobie dawna swoboda, spokój a nawet czynność. Zostawszy razem, będziecie czytać, szyć i pracować, a czas wam przejdzie tak miło, jak nigdzie w świecie.

— Ponieważ jednak i takbym musiał napisać do niej, by uwiadomić, że poręczone pieniądze oddałem według zlecenia, więc pisząc o tem, wspomnę przy końcu, że tam przyjedziesz, czy dobrze? Co się zaś tyczy twoich rodziców, to już sam będę nalegać, by się zgodzili na to; jakże więc myślisz?

Wspomnienie osoby hrabiny wzbudziło w Tekli jakiś niepokój, który następnie stał się obawą; każda nieznana osoba była dla Tekli tym przymuszonym stosunkiem, który kępuje nie tylko swobodę, lecz nawet każdy ruch życia. Chociaż tyle już razy słyszała o niej opowiadania księdza Łazara, nie mogła jednak na razie przedstawić sobie jaki z nią będzie stosunek? Zapewne z czasem przyjdzie coś mówić o hrabim; a w takim razie jak się trudno będzie z nią porozumieć? Już zamierzała Tekla stanowczo księdzu powiedzieć że nie chce, gdy

sam ksiądz Łazar wpadłszy na domysł, że między nimi może się z czasem wytworzyć z tego dość nieprzyjemne uczucie, powiedział: — wiem że cię mogą pewne wstrzymywać skłonności serca, lecz mojem zdaniem, przybędzie tobie najlepsza zręczność przekonać właśnie ją i każdego, że wcale nie masz żadnych ani zamiarów, ani usposobienia stawać przeszkodą samotnej i opuszczonej żonie hrabiego... będzie to nawet najwidoczniejszym świadectwem twej niewinności; a siedząc w domu, na miejscu, możesz obudzić najniegodziwsze w ludziach i posądzenia i wnioski o tem. Rozważ to dobrze, bo jeśli byłaś szczerą w rozmowie ze mną, to się nie możesz obawiać żadnych na świecie wyrzutów!

Ostatnie uwagi księdza Łazara uspokoiły Teklę do tyła, że po chwilowym namyśle odpowiedziała: — ja tylko się boję o swego ojca, wprawdzie wiem dobrze że mię nie lubi, że moja obecność robi mu przypomnienie smutnych zawodów, że za spotkaniem się ze mną daje mi zawsze do zrozumienia, iż byłam powodem tych nieszczęść, które spłynęły na dom nasz; ale cóż ja uczynię? matka podobnież o ile dawniej pragnęła zawsze, bym się trudniła przy niej robotą... o tyle teraz...

— Tem bardziej właśnie należy trochę zniknąć z ich oczu; potem, po czasie, gdy rozdrażnienie ostygnie, to cię serdeczniej uściska. — Ksiądz Łazar postanowiwszy wyprawić Teklę do domu hrabiny, oczekiwał tylko właściwej pory, by w tym przedmiocie pomówić z jej rodzicami. Wprawdzie ksiądz Maksym najczęściej był niedostępny, ale bywały również i takie godziny, w których przytomność była zupełną; lecz wówczas tak się rozrzewniał i tak był czuły, że czasem nawet jak dziecko płakał, to wyrzucając samemu sobie, że został księdzem, mogąc uprzednio w innym się trzymać zawodzie, to znowu że niepotrzebnie tyle używał zabiegów do otrzymania tej nieszczęśliwej swojej parochii. Ksiądz Łazar skorzystawszy

z jednej z chwil takich, tak dobrze umiał przedstawić konieczność wyjazdu Tekli do domu hrabiny, że ksiądz i księżzowa jednomyślnie uznali, że to im nawet trochę pochlebia. — Niech jedzie, mówił ksiądz Maksym, ja sam uważam... że mojem postępowaniem daję zły przykład... gdy trochę przejdzie we mnie chęć do wesołych częstunków, wówczas sam ją przywiozę... Mnie nawet żal dziecka... ma upór, ma swoją wolę... nie idzie za wskazówkami i radą, ale ja trochę jestem za ostry — i zaczął płakać tak głośno, że Tekla będąc podówczas aż w trzeciej izbie, przybiegła, chcąc go ukoić.

Na widok Tekli, ksiądz Maksym wstrzymał łzy swoje, otarł je końcem sutanny, nie chcąc przy córce nadto się wydać dziecinny; — widzisz jegomość, rzekł on do księdza Łazara, noszę księżowską długą kapotę dziś na to tylko, bym nią łzy moje ocierał; innych mi ona nie daje usług. — Ksiądz Łazarz zaczął go koić i uspokajać religijnemi słowami, mówiąc że smutki Pan Bóg przysła dla próby tylko, że ksiądz w rodzinie wschodnich obrzędów ma pewnie więcej zawodów życia jak zakonnicy lub księża łacińscy; ale powinien dla wzoru i dla przykładu ludzi cywilnych świecić wskazówką, aby poznali jak złączyć życie rodziny z życiem duchowem; a póki tego świat nie zobaczy, dopóty zawsze ksiądz z żoną będzie dla świata czemś tak dziwaczem, a nawet przykrem, że wschodnia cerkiew zamiast się rozwijać i rość męczeństwem, ofiarą, rozlewem krwi nawet dla Boga, jak się to dzieje u łacinników; wpadnie w stęchliznę i jakby pomnik grobowy zastygnie w ziemi!

— Czem się to dzieje, mówił ksiądz Łazarz, że gdy codziennie kościół zachodni nieprzeliczone zdobywa sobie zastępy sług bożych, którzy męczeństwem i poświęceniem własnego życia u dzikich ludów, giną za wiarę, wieńczą skroń swoją blaskiem świętości; to u nas we wschodniej cerkwi parochy-

tylko jedzą i piją w rodzinnej chacie, żadnej nie znosząc ofiary Bogu, ani z krwi apostołstwa, ani z poświęceń dla chwały nieba! Bo nasze życie okute w jarzmo ludzkiej natury i uwięzione w domowym progu, nam nie pozwala wychylić czoła na obszerniejszy widokrąg; musimy zostać złączeni z chatą, czuwać nad losem własnego kółka, żony i dzieci! Dom parochijalny i kawał ziemi dano nam właśnie w tym celu, by siedząc na nich, my wskazywali całej owczarni, jakim sposobem połączyć trzeba ubogą chatę z przepychem nieba; życie rodziny na ziemi z życiem wiecznego zbawienia. Ale czy tak się dzieje? zkądże się wzięły nieznane dotąd w całej przemysłskiej dzielnicy porywy uczuć do wschodnich krajów, do tej ogromnej jakiejś ojczyzny, która w swem łonie głębiej zastygłe i bardziej sponiewierane zawiera życie cerkiewne jak u nas? Zgniłe, przetęchłe, choć wypasione jak wół na braże, ich duchowieństwo stworzyło stado niedźwiedzi albo odyńców, które po nocach leć rycie ziemię, napada ludzi, naszych współbraci, żyjących w ciszy religijnego uczucia w tym celu, by zużytkować do zysków tylko?

Ksiądz Maksym milczał, czując że w tych wyrazach za wiele może kryje się prawdy dla wszystkich ludzi, a przede wszystkim dla niego, rzekł tylko: — bardzo żałuję, że niepotrzebnie się wdałem w takie zawile i pogmatwane stosunki... ta uroczystość czy uczta, którą konsystorz urządził, była dla moich losów zgubą, nieszczęściem. Uznaję teraz, że nawet Tekla musi już dźwigać następstwa złego... to mię zniewala do wynurzenia mych chęci, by pojechała na jakiś czas tylko do domu pani hrabiny.

— Zapewne, rzekła księdzowa, niech jedzie! — Ksiądz Łazarz tłumaczył przytem, że wyjazd Tekli nie może i nie powinien budzić w jej sercu jakiego uczucia obojętności rodziców; owszem powinna przyjąć to oddalenie w przychylną myśl.

Gdy jednak powstała w mowie zmianka o obowiązkach rodziców, wtedy ksiądz Maksym jakby wzruszony wspomnieniem ojca, uczuł się w sercu dość rozrzuconym, przystąpił do Tekli, wziął ją za rękę i patrząc w oczy: — dawno już bardzo nie miałem cię obok, powiedział, dawno nie dotykałem się rąk twoich, a jednak jesteś mi jedynaczką! Gdy byłeś dzieckiem, nosząc na rękach, składałem w tobie codziennie prawie wszystkie nadzieje mojej kapłańskiej przyszłości; mniemałem, że będąc skromnym parochem, za twoim wpływem dostanę w cerkwi godność i dostojęństwo ważniejsze, że mi sprowadzisz zięcia znaczenia i sławy... ale jak widać, uwagi księdza Łazara o naszych parochach i duchowieństwie wschodnich obzędów, są pełne prawdy, dadzą się one stosować wszędzie... i myślę, że Bóg dla tego nie chciał nam przysłać swej łaski! Patrząc na ciebie, żywo wspominam wszystkie niedawne przejścia, wypadki, które tak się składały, że me nadzieje miały się już prawie ziścić... była już zręczność po temu... ale cóż zrobić? wszystko minęło! co zaszło, było złudzeniem. Cały ten szereg zamiarów naszych jak się pośpiesznie zawiązał, tak się też śpiesznie rozleciał...

— E! nie ma czego żałować, krzyknął ksiądz Łazar, cóżby to było za życie Tekli z człowiekiem, który chciał zostać księdzem dla tego tylko, aby sprzedawać sakramentalne święcenia gdzieś tam na Wschodzie temu, kto drożej płaci! Ja to uważam za łaskę nieba, za najszcześniejsze natchnienia, za wpływ pośredni rąk Boga! Jeżeli Tekla złoży swe losy na łonie serca bożego, będzie szczęśliwszą i bezpieczniejszą niż teraz.

— Wydziedziczony, mówił ksiądz Maksym, z kapłańskiej mocy i pozbawiony sakramentalnych czynności, przemawiam teraz, jako twój ojciec, boć nie przestajesz być dzieckiem dla mnie, owocem uczuć małżeńskich! Wiem, że obecnie źle ci jest

w domu... wiem, że ty, dziecko, nie masz w rodzicach opory i pocieszenia... trochę za późno się obejrzałem... lecz i my także twoi rodzice, zbłąkani w drodze, mając dotychczas zakryte oczy mgłami złudnego świata, nie mamy pociech! Jedź więc, gdzie cię ksiądz Łazarz wyprawia; na innem miejscu, wśród innych ludzi może odżyjesz... może przykłady cnotliwszych osób dadzą ci szczęście! To dziwnie! że własny ojciec musi otwarcie się przyznać, że jego dziecko znajdzie nie w domu, ale gdzieindziej, więcej spokoju i szczęścia, niż w własnej chacie!

Wyrazy księdza Maksyma bardzo głęboko wchodziły do serca dziewczyny i w niem utkwily z taką świąteczną uroczystością, jakby się miała urządzić w domu prawdziwa uczta cerkiewna, z całą powagą wznioślejszych celów. Wprawdzie Tekla była tak wychowana z dzieciństwa, że żadnych dotąd nie rozwinęto w niej uczuć miłości, żadnego głębszego usposobienia ani dla domu, ani rodziców; a jednak sama myśl tylko, że trzeba szukać życia za domem, była dla niej tak przejmującą, że się wahała już nawet wyjeżdżać.

W księdzowej także się wówczas zbudziło serce matczyne, a chociaż dotąd nie czuła usposobienia dla okazania córce, że dla niej jest ona jakby żyjącym pomnikiem pieszczotliwego łona i tchnieniem serca niewiasty; to jednak w ostatniej chwili patrząc na Teklę, łzy z oczu lunęły i przemówiła do córki kobiecem słowem, uściśnieniami jej twarzy, ust oraz czoła.

Wówczas to właśnie Tekla, uczuwszy prawdziwy węzeł najserdeczniejszych stosunków dziecka z życiem rodziców, powzięła chęci wynurzyć i z otwartością im wytłumaczyć, jakie przyczyny ją odstraszały od ślubnych związków. Ksiądz Łazarz bardzo popierał jej zdania, tak że po czasie porozumienie się wszystkich było zupełne.

Czas jednak do przygotowań podróży przemknął się dla nich tak prędko, że dłużej Tekla rozmyślała, niż było czasu potrzeba do ostatniego wyjazdu.

Gdy wózek z końmi stanął przed gankiem i należało już jechać, ksiądz Łazarz dał list do hrabiny, a Tekla miotana coraz to większem wzruszeniem, musiała się zbierać, pożegnała dom i rodziców i pojechała.

Serce rodziców w swym naturalnym pochodzie przeczuwa nieraz losy przyszłości. Żegnając Teklę, im się wydało, że znika z oczów własne ich dziecko na wieczne czasy; że może nigdy w dom nie powróci do tej zagrody, wśród której, pomimo zmiany pozorów, od najpierwszego za przyjściem na świat zasmuconego płaczem wyrazu, do chwili rozwoju najpoważniejszych wdzięków łona i twarzy, oraz słów rozkwitniętych w dojrzałej myśli, owianych dziewiczem sercem piękna, miłości, dotychczas rosła i żyła z niemi.

Ksiądz Maksym zostawszy się razem z księdzową, uczuli w sercu wielką samotność; to uroczyste rozstanie się z dzieckiem tak byto silne w duchowem życiu, że same myśli nie chciały włożyć się nisko po ziemi, ani też mogły poruszać wolę do pożądanego czy to napojów upajających przytomność, czy inne rzeczy! Siedząc oboje i dotykając się wzajem ramieniem, ksiądz i księdzowa w wielkiem milczeniu spuścili w dół głowy i zcichli, by się nie zdradzić przed sobą, lub się nie wydać na zewnątrz utajonemi w sercu bólami, rosili oczy rzęsiwym płaczem, kryjąc przed sobą wzruszenia. Ale napróżno! smutki po czasie rosnąć i rosnąć jak strzał obłoku, mają głos w sobie: całe się ciało zniża przed niemi, usta schylają swą postać, nawet duch bezwładnieje; ksiądz i księdzowa razem złączeni, po pewnym czasie krzyknęli z płaczu!

XIV.

Podróż Tekli nie była wygodną ani też miłą; smutna jej dusza, smutniejsze jeszcze uczucia nie malowały na zewnątrz wszystkiego co serce czuje. Oddać widzialnie każdy rys ducha w głębi wyrosły z całym odcieniem wyrazu, blasku, kształtów i ruchu, ani jej oko nie potrafiło umieścić w sobie, ani jej czoło, ani twarz cała! Wprawdzie świeże powietrze w odkrytem polu bardzo się pilnie starało ożywić nieco jej oczy, rozproszyć myśli, lecz smutki znowu wracały. Dopiero po dłuższym czasie, gdy droga coraz zmniejszając się w przestrzeni, stoczyła wózek do kresu i już się oku dały spostrzegać domy, ogródki i drzewa; wówczas i Tekla jakby wstrząśnięta wszystkimi ducha władzami, zrzuciła z siebie wszystkie owoce cierpień wewnętrznych.

Wkrótce dom się pokazał wpośród zieleni gęstych i rozłożystych drzew obok; staropolska wysoka strzecha, bardzo troskliwie garnęła ściany do siebie, a w samym dziedzińcu rosnące lipy miały choć smutną ale wspaniałą i senatorską dostojność. Mówiły one całej przestrzeni, że na tej ziemi mogły rósć w górę w dawniejszych czasach nie tylko wielkie i niebotyczne drzewa, ale i ludzie-olbrzymy.

Tekla wysiadła, a potem z pośpiechem niespokojnego przykrą podróżą gościa, ztrzepała pył i kurzawę z ubrania i weszła do domu. W najpierwszej izbie spotkała ją zaraz hrabina, trzymając w ręku wrzeciona z nicią; jej widok wielkie na oczy i bardzo wdzięczne przynosił wpływy. Hrabina była średniego wzrostu, blondyna, twarz miała tak śliczną, że wszystkie rysy stojąc spokojnie na jej powierzchni, oczekiwały walki ze sobą, który się wyda piękniejszym. Strój zwykle miała fijoł-

kowy, koloru najczystszej i naturalnej okrasy, przy którym właśnie płeć twarzy tak idealnie występowała, jakby ten kolor razem się dla niej urodził i razem z twarzą rósł i wychowywał w miłosnem tchnieniu. Oczy, nos, usta były okryte takim łagodnym w swej wypukłości i lekkim smugiem, jakby się po nich nić pajęczyny powiewnym snuła zarysem; ztąd cała twarz jej była podobną do znanej twarzy św. Moniki, bijącej wdziękiem najczystszej duszy. Ruchy hrabiny tworzyły zwroty odznaczające w przestrzeni poczucie piękna wyższej istoty, a wdzięki oczu szukały zda się w całej naturze pokrewnych sobie i także z wdziękiem przedmiotów.

Tekla oddawszy list księdza Łazara, z najwyższą uroczystością objęła okiem stojącą obok hrabinę, z niespokojnością czekając jej przemówienia. Hrabina skończywszy list, ujęła Teklę za rękę, potem całując ją w czoło, poprowadziła do drugiej izby. — Zaczny ksiądz Łazar, jakże mi miło czytać list jego! to on aż dotąd bawi w Złotówce? — Tak, pani, mówiła Tekla, i już nie prędko wyjedzie. — Cóż go tam trzyma? — Kłopoty nasze, rzekła jej Tekla. — To bardzo dobrze, odpowiedziała z uśmiechem hrabina, bo w nich się ziemia nam przypomina; zresztą ksiądz Łazar znajdzie im radę tak doskonałą, że pokieruje nimi jak mocarz. Znam go dość blisko, był długo mym spowiednikiem; a jego umysł doświadczeniami życia jakby perłami okryty, ma w swojej mocy cudowną własność. Jestem mu wdzięczną, że dał mi możność poznania tak miłej panienki, a pragnę również, abym część tej wdzięczności mogła udzielić i tobie za towarzystwo i pobyt ze mną. Wszak ksiądz mi pisze, bym cię przyjęła jak własną siostrę; nie dziw się przeto, że tak odrazu i poufale mówię i patrzę! Rozgość się przeto, oswój się zaraz ze mną i z domem, bo mi się zdaje, patrząc w twe oczy, że będzie nam dobrze.

Domek hrabiny nie był wspaniały, lecz w nim panował wyższy, wspaniały rodzaj w całej dokoła powierzchni: ład, czystość i piękno. Żadnych nie było w nim dóstatków, ani bogactwa, lecz urządzenie było tak miłe i artystyczne, jak gdyby skromność ujęta ręką słodczy, zwieszała się przy niej w najpowabniejszych ruchach zgrabności.

Tekla uczuła się w najwłaściwszym żywiole: hrabina wnet ją natchnęła jakimś dla siebie, oprócz miłości, najserdeczniejszym szacunkiem; czując w niej wyższość i umysłową ze względu na wychowanie i moralną z powodu wykształcenia uczuć serca. Tekla z rozwiniętym uprzednio w młodej ale bogatej naturze swojej wrodzonym instynktem, tak się umiała dobrze zachować, że nie zdradziła się prawie ani w obejściu, ani w użyciu tych drobnych przedmiotów, które w wykształceńszych domach są do użycia w znacznej ilości.

Wprawdzie nie trudno było poznać hrabinie, że Tekla nie była jeszcze rozwiniętą do świadomości zupełnej w obejściu się, nie miała tej całkowicie towarzyskiej ogłady w zachowaniu się, mowie, które się w domach z wielką uwagą przestrzegają; ale natomiast miała naturalne i wdzięczne ruchy bardzo malownicze i nie wiele już brakło, aby ją w innem wykształcić zupełnie. Hrabina czuwała nad nią tak delikatnie i tak starannie, że przy zręczności czyniąc jej różne uwagi co do form rzeczy, wyszukiwała tylko wyższe w nich piętno, tłumacząc, że w różnych pozorach są zachowane przeróżne myśli, o których wiedzieć należy. Gdy jednak po czasie wszystkie w tej mierze były już usunięte zawady, a Tekla tak je zdołała przyswoić sobie, jak gdyby one były jej przyrodzoną skłonnością i naturalną potrzebą; wówczas hrabina zaczęła kształcić i jej umysł najniezbędniejszą nauką. Sama co chwila będąc zajęta najprzeróżniejszą czynnością, dobry dawała jej przykład, że w ciągłej i nieustannej pracy, umysł nabiera coraz

to więcej przymiotów i znośnem czyni to życie ludzkie, które bez tego ma w sobie wiele przykrości i smutku.

Badawczy umysł Tekli z wielką przyjmował skwapliwość wszelkie hrabiny zabiegi, a mając pamięć nadzwyczaj bystrą, takie czyniła postępy, że każdy dzień prawie zmieniał jej umysł do niepoznania. Prócz tego zdolność jej poetyczna, porywcze serce do uczuć piękna, nagromadziło tak wiele nowych źródeł, strumieni, w których się mogą tylko kołysać i poić wybrane dusze, że będąc razem, dwie te osoby mogły się łatwo i porozumieć i czuć na równi i myśleć w najszczytniejszych obszarach ducha.

Hrabina z dziwną cierpliwością i z dziwnie gorliwem uspozieniem umiała przeplataćienne czynności swoje najrozmaitszą robotą; oprócz muzyki, śpiewu, czytania, robót domowych nazwanych szlachetniejszymi i potrzebujących naukowej wprawy, trudniła się jeszcze gospodarstwem w każdej gałęzi kobiecej wiedzy, nawet przędzeniem. Czas był tak wymierzony, iż każda godzina miała odmienne swe przeznaczenie i wydawała coraz odmienne owoce; wszakże w tym podziale nie brakło również czasu i na przechadzki dla zdrowia, a poblizki ogród pielęgnowany jej troskliwością, dawał im pole do tego.

Zdawało się więc, że takie życie porządku, pracy i ładu mogłoby się tylko wywiązać w domu majątnym, gdzie, jak mniemają, nie ma tych trosk powszednich, tych coraz nowych kłopotów życia, które i zabijają wolę i czynią umysł tak zasępiony, grubą i nieruchomą powłoką, że wszelka dążność do czynu i energii ostyga! A jednak dom hrabiny miał także bardzo wiele, jak każdy inny na świecie, powszednich smutków, miał nieraz tyle zawał i przeszkód do prowadzenia swobodnej pracy, iż się zdawało niepodobieństwem czasami, by w nim obowiązkowe mogły się spełniać zatrudnienia. Nieraz w nim brakowało zasobów życia, nieraz interesa tak zawodziły w ra-

chubach, że było prawie niepodobieństwem je poprawić; nie-raz plony i żniwa były tak wątłe, że nie było co zbierać; a gdy do tego jeszcze się dołączały boleści duszy z powodu zrujnowanego gniazda w rodzinie, to się zbierało aż nadto przeszkód do przytomności umysłu i utrzymania porządków w domu. Zresztą kobieta taka jak hrabina z uszą niewieścią, potrzebującą zakresu życia wznioślejszych i bardziej idealnych warunków, napotykała w powszednim i gospodarskim życiu wiele poziomych i niskich przejść i obrazów, które raziły jej uczucia i odstręczały od zabiegów; a jednak i to usposobienie starała się pokonać, powiedziawszy sobie, że one muszą być potrzebne w krainie prawd naturalnych, a jako nawet niezbędne przy wielkiej i tak wszechstronnej czynności ziemi, odbywać się muszą nawet przy najbardziej poetycznem oku.

Cóż było dźwignią, co było bodźcem do tego?

Oto, że hrabina z największem usiłowaniem woli i serca zastosowała zasady księdza Łazara, złączenia życia domowej zagrody z życiem niebieskiem. Ponieważ przyszłość była jej celem, a chwile obecne przygotowaniem się tylko i jakby strojem duszy do życia przyszłości; ztąd hrabina wyrobiła sobie sąd o tem niewieści w ten sposób: że ponieważ strój wdziawać się musi w zwykłej kolei z pewnym przymusem, a zawsze ze skrępowaniem i wszystkich wdzięków i całej postawy, a im jest ozdobniejszy, tem bardziej ściska i wiąże to kibić, to piersi, to ręce, to nogi; ztąd właśnie chcąc swoją duszę przyodziać wdziękami z krainy piękna idealnego, należy również ją także jak ciało, to wiązać po kilka razy przymusowemi wstążkami to wszerek to wpoprzek, dla wydobywania kształtów; to ściskać stan jej i poruszenia w czasie ziemskiego istnienia! W

Myśl więc ofiary ducha stawiała w oczach hrabiny tak nieodzowną, nawet konieczną, że im kto bardziej zaprze się siebie we wszystkich upodobaniach, w każdym kierunku żądz

i zamiarów, tem bogaciej ustroi duszę. Życie więc stawało się dla niej nieustającym przymusem, składaniem w niebie coraz to większych i większych zdobyczy, wywalczonych w burzliwych i wojujących zastępach ducha.

Raz przyjąwszy te zasady, nie wiele dla niej znaczyły ani zawody, ani upokorzenia, nawet nieszczęścia! — Ja robię swoją powinność, mówiła nieraz do Tekli, i wcale nie jestem ciekawą co z tego będzie; dość mam nagrody że robię, że mam poczucie swych obowiązków, a czy robota rozkwitnie się w kolor błękitu, czy w kolor biały, różowy albo bezbarwny, to obojętnem jest dla mnie. Wszakże i słońce z taką wszechwładną potęgą, z takimi wysileniami cudownych blasków nie zawsze zdoła, nie w każdym miejscu poruszyć w ziemi skłonność do wspólnych celów, a ileż się razy zawiedzie? raz mu ta ziemia pokaże tylko suchy badylek, lub liść zepsuty i nieudolny rósć przyzwolicie; to znowu w takiej zostaje obojętności, w takiej niechęci, że słońce grzeje, najponętniejszym otula blaskiem koloru, ciepła, tyle dni, lat, wieków czyni zabiegi najstaranniejsze, a ziemia suchą mu tylko i martwą twarz pokazuje! Czy ty widziałaś obszary piasku? jak one są obojętne na wszystkie słońca nieustające zabiegi! jak nie wydają najmniejszych wzruszeń ani współczucia, nawet nie cenią trosk jego! Patrząc się na nie, żal bierze, lecz kiedy wspomnę, że się to samo odbywa w duszy człowieka, w stosunkach z ludźmi; to już rozumiem tak jasno, że czyniąc swoje, nie trzeba czekać korzystnych następstw, świetnych nadziei, zysków lub szczęścia; lecz nieustannie podniecać tylko wytrwałość w sobie do ruchów w pracy.

W takich zasadach domek hrabiny wyrzucał na wierzch coraz to świeże snopki prac ręcznych i umysłowych, związanych tak świeżem, czystem, z niebieskiej toni zprzędzonych na tkance serca własnego powrośłem; jakby to były ofiary dla

wyższych celów. Oprócz prac pospolitych w ogrodzie, w kuchni, w stodole, we dworze i na wsi z gromadką ludu, następowały we własnej izbie przy stole lub nawet przy fortepianie. Gdy zmrok zapadał, a oczy nie dostrzegały wyraźnie, nie mogły zajrzeć we wszystkie głębsze zmarszczki albo kryjówki przedmiotów, wówczas hrabina siadała do fortepianu i tonem dźwięków wzruszała duszę do lotów w piękniejsze kraje. Śpiew dla niej był ulubioną przestrzenią świata, w niej kołysała swe serce najmiłszym może powiewem ciepła, słodczy i blasków; a znając wszystkie utwory najwyższych mistrzów muzycznych, zaspokajała nimi pragnienia ducha, które dość jednak były niewinne i tylko w przelotnem marzeniu snuły się, błysły i znikły, nie pożądując nic wcale.

Śpiewając pieśni Szumana, *amour pour amour*, tworzyła w myśli nieprzeliczone jak stada pszczołek w powietrzu, chóry uniesień serca, które rozlatując się po falach spryskanego zapachem powietrza, to się zniżają to podnoszą, szukając szczęścia na ziemi; lecz w tym polocie tak się zapomną, że zmrok nadejdzie i one się wszystkie zbłąkają, nie znalazłszy spoczynku! Hrabina tak umiała dokładnie wyrazić słowem te porównania, że mówiąc o latających muszkach, albo gromadach pszczołek, najpiękniejsze malowała obrazy. Tekla słuchając ją, bardzo się zadumała głęboko.

— O czem ty myślisz? — spytała ją nagle hrabina.

— Przypominam bardzo niedawne czasy, odrzekła Tekla. Nie wiem z kąd wstąpiły do mnie najmiłsze w życiu wspomnienia: mój ojciec ma lasek, nie wielki wprawdzie, lecz bardzo miły; w tym lasku mamy pasiekę, którą raz tylko zwiedziłam, lecz wiele razy myślałam i myślę o niej. — To mówiąc, ze szczegółami opowiedziała wszystkie najmniejsze zdarzenia: o ulach i pasieczniku, jego rozmowie i przywiązaniu do swego ustronia, o jego zdaniach, modlitwie, pomijając tylko to, co się

tyczyło hrabiego. — Są to najpierwsze, może i najgłębsze moje wrażenia i tak są silne, że bardzo tęsknię za niemi.

Hrabina słuchając to wszystko, bardzo się również zajęła tym pasiecznikiem szczególnie, który w jej wyobraźni stworzył obraz jakiegoś hetmana lub pustelnika Tebajdy; a dowiedziawszy potem, że ta pasieka jest na ustroniu, bardzobym chciała zrobić ci, Tekło, przyjemność... chcesz, to się zbierzmy i razem jedźmy do tej pasieki? ja bym go chciała także zobaczyć, bo tacy ludzie są wyjątkami; widok ich sprawia najkorzystniejsze wrażenie. Możemy to zrobić tem bardziej, że jesień przyjdzie, nastaną słoty i trzeba będzie pilnować domu i pracy.

— Zamiar ten mi się wydaje niedoścignionem marzeniem, rzekła jej Tekła, dużo w strumyku obok pasieki upłynie wody, dużo pszczoł z ulów wyleci albo się zbłąka, nim to nastąpi!

— Bardzo być może, rzekła hrabina, ja mówię o tem jak o zamiarze, który się spełni lub zniknie jak tyle innych; a zresztą ponieważ zmrok już się schował, zapalmy świece i bierzmy książki do przeczytania.

Na jednym stole hrabiny, prócz pism czasowych, leżały zawsze: Tomasz a Kempis, Żywoty ojca Prokopa i Skargi, oraz życiorysy św. Teresy, Moniki, Jadwigi i t. d. Prócz tego były tam jeszcze krótkie wspomnienia tych wszystkich osób, które tak licznie w wieku XIV i XV jakby przygotowując świetną dla Polski epokę następnych czasów, w całym się kraju pokazywały, kropiąc krwią serca własnego wszystkie drożyny i ścieżki polskiego kraju i ludu, który się na nich mnożył i rozwijał. Polskie świątynie brzmiały dla nich chwałą modłów i uwielbienia, prosząc aby te wieki dziś znowu wróciły. Hrabina codzień odczytywała z kolei te życiorysy, a porównując ich czyny z marnymi ludźmi dzisiejszych czasów, tem chciwiej do ich zaglądała blasków, skupiając w sobie wszystkie wrażenia ich wielkiej duszy. Tekła podobnie słuchając odczyty, przery-

wała je czasem zapytaniami, a tak wśród książek i rozmów, mających spójnię z książkami, przechodził każdy im wieczór.

— Pomiedzy ludźmi świętości i cnoty w naszym biednym kraju, rzekła hrabina, była niedawno za naszych już czasów na naszej ziemi cudowna postać Wiktora hrabiego Ożarowskiego, który wyniszczywszy w sobie wszystkie godności, tytuły i ceremonije wielkiego świata, w których wzrósł i wychował się, stał się dobrowolnie najniższym z ludzi, wyrzekł się wielkiego majątku swego, przyjął ubóstwo, a w tym upośledzonym, pełnym obawy a nawet wstrętu u ludzi, stanie, położył większe zasługi od najpotężniejszego władcy i mocarza. Żywot jego umieszczony pod dniem 29 lutego u ojca Prokopa, jest porywający! Szkoda, że w waszej cerkwi wschodnich obrzędów, nie macie rozpowszechnionych książek „żywotów“. Ten człowiek tyle mi daje szczęścia, spokoju i życia, że się odradzam przy każdym o nim wspomnieniu! Skarga, ksiądz Marek, Skiwski i Ożarowski nie są uznani do dzisiaj za ludzi świętych, lecz w mojej duszy tyle się zbiera dla nich uczczenia, że się kolana pomimo woli zginają i chce się klęknąć przed nimi! W chwilach cierpienia modlę się do nich, a ten ostatni żyjąc wśród ludzi, nosząc na ręku swojej roboty różaniec z prostego sznurka spleciony, dziś ma zapewne z gwiazd i błękitu... rzuca mi teraz z lepszego świata, w którym się dzisiaj rozplywa takie prześliczne natchnienia, że lecąc do mnie, już je w powietrzu przyjmuję, chwytam, patrzę się na nie jak na ołtarze w najuroczystszej ozdobie!

To mówiąc, hrabina odczytywała jego życiorys, a potem doszedłszy do chwili, gdy on się przezwiał Damianem, umarł w ukryciu, nigdy przez całe życie ani na chwilę nieoceniony przez ludzi, ani też nigdy nie doznający pociech, współczucia, za swe ofiary i bohaterskie nad siły prace; puściła łzy z oczu,

rzucając je zcicha, jak krople rosy na wszystkie miejsca na ziemi, po których on chodził, myślał, modlił się i cierpiał.

— Coraz się więcej mi otwierają oczy, odrzekła Tekla, coraz się więcej odkrywa serce, a chce się cierpieć jak inni ludzie, nie doświadczając pociechy.

— To bardzo dobrze, odpowiedziała hrabina, to jest stan ducha najpotrzebniejszy na świecie; wtedy przychodzą radość, wesele i najprawdziwsza pociecha z życia. Co do mnie, muszę ci wyznać, że w tem ustroniu, w tym małym domku jest mi spokojnie, może być nawet, dość często czuję szczęście przy sobie; ale pomimo tego chętniebym nawet zmieniła życie, wyrzekła się pociech i weszła w inne okryte cierniem, kolcami, byleby tylko wykonać swój obowiązek kobiety, żony, związanej ślubną przysięgą z tym, który mię rzucił, opuścił.

Tekla znając wszystkie szczegóły rozerwanego związku hrabiny z mężem, nie miała chęci trącania przedmiotu, który był smutny; dziwiła się tylko, że ta kobieta tak młoda, przy tylu wdziękach piękności, przy wykształceniu, tak mało jest ocenioną. Poznawszy bliżej hrabinę, uczuła żal i urazę do tego, który ją rzucił, tem bardziej, że znając dobrze hrabiego z przychylniej strony, dziś mogła mu za to jeszcze silniejsze robić wyrzuty. Jakież to czasem nieubłagane są ludzkie losy na ziemi! jakże jest trudno złączyć się razem i porozumieć w jednym kierunku i celu! Mało jasności świeci na ziemi, albo za małe może są ludzkie oczy na twarzy, że nie zobaczą prawdy. — Byłoby może znacznie dogodniej, myślała sobie, by cała głowa była okryta oczami, a zamiast włosów, które są do niczego i tylko kłopot sprawują z myciem, czesaniem, niechby tam lepiej świeciły się oczy!

W domu hrabiny nikt nigdy nie bywał; ciągle to samo grono osób nie przykrzyło się jednak. Owszem, znajdując w sobie coraz to inne i coraz nowe odcienia pojęć w rozumowaniu,

poglądach, a nawet w czynach, z powodu nieskończoności w objawach ducha, tyle dawało treści nowin i rozmaitych wrażeń, że się życie napelniało bardzo wszechstronnym gwarem i ruchem. Hrabina nie potrzebowała więc ani nowych znajomości, ani nowych ludzi. Świat dla niej zdawał się nawet zbyt już obszerny we własnem kółku, bo gdzie się tylko skupi uwaga z całym rozsądnem zastanowieniem, w przestrzeni nawet maleńkiej, to i tam również znajdzie się pole dla myśli.

Największą uwagę hrabina zwracała zawsze na ludzi: był to przedmiot dla niej najtroskliwszej pieczołowitości. — Najwięcej, mówiła często, jest takich, którzy się troszczą końmi, stadami, rolą, posiewem, żniwami, drobiem, sianem lub słomą i najrozmaitszym drobiazgiem; a mało osób, które się trudnią samym człowiekiem! A jednak wszystko to niknie we wzroku ducha, wszystko się ściera wobec zadania, jakie mieć trzeba, do otaczających nas ludzi, każdego stanu i położenia. Im kto się głębiej przejmie obowiązkami dla ludzi z zasady życia, tem korzystniejsze zyska następstwa w całym obrębie materialnego świata swojego i w gospodarce i w urodzajach i w obfitości siana lub słomy. Z tego powodu lud prosty wielkiej doznawał opieki u niej; a chociaż inne starania około roli i wszystkich wiejskich zabiegów na drugorzędnem stawały miejscu, to jednak i te ostatnie pomimo trudnych warunków, dawały plony zadziwiające. Kto inny w jej położeniu dawno już byłby w rękach żydowskich, pracował, krzątał się, coraz to bardziej ujmował sobie, aby wyżywić swych arendarzy i ich bachurów; a wieś hrabiny, chociaż niewielka, dawała tyle, że wystarczało jak na rozchody domowe, tak gospodarskie. Skrzętne prowadząc życie, zdołała ona uzbierać nawet gotówkę, którą przez ręce księdza Łazara posłała na zapomogę mężowi.

Pobył Tekli w domu hrabiny pod każdym względem był dla niej korzystny, pouczający. Patrzała ona na wszystkie prace

hrabiny z poszanowaniem; słuchała rozmów z niewysłowioną pociechą i uwielbieniem, lecz jako obca w tym domu, jako gość tylko, nie czując w sobie żadnego prawa do ściślejszego złączenia się z domem, tak, aby się mogła postawić jako jednostka w krwi, duchu i pochodzeniu na równej szali, była jakby chwilowym tylko miłym dla domu obrazem, który mógł się zarówno i wynieść z domu. Tekla nie miała właśnie tego kącika w swoim rodzinnym od lat dziecinnych znanem i blizkiem kółku, przy którym łatwo się przęda i snują śmiało dalsze dni życia, z całem serdecznem i szczerem poświęceniem się dla obowiązków i pracy. Cena takiego miejsca we własnej domu zagrodzie jest tak wielką, że je nie można zyskać ofiarą życia całego. Ztąd Tekla, chociaż się czuła weselszą i spokojniejszą niż pierwej, lecz za to doznała w sercu nowe pragnienia niedoścignionych i nienabytych już nigdy marzeń.

Są pewne natury ducha, zbudzone może za późno w rozwoju swoim, ale tem gęściej i liczniej pokrywają się na raz buchającemi strugami płomieni w pragnieniach i żądzach; a jak zielone strączki wysunawszy na wierzch wiele kwiatów, wysilają się z tego, a nawet słabną, tak również i one tak się pośpiesznie przepalą we własnej głębi, że tracą potem powolne i naturalne koleje swego postępu i życia.

Tekla była z natury bardzo poetyczną; mieszkając jednak u rodziców, wstrzymywała wszystkie porywy uniesień ducha, to otoczeniem zwyczajnej i gospodarskiej czeladki, to pracą koło najprostszych przedmiotów. Ocknąwszy się potem w domu hrabiny, wśród innych idealniejszych żywiołów, w dość krótkim czasie tak wybujała w swej wyobraźni, że życie stało się dla niej niedoścignionem marzeniem.

Hrabina łatwo w niej to dostrzegła, a wiedząc jak jest zgubnem w życiu młodej dziewczyny, gdy się fantastyczna przeważy strona, a urojenia wylecą w świat szukać zadowolenia,

starala się w niej ostudzić tę dążność. Tekla zbyt się często ze swoim usposobieniem zdradzała: raz pragnąc znaleźć najwyższą doskonałość w ludziach, to znowu upatrując w nich stronę ujemnej ostateczności. Wprawdzie i jednych i drugich już знаła, nawet widziała w krótkim lecz pełnem wrażeń swem życiu; ztąd żywa, młoda i bogata jej dusza widziała tylko same otchłanie i szczyty w świecie!

To kołysanie się myśli i wzroku wśród dwóch ostateczności, przechodziło i na dalsze obszary, odbierało jej trzeźwy i ludzki pogląd, a nie znajdując oporu w średnicy, żyła jakby w zawieszeniu pomiędzy niebem a ziemią. Śpiew i muzyka hrabiny odkrywały jej przestrzeń dla dziewiczych marzeń o miłości: szukała serca męskiego, czystego jak swoje, z któremby razem mogła wspólnemi uderzeniami wydobyć wielką pieśń życia; jej tony powinny były sprowadzić błękity nieba! Cnota w postępowaniu hrabiny budziła pragnienie, by wszyscy ludzie byli świętymi na ziemi; a jej twarz, oczy i wszystkie wdzięki niewieście wydobywały najgwałtowniejsze z żądz ludzkich chęci, by wszystkie twarze jakie są tylko na ziemi, były okryte pięknnością.

Hrabina jednak mając głęboką i silną wiarę, te wszystkie niedoścignione na ziemi obrazy przenosiła w świat zagrobowy, w krainę wiekuistej światłości, a mówiąc o nich albo śpiewając, wiedziała że tu na ziemi ich nie ma i być nie mogą; owszem są one tylko przeczuciem ducha o lepszym kraju w nieskończoności. Tekla zaś jako młodsza i mało jeszcze w zasadach wiary ugruntowana, pragnęła je widzieć zaraz na ziemi.

— Ja tak nie lubię czekać, mówiła Tekla, że mi się od tego rwie serce; co ma nastąpić, niech zaraz będzie lub nigdy! Co jest w pojęciu i woli, to niech się staje rzeczywiście, we mnie lub innych.

— Tak być nie może, rzekła z uśmiechem hrabina, wi-
 dać rusinki nie mają ziemi i kraju, żyją w powietrzu, albo za-
 ledwie co zaczynają szukać ojczyzny!... — Przy tej zręczności
 hrabina z całą ujmującą delikatnością wspomniała Tekli, że ru-
 sini przyszedłszy ze Szwecyi od lat tysiąca do polskich kra-
 jów, nie mogą jeszcze lub nie chcą zatrzeć na sobie tych przy-
 rodzonych skłonności szukania sobie coraz to nowej ojczyzny
 i krajów, któremi odznaczali się pierwotni przybysze, ich pro-
 topłaści dawniejsi. Że ten kierunek był zrozumiały dawniej
 przed tysiąc laty, gdy nie wiedzieli gdzie się osiedlić czy nad
 Dunajem czy w krajach Polski, lecz teraz powinien ustać!...
 — Wyście przybrali nasz kraj za ojczyznę dla siebie i czemuż
 innej szukacie?

— Ja jej nie szukam, odrzekła Tekla, bo nie należę ani
 do żydów, ani cyganów... przyznaję tylko, że mam w naturze...
 chce mi się czasem wszystkiego... i nie wiem czego.

— Nic nie powstaje, rzekła hrabina, dorywczo w świe-
 cie! albo się rzeczy wciąż opierają na swej przeszłości, albo
 na niczem!... gdzie tylko nie ma przeszłości w życiu, gdzie nie-
 wyraźnie są określone dawne podstawy jednostek albo naro-
 dów, tam nie ma bytu, jest urojenie! Jeśli chcesz zyskać miej-
 sce wśród ludzi... z ludźmi żyć... cierpieć, pracować i oczeki-
 wać od Boga lepszych kolei... to weź nazwisko ludzkie, zwy-
 czajne, nasze, które się w kraju wiekami już utworzyło... bądź
 tak jak inni człowiekiem! Czy ci źle u mnie? może ci czego
 brakuje? powiedz, wyznaj otwarcie! ja wszelkich starań użyję,
 by ci we wszystkim dogodzić!

— Lepiej mi tutaj jak wszędzie, mówiła Tekla, ja tylko
 wdzięczność mieć muszę... poznałam wiele, czuję, rozumiem...
 ale dla tego właśnie, że mnie się trochę może za wiele otwarły
 oczy...

Hrabina powodowana listem księdza Łazara, otaczała Teklę troskliwością, na jaką tylko mogło się zdobyć jej dobre serce. Wprawdzie mając swe własne domowe kłopoty i zatrudnienia, musiała się często oddalać, zostawiać ją samą, szczególnie że były takie czynności w domu, do których bała się brać Teklę; za każdym jednak razem, gdy się znalazły ze sobą, hrabina dostrzegała w umyśle Tekli niekorzystne zmiany.

Tak przeszło dni kilka, a potem więcej.

Raz gdy hrabina poszła wraz z Teklą na przechadzkę do ogrodu, a dłuższą i swobodniejszą prowadząc rozmowę, dowiedziała się od niej o uczcie, która się z takim przepychem odbyła w parochii księdza Maksyma, mówiła do niej: — moja droga Teklo, wiem że ci było niepodobieństwem może usunąć się od niej, bo będąc w domu, musiałś w niej uczestniczyć, ale mając tak dobre i szlachetne serce, musisz wraz ze mną przyznać otwarcie, że uczta była tak niestosowną jak zgubną nawet dla kapłańskiego zawodu. Wyobrażam sobie, że taka uczta mogłaby może mieć miejsce przed lat tysiącem w czasach pogaństwa, lub wtedy gdy po raz pierwszy ledwie przybyły do naszej ziemi ruskie drużyny pod przewodnictwem Oskolda, Dyra i innych, tylko się świeżo u nas usadowiły i zamieszkały. Wówczas mogłyby pewnie znaleźć się nawet powody i cel do tego! Było to bowiem jeszcze ruskie nowe i obce dla kraju społeczeństwo, nie miało z nami i wieśniakami naszymi najmniejszej spójni ani w krwi, pochodzeniu i rodzie, ani w religii i mowie; więc jako przybysze, jako najeźdźcy mogli się dla nas w postaci wroga przedstawić! lecz dzisiaj tysiąc lat przeszło jak w polskim kraju razem tu z nami mieszkacie, z niw i pól naszych zbieracie plony; pijecie czyste strumienie wód naszych... a jak ty u mnie, pochlebiam sobie, że nie doznają przykrości!...

— O nie, bynajmniej, krzyknęła Tekla, proszę mi tego nie mówić!

Dzień był prześliczny, blask z nieba jak smugi srebrnego deszczu padał na pola i drzewa, wijąc się po nich jak ciche fale na zwierciadlanej przestrzeni jeziora. Pomiedzy niebem a ziemią zawisł jasno błękitny muślin tak przeźroczysty i lekki, że ledwie można go było dopatrzyć; po nim gdzieniegdzie pierzchały ptaszki, skubiąc skrzydłami cieniuchną tkankę i wyrwując z niej ledwie skupione i powiązane oczka ze sobą; a cisza tak była wielka, że nawet te małe przerwy naturalnemi się zdały.

— Zanadto długo jesteś bez ruchu, rzekła hrabina, może chcesz się przejechać? ruch i przejażdżka tak są niekiedy potrzebne jak spokój ludziom.

— Miałyśmy razem zwiedzić pasiekę i dziadka, mówiła Tekla nieśmiało, może dziś to zrobimy?

— Jeżeli chcesz tego, dobrze, — odpowiedziała hrabina. Kazawszy potem przygotować zaprząg, obie się rychło zebrały; hrabina wzięła mały koszyczek Tekli, włożyła bułki do niego i inne rzeczy dla pokrzepienia się w drodze i pojechały w stronę, gdzie była pasieka księdza Maksyma.

Podróż nie była długą, konie leciały prędko, parskając nozdrzami i w takt uderzając kopytem; po drodze zrywały się z ziemi większe i małe ptaszyny, roznosząc lotem hasła baczności dla innych ptaszków, które się jeszcze nie mogły pozbyć roztargnień, oraz opieszałości w ucieczce; za kołami toczyły się kłęby kurzawy, wijąc się w górę i chcąc naśladować dym z chaty, lub nawet małeńkie chmury w powietrzu.

Konie boczną i węższą drożyną wleciały w las i zostawiały po obu stronach za sobą większe i mniejsze drzewa, które się ciągle migając, zdawały biegnąć w przeciwną stronę, tam gdzie się już konie przemknęły; konie coraz powolniej

biły kopytem po ziemi, potem szły stępo i wnet pokazał się strumyk. Był on jak zwykle od najdawniejszych już wieków i żartobliwy i pełen wdzięku w swych poruszeniach: rozdawał z upodobaniem i ujmującą rzeźwością kropelki swoje muszkom i ptakom, które z oddali znając go dobrze, przelatywały do brzegu; on pryskał na nie, aby przestraszyć drobne kropelki tym samym wiecznie sposobem, na takie same od wieków ptaszki jako swawolny psotnik od wieków nieprzemieniony!

Tekla z hrabiną wysiadły, poszły na mostek i tam stanawszy obok poręczy, patrzyły na zwroty jego w tanecznych pływach i skokach; potem przebiegły w stronę pasieki, a otworzywszy małą furteczkę, nad którą stał stary krzyżyk, weszły do wnętrza pasieki.

Ule jak zawsze stały do góry w nieruchomości nagrobków lub krzyżów nad mogiłami; w dalszym zakątku pasieki stał biały, jak gdyby wiotka biała kapliczka, stary pasiecznik. Ręce miał podniesione do góry, znać że się modlił; oczy zmrużone jak gdyby nie mógł albo już nie chciał patrzeć na ziemię; zamiast ocz pokazywały się tylko na czole dwa kragłe dolki puste i zaorane zmarszczkami; ust prawie nie miał, lub w głąb zapadnięte tworzyły otwór, który co chwila to się odmykał to znów zakrywał; znać z tego miejsca wylatywały słowa modlitwy do Boga, ale tak prędko, jakby z otworu uła co chwila tylko nieprzeliczone zastępy pszczołek wydobywając, wznosiły się w górę. Potem wzruszoną ręką dziad żegnał wioskę i cerkiew, w której leżały prochy znanej mu dobrze osoby, tak jak to czynił uprzednio.

Hrabina z Teklą na widok starca uklękły; krzyż po powietrzu kreślony ręką dziadowską, spoczął i na nich; po chwili obie powstawszy, poszły do dziada witając to uroczyste i rozmodlone oblicze jego wielkiem i kornem pozdrowieniem. Dziad poznał Teklę po głosie; potem ująwszy palcem powiekę, coraz

ją więcej rozciągał, mniemając że im bardziej otworzy oczy, albo odstłoni źrenicę, tem lepiej Teklę zobaczy; lecz stare oczy już wypatrzone i wypłakane, nie dopatrzyły jej dobrze. — Szkoda że jestem stary, mówił do Tekli, dzień i noc dla mnie prawie jednako ważą; rad jestem jednak, że ucho słyszy i dziś po głosie więcej poznaje, niż po kolorze. — Potem powiedział, że miał sen o niej bardzo znaczący i że ją wita z wielką radością.

Hrabina patrząc na starca, tak była wzruszoną, że ani słowa mówić nie mogła: stojąc w pobliżu około starca, zaczęła mówić modlitwę. Czasami w oczach jej się wydało, że „wieczność“ stoi; czasami znowu, że jakiś z rajů Adam, przez dziewięć wieków żyjący według podania na ziemi, jej się pokazał; a zatopioną w przeszłości, przędła po cichu ze swego serca tak mocne nici uczuć szacunku i uwielbienia dla dziada; że myśli po nich najpoważniejsze, najcięższe prawie bez wagi choǳiły, nie uginając ich mocy.

XV.

Tymczasem w dworze hrabiego w Złotówce wypadły zmiany w usposobieniu hrabiego bardzo znaczące. Dowiedziawszy się o wyjeździe Tekli, hrabia starał się ciągle być w towarzystwie księǳza Łazara, aby u niego wybaǳć gdzie, w jakim celu i na jak długo odjechała Tekla. Księǳz Łazar, nim mu otwarcie powiedział gdzie się udała, starał się wprzód oświecić, że los jej zanadto się może jakby grudniowe wiatry rozpaś, wstrząsać całą jej postać, chwiał, łamał wszystkie jej młode gałązki ducha, obalał życie; a wymagając czynnego wpływu ludzkiego i wielkiej opieki, Tekla musiała się przenieść

w inne ustronie i spocząć w gronie takiej zagrody, gdzieby nie mogły jej znaleźć żadne wstrząśnienia.

Na zapytanie kiedy powróci, ksiądz Łazar mówił, że nie wie, lecz w każdym razie rodzice córki postanowili ją oddać na dłuższe czasy. Hrabia słuchając o tem, zrazu się zdawał poruszeniami rąk, twarzy mu okazywać wielkie zdziwienie, lecz potem zasepił czoło i został smutnym jak gdyby nieruchomością przybity. Oddalenie się Tekli na dłuższe czasy wskazywało mu jawnie, że ją wyprawiono z rozmysłu i że zapewne na nowem miejscu, otoczona nowemi ludźmi, we wszystkim się zmieni.

Ksiądz Łazar nie chcąc być podejrzanym o tajemniczość, nadmieniał zaraz, że Tekla jest w dobrym domu, że nic lepszego nie mogło się zdarzyć w jej losie, bo zamieszkała u pani hrabiny. Ostatnia wiadomość była hrabiemu tak obcą i tak obszerną, że w jego myśli nawet się zmieścić nie mogła; przyjmował, mierzył, oddalał ją z myśli, a potem znowu ją wkładał, męcząc się ciągle rozumem swoim i własnem sercem. W tem ożywieniu duchowem wszystkie stanęły mu w oczach obrazy: pierwsze przybycie księdza Maksyma do dworu, pierwsza rozmowa i zapytanie o piękną córkę, której choć nie znał, nie widział, ale się tylko domyślał o niej; przypomniał sobie, że w owym czasie tak był pomięszał pytaniem księdza o piękną córkę ze wspomnieniami o żonie, nie przewidując że los je złączy i razem obie pod jednym zamieszkają dachem.

Hrabia nie mógł już teraz żadnych przy sobie wstrzymać nadziei, żadnych widoków na Teklę; — już się rozwiały, mówił do księdza, zamiary moje, bardzo żałuję, że się spotkałem twarzą w twarz z nowym zawodem! Mniemałem, że się odrodzę... że się na zawsze pożegniam z niepowodzeniem, przeistaczając kółko domowe... chciałem już z uśmiechniętymi ustami przywitać nowe pojawy najpomyślniejszych zwiastunów doli,

liczyłem na to, że mi porosną pociechy życia w domu, za domem i w całym świecie... ale jak widzę, wszystko wróciło do dawnych czasów. Jestem tym samym jak dawniej; ta sama przestrzeń znowu przedemną się ciągnie w posępnym cieniu i tem wstrętniejsza, że staje w oczach na przekór.

— Jest coś dziwnego, rzekł mu ksiądz Łazar, w życiu prawie każdego człowieka... im się kto silniej miota albo się rzuca w walce z losami, z niespokojnością wezbranej fali, która bezwiednie, nie znając celu ani obszarów, po której płynie, rusza się tylko by zmienić miejsce; tem prędzej z siłą spadnie i bezwładnie po czasie, nie mając potem oporu. Tylko powolna, wytrwała i cicha praca w zakresie swych obowiązków małych i większych, przygotowuje następstwa tak niewzruszone w podstawie, że jej się boją nawet zawody, niepowodzenia.

— Nie mogę dłużej tu siedzieć, czuję w mych piersiach wezbrane nurty silnych strumieni krwi własnej, rzekł hrabia; powstają we mnie jakieś uczucia niewysłowionej ciężkości; — a potem ująwszy czapkę, prosił księdza Łazara, by mogli przejść się dla rozproszenia nużących myśli.

Wyszedszy obaj, minęli wioskę, szli coraz dalej i dalej po pustem polu z wielkim pośpiechem. Hrabia spostrzegłszy, że blisko są lasu, w którym oddawna już nie był, wprowadził księdza do lasu, potem na brzegi strumienia, obok którego już niedaleko leżała pasieka księdza Maksyma. — To miejsce, mówił do księdza, jest jakby snem moim i wypoczynkiem; lubię pasiekę, wstąpmy do niej, bo mi się zdaje, że widok ulów wprowadzi nas w kraje szczęśliwszych czasów.

Kiedy przez furtkę wchodzili obaj do wnętrza pasieki, wówczas w odkrytem miejscu Tekla z hrabiną siedząc na trawie, jadły swój podwieczorek. Szelest wchodzących w tej samej chwili, zwrócił ich oczy, lecz nie poznały nikogo. Miękka i żywa rozmowa kobiecym głosem jakby muzyczną przegrywką

urozmaiconą, rozchodziła się wdzięcznie bardzo wyraźnie. Ksiądz Łazarz cwałem poleciał, krzycząc w powietrzu: — pani hrabina i panna Tekla... — poznawszy ich twarze. Hrabia nieporuszenie na jednym stanawszy miejscu, tak stracił ruchy, że chociaż może chciałby się ukryć, lecz go strach trzymał pętając nogi i ręce łańcuchem wstydu. Gdy się ksiądz Łazarz zbliżał do miejsca, gdzie podwieczorek jedzono, hrabina z Teklą nie mogąc żadnego wymówić słowa, ledwie zdołały w tym niespodzianym wypadku w najuroczystszym milczeniu skłonić się księdzu. Obie tak były owiane chłodem obawy i zdziwienia, że wszystkie słodkie uczucia szacunku, czci, uwielbienia dla staroego księdza, nie mogły w nich się ani przejawić, ani otworzyć. Ksiądz Łazarz uradowany spotkaniem, wszystkimi wysileniami mowy, ruchami rąk, twarzy, starał się ująć je obie, dając im poznać, że w najwłaściwszym, w najpożądalszym są teraz miejscu. — Panie są tutaj, powiedział do nich, zesłane dla nas jak gdyby najpotrzebniejsze natchnienie, oczekiwane pragnieniem jego! Nie wiemy obaj, wskazując ręką na stojącego w dali hrabiego, jakimi słowy radości cieszyć się, witać, przemówić...

Ostatnie słowa zbudziły w sercu kobiecem przełęką i drżącą śmiałość, która natychmiast puściwszy serce, w najgwałtowniejszym pośpiechu lecąc z ukrycia, spoczęła w twarzy a potem w oku, nie mogąc dość się oswoić z nowo zyskaną swobodą. Hrabina skłoniła się zaraz i księdzu i stojącemu w oddali hrabiemu, dziękując za ich uprzejmość. Hrabia dostrzegł te ruchy i w tejże chwili pomimo najrozmaitszych wrażeń, które trzymały jego w wielkiem skupieniu, również się skłonił: schyliwszy głowę, trzymał ją długo zwieszoną ku ziemi, jakby się bojąc nowego zwrotu, nowych słów, ruchów, lub nowych zdarzeń. Już mu się zdało, że w tem schyleniu zostanie długo, że sama pierś nawet i krzyże zatrzymały go na to, by

się nie ruszył ani z postawy, ani też z miejsca; gdy Tekla, powodowana czy to przecuciem czy też skłonnością dobrego serca, podbiegła do niego i mówiąc zdala: — witamy pana, prawda żeśmy przybyły tak niespodzianie, że pan nie wierzy własnemu oku i własnej myśli? niech się pan z nami przywita teraz!

Głos Tekli wnet go ocucił, zawsze ją dotąd z wielką spotykał radością, zawsze z nią mówił powodowany potrzebą serca, ale w tej chwili tak był zmieszany, że wszystkie władze umysłu ledwie się mogły ocucić. — Pan nic nie mówi, rzekła mu Tekla, czy to być może? — Ledwie skończyła ostatnie słowa, pogodne niebo, które aż dotąd trzymało zewnątrz na sobie najgustowniejszą z jasnych kolorów zasłonę, rzuciło na się szybkimi poruszeniami ciężkie i ciemne okrycie. Niebo się zdało młodą i piękną kobietą, która w rozmowie wysnuwa z siebie to pieszczotliwe słowa najłżejszych uczuć niewieścich, to znowu w kapryśnym tonie rzuca wyrazy pewnej niechęci lub nawet gniewu; w tem nowem przeistoczeniu powstały ogniste błyski to na ramieniu, to znowu w piersiach i szyi nieba, a blaski coraz się wijąc po całej jego postaci, tak skierowały do siebie wszystkich stojących na ziemi ludzi, że się przerwała rozmowa. Po chwili zaczął drobniutki deszcz spadać z wyżyn coraz ciemniejszych obłoków, a potem znowu w tychże obłokach zjawily się wstęgi błyskawic. Ksiądz Łazar, hrabina i Tekla przejęci niespokojnością, szukali miejsca schronienia; nim jednak myśl im przyniosła, gdzie mogą znaleźć przytułek, deszcz ośmielony ich niewyraźnym i niestanowczym ratunkiem, coraz gwałtowniej i prędzej zaczął się spuszczać, chcąc całą przestrzeń jak on w wodnistą zmienić na ziemi powierzchnię.

Jedynem miejscem schronienia była w pasiece budka dziadowska; do niej więc razem, oprócz hrabiego, zbiegli się wszyscy, a otworzywszy jej niskie drzwiczki, weszli do głębi.

Hrabina trzymała w ręku jakby już utopiony, lecz wkrótce wy-ratowany z nurtów głębokich, koniec sukienki; Tekla podtrzy-mywała na głowie bardzo zmoczone warkocze ściskając ręką, by rozgniewane nie spadły na dół; ksiądz Łazar obcierał buty, a tylko po chwili zastanowienia dostrzegli, że przy nich nie ma hrabiego. — Zmoknie tam, zmoknie! — krzyknęli wszyscy, cisnąc się znowu do drzwiczek: ksiądz Łazar wybiegł, schwy-cił za rękę hrabiego i obaj cwałem weszli po chwili także do budki dziadowskiej.

Gdy się ocknęli w bezpiecznem miejscu, ksiądz Łazar zgartując dłonią z sukni hrabiego wodniste strugi, powiedział głośno: — deszcz według ludzkich przekonań zawsze jest zna-kiem błogosławieństwa i... i nic dziwnego! jest on doprawdy szczególnie dla mnie najwidoczniejszą oznaką bożej opieki i ła-ski, które nie tylko ratują ziemię, ale i ludzi od zguby! Je-steśmy tu zgromadzeni w małej i wąskiej, bardzo ubogiej cha-łupie, lecz ją uważam pod pewnym względem pałacem wielkich przepychów, naszym zbawieniem i arką! Jest to siedziba starca i patryjarchy naszego! a jego życie i cała przeszłość jakby w różańcu zebrały grona czystej modlitwy i czynów: niech więc jej ściany zmieniają się dla nas w kolebkę bożą, a w jej przybytku niech się wytworzy skruszone serce... niech z niego wyjdzie dobra modlitwa, a płynąc w boże podwoje, niech nam sprowadzi miłość i zgodę... bardzo na krótko... tylko do śmierci... która jest zwykle tak blisko przy nas, jak własne ciało przy duszy...

Hrabia spojrzał na żonę: nigdy się jemu nie zdała ona tak uroczyście wspaniałą, piękną, tak uroczyście niebieską; słuchając słów księdza, twarz miała nieco schyloną, zwieszając na bok razem z myślami całego życia ludzkiego marne zabiegi na grudach doczesnej ziemi. Po chwili czując na twarzy znany jej dobrze, lecz niebywały oddawna wzrok męża, spojrzała mu

w oczy, mówiąc po cichu: — przybyłam tu nie przewidując, że ujrzę ciebie... osamotniona... smutkowi tylko dałam w ofierze te wszystkie ślubne uczucia... które się tobie oddały... były to lata dobrej pokuty, upokorzenia, dziękuję za nie! nie są to słowa wdzięczności za dobroczynność lub zwykłe szczęście, lecz za cierpienia, które mi były potrzebne w życiu więcej jak szczęście!

Hrabia choć wszystkie słyszał wyrazy, nie badał jednak ich treści; sam głos hrabiny słodki i rzewny zdawał się jemu tak czułą, jakąś z lat niemowlęcych słyszaną pieśnią, rodzinnych i blizkich tonów; że poszedł do niej, ujął za rękę i z najgorętszym ją ucałował wzruszeniem.

Ksiądz Łazarz widząc ich razem, chciał dać im czas i sposobność do poufnych rozmów, pochwycił Teklę za rękę, mówiąc: — chodźmy zobaczyć, czy deszcz nie pada? — Już małe drzwiczki otworzył, gdy strugi deszczu coraz gwałtowniej spadając z góry, zamknęły je nazad. — Gdzież jest gospodarz nasz dziad-pasiecznik? spytała się Tekla. Wszyscy jesteśmy w jego gospodzie, a dziadka nie ma. — To zapytanie dało zwrot inny, zajęło wszystkich uwagę i było przedmiotem różnych przypuszczeń, do których chętnie każda osoba należeć chciała, by poufalej, głośniej, swobodniej i żywiej rozmawiać. Wszyscy zaczęli krzyczeć i wołać coraz to głośniej i głośniej: — dziadku gdzie wy jesteście? przychodźcie do nas! — a choć dziad nie przychodził, toć jednak po tym okrzyku powszechne zadowolenie zebranych osób było tak wielkie bądź z siebie, bądź z swej rozmowy, że wszyscy skupieni do małej budki dziadowskiej, tak się bawili jak gdyby w najwygodniejszym pokoju.

Po czasie deszcz się wysilił i coraz słabiej spadając z góry, zdał się spoczywać w powietrzu, a potem zniknął, złączywszy się w dole w nierozzerwany ślub z ziemią. Tekla pierwsza

dostrzegła te uroczyste w całej naturze przemiany stanu: — już jest po wszystkim, krzyknęła głośno, nastała cisza, cała powierzchnia rozweselona tym związkiem spoczywa; pójdę do ulów — i wyszła. Za nią z kolei powychodzili inni w gwarnej rozmowie.

Z pod cieni gęstego drzewa wyszedł pasiecznik dobrze zmoczony; słysząc rozmowę, zmierzał swe kroki skąd głos się szerzył; — jest, jest pasiecznik, — krzyknęli wszyscy i otoczywszy go w koło, poprowadzili do budki, by spoczął.

Pobyt w pasiece przetrwał dość długo, nastał zmrok zrazu jak dziecko maleńki, a potem znowu większy i większy, rosnąc w powietrzu, zmienił się raptem w staruszkę siwą; schyłona głowa na dół ku ziemi zdała się mówić, że troski życia wychodząc z myśli, chcą głowę złożyć na wypoczynek czasowy; zmrużone jej oczy przypominały, że braknie światła; srebrne, ale już rzadkie włosy na głowie były wspomnieniem zaszłych doświadczeń, które się z różnych za dnia czynności jakby przestrogą bielily; a ciemne jej szaty mówiły ludziom, że więcej jest smutków na ziemi, niż wesołości i szczęścia. — Dobrze nam tutaj, mówił ksiądz Łazar, bardzo spokojnie, ale czas dojrzeć, wzywa nas wszystkich do domu; tym jednak razem z dobrą otuchą, spokojną duszą, z błogosławieństwem tak szczęśliwego wieczoru, chodźmy do domu hrabiego. — To przypomnienie wnet wywołało jakąś stanowczą przemianę w rozweselonych i rozigranych myślach; bo należało spotkać się zaraz twarzą w twarz z nowem i położeniem i życiem, które w rzeczywistości oczekiwały. Powolnym, niepewnym i trochę może nieśmiałym krokiem wszyscy dążyli w kierunku wyjścia, aby się udać do przeznaczenia i miejsca, które im losy wskazały

XVI.

Przybycie hrabiny do domu męża przeistoczyło cały ich domek we wszystkich większych i mniejszych rysach. Kobięca zapobiegliwość wkraczała we wszystkie małe, niedostrzeżone zakątki, by na nie rzucić blaski czystości i ładu. Ponury dom wyłagodził oblicze, przystroił się schludniej, otrzepał się z pyłu i było to pierwsze na razie zewnętrzne przeistoczenie się jego. Hrabia tak jeszcze niedawno żywiąc w swej duszy wspomnienie po oddalonej swej żonie, był doprowadził do tego, że po otwartych pokojach chodziły nawet zwierzęta; było to smutne lecz zrozumiałe następstwo trosk ducha, który oglądając się w przeszłość, w każdej pozostałości, w każdym przedmiocie z najpodrzedniejszych zakresów czcił i dostrzegał widomy obraz straconych śladów osoby, która wstąpiwszy niegdyś w dom jego, wszystkie dla życia większe i mniejsze zwiozła potrzeby. Dziś mając obok też samą postać, z którą część życia mu niepowrotnie minęła, czcił już tę samą osobę do tego stopnia, że raz spotkawszy księdza Łazara, pytał się jego, czyby nie było może potrzebnem wziąć po raz drugi ślub z żoną dla silniejszego i pewniejszego związku na przyszłość.

Hrabina po urządzeniu zewnętrznej strony domku wspólnego, wprowadziła w nim tenże tryb życia, który uprzednio w osamotnieniu, pewien czas żyjąc osobno, był u niej. Dostrzegłszy jednak, że wieś była zbyt obciążoną długami, sprzedała własną i otrzymane pieniądze użyła na spłacenie długów. Gdy jednak pomimo tego zostały się jeszcze najrozmaitsze długi żydowskie, urosłe z niedotrzymania kontraktów, lub ze sprzedaży zboża, którego brakło w stodole w dawniejszych

czasach; więc namówiła hrabiego, aby część gruntów w samej Złotówce sprzedać włościanom i spłacić wszystkie ciężary.

Z tego powodu potrzeba było dom ograniczyć do bardzo małych rozmiarów: szczupła posiadłość jeszcze się znacznie zmniejszyła, wycięte lasy w dawniejszych czasach już nie dawały korzyści, a cały niegdyś tak wielki i tak bogaty majątek ścisnął się, zmalał w swej objętości do tego stopnia, że się wydawał szkieletem. Ograniczeni do małych zagonów, oknęli się w świecie nowego życia obok ubóstwa i nędzy. — Porzućmy tytuł hrabiowski, mówiła do męża; w kraju upadłym i zrujnowanym nie ma tytułów! Wszyscy jesteśmy sługami tylko, niewolnikami najobszerniejszych nieszczęść, które w rodzinach i w całym kraju wszystkich objęły. Godności przodków z dawno ubiegłej przeszłości nie mogą i nie powinny w nas zostać albo się na nas przelewać... nastała inna epoka... co było, przeszło... nam się zostaje tworzyć świat nowy... a w nim założyć nowe granice dla nowych krajów... zaciągnąć się w kółko prostych wieśniaków i robotników... stworzyć epokę przedhistoryczną, ludową i wspólną pracę, w małych z początku zakresach, wozić taczkami ziemię i grudę na posiew dla przyszłych domów, dla przyszłych rodzin i społeczeństwa.

— Musimy wszyscy zastosować się tylko do losu... z nim iść, pracować w najpodrzedniejszych robotach... a jak rodzice ujmując sobie wszystko we wszystkim dla zostawienia po swojej śmierci, zebrane plony dla dzieci; tak i my również zbierajmy posąg dobrych tradycji, dobrego mienia, dla naszych przyszłych pokoleń ofiarą życia!

Ograniczeni w wiejskiej zagrodzie do bardzo szczupłych rozmiarów, oboje razem do ciężkiej wzięli się pracy domowej, rozweselając tylko swe życie wielką tradycją przeszłości; tych starych dawno minionych wieków, gdy w małym zakątku, na

wielkim co do rozmiarów świecie, gdzieś nad brzegami odwiecznych ale drzemiących wód Gopła, lśniło się życie zrazu ukryte, patryjarchalne, proste, wieśniacze, pełne mozołu koło ubogich ziemskich zabiegów; ale cnotliwe i tak potężne, że z niego potem jak błyskawicą powstał kraj wielki, od morza do morza i nasza wielka nieztarta i niezgłodzona dodziśdnia jeszcze ojczyzna, pomimo najpotężniejszych wysileń kilku mocarzy.

W plebanii księdza Maksyma długi czas jeszcze rusińska sprawa była przedmiotem trosk i nieszczęścia.

Dom, w którym jeszcze niedawno hulaszcze dzwoniło życie, gdzie tłum zebranych parochów wschodnich obrzędów niósł tryumfalną koronę dla uwieńczenia pomysłów, powstałych w tak chorobliwych tętnach ich organizmu, że wstręt obudzał trwogę, a trwoga wstręty; ten dom, gdzie miała pysznie z całą potęgą wschodnich chytryści i okrucieństwa, królować sprawa najniższa w zakresie rozumu, najniegodziwsza w uczuciach, przywdział się w szaty pokutnej kłęski i kary.

Pieniądze łatwo zdobyte dla prowadzenia intryg w plebanii księdza Maksyma, przeszły zbyt prędko lecz bezpowrotnie i bez korzyści. Cerkiew długi czas jeszcze była opieczetowaną. Ksiądz Maksym coraz to bardziej nikł, marniał, męczył się, tracąc swe życie, jak zrąbany pień drzewa, który niszczą słońce, powietrze i wilgoć.

Nie mogąc znaleźć ratunku ani w zasobach religijnego uczucia, ani w swym naturalnym, prostym rozumie; złożony silną chorobą wycieńczającą siły ciała, leżał na łóżku patrząc za życia na marniejące wokoło siebie wszystkie zabiegi doczesnych celów i marzeń, tak domowych jak politycznych. Zapóźno wspomniał, że poświęcenie wyższej idei dla większych zysków na ziemi, jest zwykle dość niebezpieczne, rzadko się

kiedy całkiem udaje, lecz zawsze w następstwach krwawo się kończy, prędzej czy później.

Złożony chorobą, ksiądz Maksym leżąc na łożku, czuł że już nigdy nie wstanie; ten stanowczy wyrok coraz go bardziej rozdrażniał. Nie zostawiwszy żadnych ani dla siebie, dla czasowego ratunku, ani dla rodziny zasobów, zrywał się, wstawał, chciał żyć i działać! bo jakże trudno było się jemu oswoić, że będąc prawie bogatym, nie miał przy końcu środków nawet na leki w chorobie.

Zwoływał wszystkie cielesne siły, chciał znużyć słabość, przepierać, jak mówił, chorobę... natężał ręce, podnosił głowę, krzyczał że wstaje i że wstać musi, tylko mu ludzie nie dopuszczają do wstania, ale napróżno! Ta walka myśli z naturą ciała tak osłabiła mu umysł, że zaczął w głębi, by zadowolić pragnienia swoje, na tkance ducha własnego, tworzyć obrazy, wypadki, przejścia, w których sam czynnie, mimo niemocy i położenia brał udział.

— Ja teraz idę na chrzciny, krzyczał na łożku, mam spełnić obrzęd, za który mi dadzą najprzód rodzice, potem kumowie, a potem inni ile sam zechcę! dajcie mi buty, lecz tylko mocne z wielką cholewą, bym tam pieniądze mógł schować. a te wyrazy tak silną wolą i przekonaniem były poparte, że mu musiano stawić natychmiast buty przy łożku. Powiedźcie młodemu po całej wiosce, powtarzał często, że jeśli chcą się ożenić, to muszą zaraz złożyć mi najprzód do ręki tyle a tyle... inaczej każda dziewczyna zgnije w panieństwie, a każdy chłopak umrze parobkiem, nie doczekawszy się żony!

Najczęściej jednak w oczach się jego migały jakieś płomienie i pożar, bo sam palony nieustającą gorączką, spostrzegał ogień w całej naturze, na ziemi, w niebie, w chacie i w polu: ten stan był już zwiastunem ostatków życia.

Księżdowa i Tekla przez czas choroby z niewysłowioną dobrocią czuwały przy nim. Tekla tem boleśniesz miała wzruszenia, że przyjechawszy z cichego i miłego domu hrabiny, dotknęła się zaraz rzeczywistości, w której choroba, ubóstwo, a nawet nędza, nagie rozpościerały ramiona, wstrząsając niemi w każdym zakątku i krzycząc wszędzie najrozpaczliwszym głosem: ratunku! Ta ostateczność i przejście Tekli ze stanu błogiego i spokojnego bez trosk życia, z kraju poezyi i pieśni, który unosił jej duszę w najpiękniejsze choć wymarzone światy, do świata ziemi, w którym się ocknęła, gdzie ludzie muszą jęczeć, płakać i boleć, bez ratunku i bez nadziei; były dla Tekli tem niebezpieczniejsze i cięższe, że się to stało prawie gwałtownie, bez stopniowania i czasu.

Ksiądz Maksym w najokropniejszych okrzykach, bredząc bez końca o wszystkim, co go w ostatnich czasach dotknęło, zwracał się czasem i do swej córki. — Patrz, mówił do niej, tam stoi pan Grzegorz, a tu Kowalski i Nejda... chcą cię pokąsać... już ostrzą zęby... już ciebie łapią ustami... już odkąsili ci ręce... już szarpia pierś twą i serce, umykaj chyżo! — potem się nieco uciszył, otworzył usta i zgasł na wieki.

Ksiądz Łazarz będąc zmuszony wyjechać na parę dni ze wsi, dopiero przybył w chwili skonania: odprowadził pogrzeb, poświęcił ciało, wpuścił do grobu i nad mogiłą czarny postawił krzyż z drzewa, na odpocznienie wieczyste.

W czasie religijnego obchodu hrabina z mężem uczestniczyli do ostatniej chwili; a po pogrzebie wzięwszy do siebie księżdowę, dali jej kąciek i dożywocie we własnym domu.

Tekla po ukończeniu ostatnich śpiewów grobowych, znikła z cmentarza. Nikt jej nie widział, nikt jej nie zdołał odzyskać, pomimo najstaranniejszych zabiegów przez długie czasy.

Niespostrzeżenie wymknąwszy się z tłumu, Tekla pobiegła za wieś, potem po znanej drodze zwracając kroki w stronę

pasieki, przybyła do niej, wstąpiła w furtkę, a zamykając za sobą, z zapłakanemi oczyma rzekła, rzucając słowa w powietrze: — żegnaj mi świecie! ty bohaterze, mocarzu, władco... moja potęgo i moja nicości! jak król wszechwładny ty rozkazujesz i trzęsiesz ludźmi, dopóki oni wzrok błagający wznoszą ku tobie... ale wnet tracisz potęgę, gdy ludzie patrzą się w niebo! Żegnaj mi ziemio... ty rozkosznico-kobietko... najulubieńsza mocarza-świata kochanko! dla mnie twe wdzięki są tylko marną igraszką... — Potem z najspokojniejszym twarzą obliczem chodząc między drzewami, znalazła dziada, a powitawszy go wdzięcznie, po urywanej rozmowie rzekła, że chce pozostać przy tej pasiece do końca życia. Potem prosiła, by dziad jej pokazał całe ustronie, gdzie strumień płynie, gdzie jest pieczara i wziawszy dziada ze sobą, chodziła po wszystkich ścieżkach, wszystkich zakrętach całej przestrzeni w górze i w dole.

Zbliżająca się jesienna pora rzucała blaski najrozmaitszych kolorów na całą okolicę. Nigdy się drzewa piękniejszemi nie zdają jak kiedy jesień na polską wstępuje ziemię: prócz szat i strojów, w które się one bardzo zalotnie okryją, zdobi ich jeszcze, przy nieruchomej ale swobodnej postawie, jakby rozwaga i wykształcenie. Nigdy przejrzystsze nie bywa również powietrze, nigdy się niebo tak nie ubierze wesoło; po pogrzebowym smutnym obchodzie jakże się wszystko zdało wesołem i jasnym; po szczupłej chatce plebańskiej, jakże wspaniałym wydał się cały ten obszar nieskończoności, pomiędzy ziemią a niebem.

Według podania wschodnich kościołów, dusze umarłych po wyjściu z ciała czterdzieści dni jeszcze błądzą w przestrzeni pomiędzy niebem i ziemią. Tekla wiedziała o tem; patrząc się w górę mówiła sobie, że po tych smugach kołysze się jeszcze stroskana dusza jej ojca; jasne promienie służą jej pewnie za

łódź do lotów; błękity celem podróży. Czy się bezpiecznie i czy pomyślnie dostanie do nich? czy nie obalą jej chmury i nie zatopią te wszystkie podróże jej rzeczy, z którymi na tamte wybrała się światy?

Dziad miewał ze wsi co tydzień prawie małego chłopca, który chleb mu przynosił, strumień dawał mu zawsze najświeższą wodę: to było jego całym posiłkiem od niepamiętnych już czasów. Tekla wiedziała o tem; dla uniknienia widoku, o świecie tylko chodziła wszędzie oglądać każdą roślinę, krzaki i zioła, opatrywała ich listki; a nim się słońce pokazywało na niebie i wszystkie swoje jasne promienie zrzuciło na dół, by się rozbiegły po ziemi, już ona była przy pasieczniku i razem jedli posiłek. Nieraz dziad jej tłumaczył, że szkoda panny, że się poświęca na dobrowolną ofiarę i umartwienia, bez celu i bez potrzeby; lecz Tekla bardzo spokojnie odpowiadała, że jej osoba jest nieprzydatną nikomu, że ją niewarto żałować; że gdy on stary tyle lat zdołał przeżyć na ziemi w odosobnieniu od wioski, to ona również pragnie go naśladować.

W tym stanie przebyła jeszcze czas jakiś, coraz już rzadziej widując dziada i coraz mniej z nim obcując.

Jesień rwie się do zmian i zimna; przychodzą wiatry, ciągnąc za sobą chmury różnej wielkości, różnych kolorów, które się rozchodzą po niebie jakby okręty na morzu. Wówczas i ziemia na wzór niebieskiej przestrzeni, ponury nosi tuman kurzawy i zeschłych liści, które się po niej wiją i kręcą, nie mając spoczynku.

Znużone i wycieńczone siły Tekli przyprowadziły śmierć do niej; znikło jej objawienie znikome i ledwie po czasie zdołano odszukać jej szczątki w nasypach listków jesiennych.

K O N I E C .

